POWSTANIE I ANGIELSKIE FIRANKI

PROKURATURA KACPRZYKA NIE TYKA

OBCO NA ULICACH. W POLSCE GWAŁTOWNIE ROŚNIE LICZBA CUDZOZIEMCÓW

PERFIDNY SKOK NA POLSKIE LASY

ROZMOWA Z SYNEM GEN. BORA-KOMOROWSKIEGO

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
32 (714) 2026
3–9 sierpnia 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 10 VIII 2026 r.

A GDYBY RAKIETA UDERZYŁA W WARSZAWĘ!?

ZAGROŻENIE JEST ŚMIERTELNIE POWAŻNE, A RZĄD NIE POTRAFI BRONIĆ POLAKÓW

wPolsce24

PYZA i FAKTY

od poniedziałku do piątku
17:10

„W moim studiu liczą się wyłącznie fakty i konkretne odpowiedzi. Rozmawiam z gośćmi bez taryfy ulgowej, by wyciągnąć na światło dzienne to, co naprawdę istotne dla Polski”.

Marek Pyza

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	YouTube TelewizjaWPolsce24
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	

eprasa.pl 88749c7169

Obywatelu, Tusk cię nie obroni!

W Tarnawie-Kolonii, lubelskiej wsi, obok której spadła ruska rakieta, mieszka (według danych z 2021 r.) 48 osób. Niewiele, prawda? Gdyby byli wówczas np. w kościele, a rakieta uderzyłaby w ten budynek, a nie w pole, zginęliby wszyscy. Lej po ładunku wybuchowym o średnicy 10 m świadczy o tym, że siła wybuchu była wystarczająca, by dokonać takiej masakry.

Tym razem problem rozwiązał się sam, bo rakieta, której na spotkanie wysłano F-16, po prostu zniknęła z radarów. Spadła na pole.

Warto prześledzić to dokładnie, bo kompromitacja państwa, której byliśmy świadkami, okazała się bardziej niż bolesna. „Lecący w kierunku zachodnim" obiekt wykryto w polskiej przestrzeni powietrznej o 3.40. Uderzenie w ziemię nastąpiło o 3.46. Przejmujący dźwięk syren alarmowych rozległ się w samym Lublinie i w gminach na południe od miasta o 3.50. Ale spokojnie, to dopiero początek komunikacyjnej katastrofy.

Rząd Tuska, Kierwińskiego i Kosiniaka-Kamysza jakiś czas temu zafundował nam (za nasze pieniądze, bardzo grube) „podręcznik bezpieczeństwa", w którym jak byk stoi, by w momencie zagrożenia włączyć radio i czekać na komunikaty. Syreny całkiem regulaminowo obudziły więc tysiące ludzi, a komunikatu nie było. Ani przez radio, ani przez SMS od Rządowego Centrum Bezpieczeństwa (w końcu to nie burza z piorunami czy upał), ani przez aplikację mObywatel (bo pomysł sprzed roku posłów Janusza Cieszyńskiego i Michała Dworczyka, by stworzyć mAlert, nie został podchwycony przez rządzących). Pierwszy komunikat pojawił się o 7.14. Gdyby Rosjanie naprawdę chcieli zaatakować, to do tego czasu na powierzchni ziemi nie byłoby już nie tylko Tarnawy-Kolonii, lecz być może także Lublina. Wiem, to czarny scenariusz, ale żaden z członków rządu Tuska nie zadbał o to, by go rozjaśnić. Żaden.

Informacja jest dzisiaj bardzo cenną walutą, a komunikacja to sztuka. Jeśli komuś naprawdę zależy, by poinformować o czymś swoich obywateli (albo klientów), zrobi to, czasem nawet wbrew ich woli. Myślę tu o reklamowych SMS i e-mailach o „schabie bez kości za 6,99", których codziennie przychodzi do nas sporo. W ich zalewie informacji te ważne, na wagę zdrowia i życia, mogą zniknąć. Zadaniem rządu jest zadbać o to, by realne zagrożenie oddzielić od pozornego, by sygnały ostrzegawcze były traktowane poważnie. Inaczej to nie ma sensu. Niestety na tym polu wciąż jesteśmy ślepi i głusi, a przypadek z Lubelszczyzny pokazuje to dobitnie.

Gdybym miał do czynienia z rządem, który dba o obywateli, dotrzymuje słowa i zawsze rzetelnie informuje o zagrożeniach, to spaliłbym się ze wstydu, że tak mnie poniosło. Ale realia są takie, że ja nie mam powodu do wycofania się ze swoich słów. Co więcej, Tusk idzie w zaparte, że jego ludzie działali świetnie, a Kierwiński świetnie pozuje na kogoś, kto działa świetnie. Tylko Władysław Kosiniak-Kamysz skompromitował się w swoim stylu, rozpoczynając komunikację z narodem od patetycznego stwierdzenia, że minęła właśnie „niezwykle ciężka noc dla naszej obrony powietrznej, systemów obserwacji i wykrywania zagrożeń". Cóż to za pokaz bezsilności.

Ktoś pewnie zapyta, czy moje oburzenie nie jest bez sensu – wszak nikt nie zginął, a najbliższe zabudowania były 1,5 km dalej. To tylko część racji. Moje gadanie ma dokładnie taki sam sens, jak udający powagę premier Donald Tusk, który zapewniał nas, że „wojsko było gotowe do zestrzelenia pocisku, gdyby kontynuował lot". Kpina! Tarnawa-Kolonia leży 95 km od granicy z Ukrainą w linii prostej. Gdzie według premiera powinna się znaleźć rakieta, by ten gang nieudaczników uznał, że „kontynuowanie lotu" należy przerwać? Gdzie jest ta linia, która odgradza Polaków wartych ochrony państwa od tych, których życie nie jest warte, by reagować? Rozumiem, że nad Sopotem polskie wojsko otworzyłoby ogień. Wartość życia 48 mieszkańców wsi Tarnawa-Kolonia okazała się zerowa, tam rakieta mogła lecieć i uderzyć. To jak, panie premierze: jednak ch...j z tą Polską Wschodnią?

Marcin Wikło

Autopromocja

eprasa.pl 88749c7169

SIECI

spis treści

34 Wielka rekonstrukcja
Stanisław Janecki

43 Franiszek i Leon XIV: dwa modele przwództwa
Grzegorz Górny

60 Złota era westernu – filmy, które stworzyły mit Ameryki
Maciej Walaszczyk

NA POCZĄTEK

5 **CZY MORAWIECKI BĘDZIE PRAWICOWYM HOŁOWNIĄ?**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **O PRZECINANIU CUDZEJ WSTĘGI**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **GDY BRUKSELA SZALEJE, CZAS NA PRAWICOWĄ POLSKĄ ZGODĘ**
Daniel Obajtek

13 **GLOBALIZACJA CZY STOPNIOWA DOMINACJA?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MARZENY KAWY**
Michał Korsun

16 **PRAWO KONTRA SPRAWIEDLIWOŚĆ I VICE VERSA!**
Jan Pietrzak

16 **W NARRACJI POGUBIENI**
Samuel Pereira

17 **WARSZAWA I CAŁA POLSKA WCIĄŻ CZEKAJĄ NA SPRAWIEDLIWOŚĆ**
Arkadiusz Mularczyk

18 **WYBORCĄ BYĆ**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

19 **RAKIETA POD LUBLINEM, RZĄD JAK ZWYKLE BEZRADNY**
Marek Budzisz

KRAJ

22 **SIEWCA ŚMIERCI?**
Piotr Gursztyn

25 **PERFIDNY SKOK NA POLSKIE LASY**
Marzena Nykiel

29 **OBCO NA ULICY**
Konrad Kołodziejski

32 **CZY TEGO CHCEMY?**
Dorota Łosiewicz

34 **WIELKA REKONSTRUKCJA**
Stanisław Janecki

37 **TO BYŁY NIEMIECKIE OBOZY KONCENTRACYJNE**
Ze Stanisławem Zalewskim i Lechem Obarą rozmawia Jerzy Szmit

ŚWIAT

40 **KOLABORACJA Z NAJEŹDŹCAMI**
Dariusz Matuszak

43 **FRANCISZEK I LEON XIV: DWA MODELE PRZYWÓDZTWA**
Grzegorz Górny

46 **GRAM TYLKO Z KOBIETAMI**
Goran Andrijanić

48 **KOLEKCJONERZY DZIECI**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

51 **OJCIEC O POWSTANIU NIC NIE MÓWIŁ W DOMU**
Z Adamem Komorowskim rozmawia Andrzej Rafał Potocki

54 **CZY POLSKA OKUPOWAŁA UKRAINĘ?**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 **JEDEN FILM, WIELE TWARZY**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **ZŁOTA ERA WESTERNU – FILMY, KTÓRE STWORZYŁY MIT AMERYKI**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: ADAM CHOWAŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **DYSYDENTÓW NIE BĘDZIE**
Robert Tekieli

70 **SZANSA DLA PRAWICY**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **NIEBAWEM PIERWSZY DZWONEK**
Aleksander Nalaskowski

73 **KŁÓTNIE NA SZCZYCIE (PIŁKARSKIM)**
Ryszard Czarnecki

74 **LATO POZA ZASIĘGIEM**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 88749c7169

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy Morawiecki będzie prawicowym Hołownią?

Nie, nie chcę obrażać Mateusza Morawieckiego, który w przeciwieństwie do Szymona Hołowni jest politykiem poważnym. Chodzi o rolę, jaką może odegrać w najbliższych wyborach.

Od dekad wmawia się Polakom, że polityczny stan rzeczy w naszym kraju jest wyjątkowy i stanowi obciążenie dla państwa. Duopol PO–PiS (KO–PiS), czyli odwieczna rywalizacja dwóch coraz bardziej starzejących się liderów: Kaczyńskiego i Tuska, blokować ma demokrację oraz odbierać Polakom możność wyboru. To rozpowszechnione wyobrażenie stanowi mistyfikację i pogłębia niezrozumienie zarówno ustroju, w którym formalnie ciągle jeszcze funkcjonujemy, jak i stanu rzeczy, w jakim znalazła się obecnie cywilizacja zachodnia.

Demokracja przedstawicielska polega na oddelegowaniu władzy na określony czas grupie czy jednostce, której projekt przekonuje zbiorowość. Złożoność życia społecznego musi zatem zostać zredukowana do podstawowych rozwiązań, które wpisane są w opozycję: tak – nie. Czy chcemy konsumować więcej i przestajemy przejmować się przyszłością, czy odwrotnie; inwestujemy w służbę zdrowia czy w przemysł, którego rozwój umożliwi nam zwiększenie na nią środków, ale wiąże się z kosztami dziś. Czy widzimy niebezpieczeństwo ze strony potencjalnego agresora, a zatem zwiększamy środki na obronność, czy nie dostrzegamy ich, a zatem przeznaczamy je na gospodarkę itd. Wybieramy polityka optującego za jednym członem alternatywy. Zawsze jesteśmy skazani na jakiś duopol.

Co ważniejsze jednak opozycja PO–PiS jest efektem wojny kulturowej, którą w Europie zwycięża dziś lewicowo-liberalna opcja. Jej celem jest fundamentalne przekształcenie cywilizacji zachodniej i jej instytucji. Uderza w tradycyjne, znane nam tożsamości: kulturowe, religijne, narodowe, rodzinne, a nawet płciowe. Demokrację zastępuje „demokracja liberalna", w której podstawowe kwestie zostały już podobno rozstrzygnięte i zagwarantowane w systemie prawnym. Uczestnictwo w życiu politycznym mają zatem mieć wyłącznie rzecznicy liberalizmu, którzy stoją na straży *status quo*, a jego kontestatorzy, jako populiści (faszyści), mają zostać wykluczeni.

Tradycyjne partie zostały skolonizowane przez lewicowo-liberalną doktrynę emancypacji i mentalnie nie różnią się od swoich konkurentów. Widzimy to w Polsce w obecnej koalicji, widzimy w Niemczech we współrządzących CDU i SPD, we Francji na przykładzie socjalistów i republikanów czy w Anglii, porównując laburzystów i torysów. Wszystkie te ugrupowania reprezentują establishment i wspólnie stanowią oligarchię, czyli rządy nielicznych w swoim interesie.

Możemy zatem obecny konflikt polityczny przedstawić jako starcie demokracji i oligarchii, która występuje pod szyldem „demokracji liberalnej". Szyld ten oznacza także zachowanie demokratycznych procedur, czyli wyborów. Elementarną trudnością oligarchii jest zachowanie władzy sprawowanej kosztem dobra wspólnego. Podstawowym zabiegiem w celu jej obrony jest mistyfikacja rzeczywistości dokonywana przez ośrodki opiniotwórcze, które przynależą do establishmentu. Z czasem przestaje to wystarczać. Stosowaną wówczas strategią jest kreacja stronnictw, które deklarują absolutną nowość, aby stać się kolejnym reprezentantem oligarchii. W Polsce role takie odgrywały partie Palikota, Petru czy Hołowni. Polacy głosowali na nowość, która okazywała się przystawką PO. Ugrupowanie Hołowni dało władzę Tuskowi.

Czy za taką nowość, tym razem po stronie kontestatorów, może zostać uznany Rozwój Plus Morawieckiego? W przeciwieństwie do wymienionych były premier jest w stanie poszczycić się realnymi sukcesami gospodarczymi, ale w nieracjonalnej pogoni za nowością, która okazuje się – bo musi się okazać przy trwaniu tych samych warunków – wyłącznie nowym opakowaniem znaczy to niewiele. Może stać się nawet obciążeniem, bo wiąże Morawieckiego z tym, co było.

Stałym elementem demokracji liberalnej, obok władzy „autorytetów", jest diabolizowanie przeciwników. Ułatwia to dominacja w ośrodkach opiniotwórczych, a zredukowanie polityki do wojny plemion nie pozwala większości zastanowić się nad tym, że liberalna ideologia uderza w ich dobro. Próba kryminalizacji PiS przy współudziale wymiaru sprawiedliwości oraz kampania oszczerstw, których nie powstydziłyby się systemy totalitarne, przyniosła rezultaty. Czy premier Morawiecki, który był drugą twarzą rządów prawicy (i powinien być z tego dumny), może w takich warunkach wystąpić jako nowa jakość?

Jednakże wiedza o tym, czym są naprawdę rządy Tuska, zaczyna docierać do ogółu. Partia Morawieckiego, który wprawdzie nie będzie odcinał się od PiS, ale funkcjonuje jako twór osobny i prawicowa dlań konkurencja, może przyciągnąć tych, którzy uwarunkowani zostali negatywnie na Kaczyńskiego, ale dostrzegają skalę obecnej destrukcji.

Pokazać może to wyłącznie praktyka.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88749c7169

Sygnalista nadaje

Komunikat MON, MSWiA i RCB: coś wleciało na Lubelszczyznę i rypło. Nie róbcie z tego zagadnienia. No rypło i już. Jeśli komuś przeszkadza, niech nie jeździ na Lubelszczyznę, bo i tak nie ma po co.

Bardzo miłe spotkanie w Lublinie (à propos Lubelszczyzny, ale nie wolno porównywać). Wołodymyr z Donaldem. Wołodymyr opowiadał Donaldowi, jak jest w Ameryce, bo nasz Pan Premier tam nie był. Chociaż ma takie amerykańskie imię (a może właśnie dlatego tam nie był). W każdym razie żartom i przekomarzaniom nie było końca. Najwięcej śmiechu było wtedy, gdy wspominano psikus, który Wołodymyr zrobił Donaldowi, wsadzając go do drugiego wagonu. Boki rwać, jakie to było śmieszne.

Na początek omówienie sondażu, który strona demokratyczna (i praworządna – tak jak my rozumiemy praworządność) przyjęła z niezrozumiałym niepokojem. Według sondażu Junajted Pitu Pitu baj Coś Tam Coś Tam większość Tenkraju uważa, że w przyszłej kadencji Pan ***Donald Franciszek Tusk*** nie będzie premierem Bolandy. A nawet straci władzę. Tak uważa 58,3 proc. ankietowanych. Za to aż 22,9 proc. uważa, że Pan Premier odniesie zwycięstwo i będzie rządził długo i szczęśliwie. W tej liczbie jest imponujące 7,2 proc., które zdecydowanie w to wierzy. I tego się trzymajmy. Zwłaszcza że chłopaki i dziewczyny z „Ciągle PiS" i „Już nie PiS" wytrwale pracują na rzecz reelekcji Premiera Donalda Franciszka. A należne im wyrazy wdzięczności wyrazi minister drwal Waldemar Tadeusz Żurek.

Premier Tusk wyznał, który serial najbardziej lubi oglądać. To tasiemcowa produkcja pt. „Pulmões divididos", znana w Polsce jako „Podzielone płuca". Główni bohaterowie to Jaroslao, Mateo, Przemyslao, Valdemaro, Patricio, Dario, Tobi i inni. Poznajemy ich jako grupę przyjaciół, ludzi sukcesu. Gdy jednak los się odmienia i zaczynają się porażki, przyjaciele odwracają się od siebie. Zaczynają się wzajemne oskarżenia, intrygi, dramatyczne rozstania. Łzy, spazmy, szloch.

Uwaga! Wiadomo już, że w następnych odcinkach pojawią się baba z brodą, cielę z dwoma głowami i kosmici. Wątek absolutnie bez sensu, ale doskonale pasujący do całej tej historii, bo ona też jest kompletnie bez sensu.

Wracając do omawiania systemu partyjnego Republiki Bolanda, trzeba zauważyć, że podział partii kaczystowskiej wiąże się z kolejnym istotnym zagadnieniem. Klub „Ciągle PiS" był do tej pory największym klubem w Sejmie. Po ukonstytuowaniu się nowego klubu „Już nie PiS" największym klubem będzie Koalicja Obywatelska i to jej zacznie przysługiwać wygodniutki i bardzo długi korytarz między Sejmem a Senatem, gdzie zasiadało „Zjednoczone niedawno PiS". Dotychczasowe prognozy wskazywały na to, że po podziale „Ciągle PiS" stamtąd wyleci i dostanie gorszą miejscówkę. Swoją kanciapę powinien dostać też nowy klub „Już nie PiS". I tu sprawy się komplikują: perfidny Włodek wymyślił, że podzieli korytarz między dwa kluby postpisowskie. Czyli będzie jeszcze bar-

eprasa.pl 88749c7169

dziej wesoło, bo to scenariusz znany sprzed 20 lat, gdy nastąpił podział SLD. Czego tam wówczas nie było między obydwoma rozdzielonymi lewicami! Awantury, szpiegowanie, podsłuchiwanie i epicki konflikt o ukradziony czajnik bezprzewodowy. To ostatnie było najstraszniejsze!

Jeśli chodzi o zdradę, to z przykrością należy odnotować haniebny atak portalu „Der Onet" na ministra ***drwala Żurka***. Ten der Portal podsumował rocznicę działalności Waldka w ministerstwie ds. rozliczeń: „Dobrze żarło, ale zdechło", „Miało być pięknie, wyszło jak zawsze", „Co chwila to wtopa" itd., itp. A teraz najgorsze, czyli opis przesłuchania Kaczora-Dyktatora w sprawie dwóch wież: „Kaczyński po ośmiu godzinach przesłuchania miał humor doskonały, był jak skowronek. Bo zobaczył, że nic na niego nie mają". Jawna zdrada, czyli der Verrat w oryginale.

Zgodnie z piękną tradycją polskich mediów, które błyskawicznie docierają do różnych niejawnych dokumentów dotyczących ludzi, których nie lubi aktualna władza, prezentujemy najnowsze efekty dotarcia. Do portalu Goniec, prowadzonego przez charyzmatycznego Profesora Janusza, dotarły nagrania z prokuratury, ukazujące demoniczną postać z Żoliborza, która terroryzuje praworządnych prokuratorów i pełnomocników, w tym cenionego mecenasa Dubois. Przesłuchanie odbyło się 10 czerwca br. i pyk! Już je mamy. W sumie dziewięć godzin nagrań. Pytacie, co było tam najważniejsze. Otóż brutalny i skandaliczny atak Kaczora-Dyktatora (a obecnie Hegemona) na postać krystaliczną, altruistyczną, ideową, autorytet strony demokratycznej, czyli Romana Giertycha. „Powtarzam swoją ocenę, że niezależnie od swoich kwalifikacji mecenas jest osobą o osobowości chłopca między 16. a 18. rokiem życia" – wysyczał Jarosław Kaczyński.

Nie ma zgody na ejdżyzm, czyli oskarżanie ***Romana Giertycha*** o to, że jest zbyt młody. To akurat jest piękne, że Roman należy do kategorii forever young. Tak samo jak św. Juras od Sepsy i Kubusiek Wojewódzki.

Jeśli chodzi o wieczną młodość, to warto zaprezentować następny wspaniały przykład. „***Radosław Sikorski*** będzie kandydatem Koalicji Obywatelskiej w wyborach prezydenckich w 2030 r. i wtedy wygra" – powiedział Marcin Bosacki, wiceminister u pana Sikorskiego i ulubieniec wszystkich posłanek koalicji 15 października łamane na 13 grudnia. Cała strona demokratyczna jest pewna, że Radek będzie zwycięzcą tych wyborów. Z pewnością zwycięzcą moralnym, a jak dr Kontek przeliczy głosy, to może i faktycznym. W każdym razie to piękny moment startu kariery politycznej tego dobrze zapowiadającego się polityka najmłodszego pokolenia. W 2030 r. Radek będzie miał dopiero 67 lat, więc wiadomo, że całe polityczne życie dopiero się przed nim otwiera.

Ten Nawrocki z Gdańska – nie dość, że buchnął Rafałowi pałac (wraz z rezydencjami w Juracie, Wiśle i Klarysewie), to dalej próbuje zabrać mu wszystko, co najdroższe. W tym samym czasie, w którym odbywa się uświęcony wieloletnią tradycją Campus Rafała, perfidny Batyr zwołuje własny spęd młodzieży. Niestety miejscówka Batyra jest fajna, bo to Jurata nad morzem, a Rafał robi swoją imprezę w Olsztynie. Liczymy jednak na to, że tym razem młode pokolenie wybierze dobrze (bo w wyborach prezydenckich wybrało źle). „Pamiętajcie, prawdziwy Campus zaczyna się 26 sierpnia w Olsztynie" – informuje zaniepokojony Sławek Nitras i apeluje, aby uważnie czytać etykietki. Pamiętajcie też, że na podrobionym kampusie w Juracie nie będziecie mogli śpiewać demokratycznych przyśpiewek o ośmiu gwiazdach, a w Olsztynie znowu będzie to hymn prawdziwych demokratów.

Czepiają się Irka Rasia, chociaż to zaradny chłopak. I szczodry. Wsparł żonę, mimo że nie jest już jego żoną. Także brata księdza, i to mimo że brat ksiądz nie składał ślubów ubóstwa i nie jest ubogi. A nawet wręcz przeciwnie. Wiadomo jednak, że w Tenkraju człowiek sukcesu – taki jak Irek – będzie budził niechęć nieudaczników. Sześć lat temu (czyli w czasie najczarniejszej okupacji kaczystowskiej) Irek kupił trzy mikrokawalerki na wynajem terminowy. Potem się ich pozbył, bo psuły estetykę oświadczenia majątkowego. Ale nabył cenną wiedzę, która pozwoliła mu wpłynąć w odpowiedni sposób na kształt ustawy o wynajmie krótkoterminowym. To dzięki niemu stare dziadygi nie będą przeszkadzać w radosnych biesiadach osobom wpadającym na sitibrejki do Krakowa, Warszawy czy innego Gdańska.

Dobrze za to, że Pan Premier wypowiedział się w sprawie Irka. Stwierdził, że Irek jest czysty jak lilija. Tak samo jak pani poseł Pępek, która jako polityczka strony demokratycznej miała święte prawo być zbadana poza kolejką. O tym przecież były wybory w 2023 r. i będą w 2027 r. (jeśli w ogóle będą, bo nie wiadomo, czy są potrzebne). To ważne oświadczenie Pana Premiera. Dzięki temu służby i prokuratura wiedzą, co o tym myśleć.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, M. Czutko

eprasa.pl 88749c7169

WIEŻA BAB

O przecinaniu cudzej wstęgi

Polityka ma wiele stałych elementów. Jednym z nich jest niezwykła umiejętność przypisywania sobie sukcesów, których fundamenty położył ktoś inny. Im większa inwestycja i im bliżej jej ukończenia, tym większy tłok przed kamerami. Właśnie tak wygląda dziś historia pierwszej morskiej farmy wiatrowej na Bałtyku.

Minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska z dumą poinformowała o podłączeniu do sieci pierwszej farmy wiatrowej Baltic Power. W przekazie wszystko wygląda jak dowód sprawności obecnej ekipy. Problem polega na tym, że wielkie inwestycje energetyczne nie powstają w rytmie konferencji prasowych ani wpisów w mediach społecznościowych. Nie rodzą się również kilka miesięcy od zmiany rządu.

Morska energetyka wiatrowa to przedsięwzięcie planowane przez lata. To setki pozwoleń, tysiące stron dokumentacji, skomplikowane finansowanie, kontrakty z wykonawcami, zamówienia na turbiny, budowa infrastruktury przesyłowej oraz długotrwałe procedury administracyjne. Moment podłączenia farmy do sieci jest jedynie finałem procesu, który rozpoczął się znacznie wcześniej. To ostatni rozdział książki, a nie jej pierwszy akapit.

Najważniejszym momentem w całej historii Baltic Power była finalna decyzja inwestycyjna, podjęta w październiku 2023 r. przez Grupę ORLEN. Właśnie wtedy inwestycja otrzymała ostatecznie zielone światło. Bez tej decyzji nie byłoby budowy, nie byłoby montażu turbin i nie byłoby dzisiejszego podłączenia do sieci. W tamtym czasie prezesem ORLENU był Daniel Obajtek, a władzę sprawował poprzedni rząd. To są po prostu fakty wynikające z kalendarza wydarzeń.

Oczywiście nie oznacza to, że obecny rząd nie miał żadnego udziału w doprowadzeniu inwestycji do końca. Każda administracja odpowiada za nadzorowanie projektów realizowanych w czasie jej kadencji i ma prawo informować o ich zakończeniu. Jest jedna zasadnicza różnica między komunikatem: „Za naszej kadencji inwestycja została ukończona", a sugestią, że to obecna ekipa stworzyła projekt od podstaw i doprowadziła do jego realizacji.

Liczy się nie ten, kto rozpoczął inwestycję, lecz ten, kto stoi najbliżej kamery w dniu jej otwarcia

Politycy najwyraźniej uznali, że skoro kamera pokazuje moment przecięcia wstęgi, to widz zapomni, kto wylał fundamenty. To dość wygodna filozofia. Wystarczy pojawić się na mecie maratonu, odebrać medal i opowiadać, jak ciężki był bieg. Nikt już nie będzie pytał, kto przebiegł pierwsze 40 km.

W polskiej polityce powstała wręcz osobna konkurencja olimpijska – przejmowanie cudzych inwestycji. Zasady są proste. Jeśli poprzednicy rozpoczęli budowę drogi, mostu, tunelu, elektrowni czy farmy wiatrowej, należy poczekać do zakończenia prac, zorganizować konferencję prasową, ustawić odpowiednie tło z logotypami i ogłosić wielki sukces własnego rządu. Im większa inwestycja, tym większa pokusa, by pisać jej historię dopiero od nowej kadencji.

Ale inwestycje infrastrukturalne są całkowicie odporne na polityczną narrację. Turbina nie zaczyna obracać się dlatego, że minister napisał post na platformie X. Kabel nie zostaje podłączony dlatego, że odbyła się konferencja prasowa. Wiatr również nie sprawdza legitymacji partyjnych. Proces inwestycyjny rządzi się własnymi prawami i własnym harmonogramem. Politycy mogą jedynie próbować dopisać się do ostatniego rozdziału.

Być może uczciwszy przekaz brzmiałby znacznie mniej spektakularnie, ale za to bardziej wiarygodnie: „Dziś zakończyliśmy ważny etap inwestycji, której realizacja była możliwa dzięki decyzjom podjętym wcześniej". Takie zdanie nie zrobiłoby może oszałamiającej kariery w mediach społecznościowych, ale miałoby jedną bezcenną zaletę – byłoby zgodne z faktami.

Problem w tym, że w epoce polityki prowadzonej pod algorytmy i krótkie filmiki prawda często przegrywa z atrakcyjnym kadrem. Liczy się nie ten, kto rozpoczął inwestycję, lecz ten, kto stoi najbliżej kamery w dniu jej otwarcia. A skoro tak, to być może należałoby ustanowić nową nagrodę państwową – medal za mistrzostwo w przypisywaniu sobie cudzych zasług. A skoro własnych brakuje, to co robić?

Dorota Łosiewicz

Młodość nie wieczność

Ronald Kieł smętnie wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Wprawdzie jedno oko widziało dziarskiego, wysportowanego mężczyznę o szlachetnych rzymskich rysach, ale drugie dostrzegało lekki brzuszek, obwisłe policzki i źle tuszowane zmarszczki. „Młodość nie wieczność" – pomyślał z rozgoryczeniem. Coraz częściej dopadały go ataki melancholii związane z upływającym czasem. Przecież jeszcze chwilę temu uchodził za polityka młodego pokolenia, a na europejskich salonach prężył muskuły, że głosuje na niego młody elektorat. Tymczasem od ponad roku wszystkie sondaże wskazywały, że średnia wieku wyborców jego ugrupowania jest wyższa od średniej wieku wyborców partii opozycyjnych. Na dodatek w siłę rósł Bokser, czyli prezydent Rocky, młodszy od niego o ponad 25 lat. Kieł w nagłym przypływie desperacji zrzucił marynarkę, zdjął koszulę i wyprężył przed lustrem klatkę piersiową, napinając przy tym bicepsy. Melancholia minęła. „Jestem jednak piękny. Piękny i świetnie zbudowany" – pomyślał premier. Tę szalenie intymną scenę przerwało gwałtownie otwarcie drzwi, przez które wpadła z impetem ministra zdrowia Sobiepańska-Zrzęda z rozwianym blond włosem. Wpadła i stanęła jak wryta.

– Panie premierze, Kierowniku kochany! Dżizas! Co się stało? Lumbago czy postrzał? – krzyknęła ze strachem ministra.

– O co chodzi? – zapytał zdziwiony Kieł.

– Stoi pan taki wykrzywiony, to się przestraszyłam – odpowiedziała Sobiepańska-Zrzęda. Przy okazji omiotła sylwetkę premiera zawodowym wzrokiem menedżera służby zdrowia. – Poza tym ja tu widzę poważne zmiany związane z podeszłym wiekiem. Zwiotczałe mięśnie, klatka lekko wklęśnięta, za to brzuch coraz większy. Zalecam położyć się do szpitala na kilka dni.

– Tylko nie szpital – wzdrygnął się Kieł. – Ja już wiem, co się tam wyprawia w tych twoich szpitalach!

– Myśli pan o Szpitalu Południowym? To nie u mnie, to u Rafaela – sprecyzowała ministra.

– Nie mydl mi oczu, kobieto – zdenerwował się Kieł. – Poza tym, co to za insynuacje?! Jaki podeszły wiek? Jaka wklęśnięta klatka? Jestem w życiowej formie! Jeszcze raz usłyszę takie słowa, to na zbity pysk wyrzucę. Czego pani w ogóle chce?

– Przyszłam powiedzieć, że lekarze nie będą się buntować, bo okazało się, że limit miesięcznych zarobków na poziomie prawie 80 tys. jest tylko teoretyczny – zameldowała Sobiepańska-Zrzęda.

– Teoretyczny? – zdziwił się premier.

– Myślałem, że pan wie. – Ministra też się zdziwiła. – Okazuje się, że jeśli lekarz bardzo chce, to może zarobić więcej.

– Nie wiedziałem, ale niech będzie. – Kieł podrapał się po głowie.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich minister spraw wewnętrznych Pogłosowski.

– Kierowniku – odezwał się z lekkim bełkotem. – Znowu była awantura z udziałem naszych przyjaciół ze Wschodu. Jacyś Tenkrajczycy trochę ich poturbowali.

– Których przyjaciół: od Żołnierskiego czy od Putlera? – spytał rzeczowo Kieł.

– Od Żołnierskiego. Do przyjaźni z Putlerem chwilowo się nie przyznajemy – skonkretyzował Pogłos.

– Faktycznie, w tych nerwach czasem się zapominam. – Kieł pozwolił sobie na rzadko prezentowaną samokrytykę. – Cóż, będę musiał przeprosić sąsiadów i napiętnować winnych.

– Policja już ich zatrzymała – powiedział minister.

– Pogłos, jak ty niczego nie rozumiesz. – Kieł uśmiechnął się. – Napiętnować winnych, czyli tych, którzy podżegają do nienawiści. To znaczy całą opozycję, a zwłaszcza Boksera.

– Nie za grubo, Kierowniku? – zapytał Pogłosowski, mimochodem patrząc na wciąż obnażony brzuch premiera.

– Co za grubo?! – krzyknął Kieł, nie wiedząc, czy jego zaufany minister ma na myśli planowany atak na prezydenta, czy sylwetkę najlepszego z premierów. – Ty lepiej sam popatrz w lustro, grubasie!

– No co pan, Kierowniku! – Pogłosowski posmutniał. – Przecież wiem, że pan jest szczupły i wysportowany, bo ciągle pan to powtarza. Mnie chodziło o to, czy nie za grubo mówić, że Bokser jest podżegaczem, skoro wszyscy wiedzą, że w sianiu nienawiści to pan jest niedościgłym wzorem!

– To komplement? – upewnił się Kieł.

– Jak bum, cyk, cyk! – Pogłos walnął się pięścią w klatkę aż zadudniło.

I to walnięcie przelało falę smutku we wrażliwej duszy Kła.

– Wszyscy won! – krzyknął, wiedząc, że jego klatka nigdy nie wyda takiego dźwięku. Pozostało mu zatem stoczyć kolejny bój na socjal mediach, gdzie nawet ratlerek może ujadać i udawać brytana.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl 88749c7169

Rywal na prawicy

Włochy

Premier Giorgia Meloni jest pod presją – i to nie byle jaką, bo ze strony prawicy. Nowo założona partia Futuro Nazionale, kierowana przez byłego generała i europosła Roberta Vannacciego, szybko zyskuje poparcie i już przyciąga polityków z koalicji rządzącej.

Jeszcze trzy lata temu 57-letni Vannacci był praktycznie nieznany poza kręgami wojskowymi. Emerytowany spadochroniarz zyskał sławę w 2023 r. dzięki wydanej własnym sumptem książce „Świat na opak" („Il mondo al contrario"), która wywołała nad Tybrem duże kontrowersje. Uderza w niej m.in. w środowiska LGBT+, które wraz z masową imigracją uznaje za „główne zagrożenia dla zachodniej cywilizacji".

Książka okazała się we Włoszech bestsellerem, sprzedano ok. 200 tys. egzemplarzy. Dzięki temu Vannacci wszedł z listy Ligi do Parlamentu Europejskiego, a w lutym br. założył własną partię – Futuro Nazionale (FN), która ma jakoby ponad 100 tys. członków. Faktem jest, że poparcie dla nowego ugrupowania rośnie i może ono liczyć na ponad 6 proc. głosów, a więc więcej niż Liga. Według analityka Lorenza Pregliasca „FN na stałe wyprzedzi Ligę w nadchodzących miesiącach". Vannacci przyciąga nie tylko rozczarowanych wyborców rządu Meloni, lecz także tych, którzy są sfrustrowani stagnacją gospodarczą.

Emerytowany generał uważa się za ostatniego „bezkompromisowego obrońcę suwerenności narodowej" nad Tybrem, a swoją partię – za jedyną autentyczną prawicę. Jego zdaniem Meloni „zdradziła kraj" i jest zbyt miękka wobec Unii. „Stała się częścią establishmentu" – stwierdził. Włochy, jak zadeklarował na jednym z wieców, powinny być „tylko dla Włochów".

Z Vannaccim jest jednak problem. W latach 2020–2022 był on attaché wojskowym w Moskwie i od tamtej pory wyraża podziw dla rosyjskiego przywódcy. Choć deklarował, że nie popiera inwazji na Ukrainę, to – jak mówi – wolałby być rządzony przez Putina niż przez Zełenskiego i obwiniał NATO o wywołanie wojny. Uważa też, że wsparcie dla Kijowa nie przynosi Włochom żadnych korzyści oraz krytykuje Meloni za jej proatlantycką postawę.

W przyszłym roku odbędą się nad Tybrem wybory parlamentarne. Jeśli Bracia Włosi wygrają, to być może będą musieli wciągnąć Vannaciego do rządu, zwłaszcza gdyby Liga lub inni, mniejsi koalicjanci nie przekroczyli progu albo uzyskali słaby wynik. Na razie Vannacci wyklucza taki scenariusz. Jak dotąd przeciągnął na swoją stronę tuzin posłów Meloni oraz Ligi i zdestabilizował prawicowy blok, który musi teraz zdecydować, czy zrobić z niego partnera, czy go zwalczać, licząc na to, że jego moment w polityce szybko minie.

Aleksandra Rybińska

Furtka do bomby atomowej

Arabia Saudyjska

Chris Wright, amerykański sekretarz ds. energii, podpisał w ubiegłym tygodniu w Rijadzie 30-letnią umowę między Stanami Zjednoczonymi a Arabią Saudyjską o rozwoju cywilnej energetyki jądrowej. Zdaniem krytyków w praktyce umożliwi ona budowę przez Rijad własnej broni atomowej.

Potencjalnie największym wygranym jest koncern Westinghouse Electric, który ma być głównym dostawcą technologii i odpowiadać za budowę elektrowni jądrowej. W porozumieniu znalazły się jednak zapisy, które przeciwnicy Trumpa interpretują w kategoriach zgody na proliferację broni jądrowej. Chodzi o kwestię, czy pręty paliwowe mają być importowane, czy produkowane na miejscu z wykorzystaniem lokalnych złóż uranu. Jeśli wygra ta ostatnia opcja, to Amerykanie zbudują zakład wzbogacania uranu, co wiąże się z automatycznym przekazaniem technologii wrażliwych Saudyjczykom. Trzeba przy tym zauważyć, że umowa nie przewiduje – co do tej pory było standardem – regularnych i nieograniczonych inspekcji przedstawicieli Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej.

Rijad tłumaczy, że rozwój energetyki jądrowej doprowadzi do uwolnienia saudyjskich zasobów ropy naftowej i gazu ziemnego, które są dziś wykorzystywane w celach energetycznych. Sceptycy uważają jednak, że Arabia Saudyjska dąży w rzeczywistości do budowy bomby atomowej. Podstawą tych obaw są deklaracje faktycznie rządzącego krajem księcia Muhammada bin Salmana, który jeszcze w 2018 r. oświadczył, że jego kraj pozyska broń jądrową, jeśli w jej posiadanie wejdzie Iran. Niepokój budzi również strategiczne partnerstwo Rijadu z nuklearnym Pakistanem.

Rozmowy o saudyjskim programie atomowym prowadziła już administracja Bidena, ale wiązała zawarcie umowy z uznaniem Izraela przez Rijad. Administracja Trumpa zrezygnowała z tego warunku, co może świadczyć o jej ustępliwości albo o dominacji motywów ekonomicznych.

W każdym razie zawarcie umowy jest powszechnie postrzegane zarówno przez ekspertów, jak i sojuszników Stanów Zjednoczonych, takich jak Korea Południowa, jako wstęp do „przyjaznej proliferacji broni jądrowej".

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 88749c7169

Na ratunek nacjonalizacja

Brytyjski rząd przejął kontrolę nad koncernem British Steel, ratując hutę w Scunthorpe w północno-wschodniej Anglii przed jej zamknięciem przez chińskich właścicieli. Dzięki temu Wielka Brytania zdołała ocalić swój przemysł stalowy przed całkowitą likwidacją.

W Scunthorpe znajdują się dwa ostatnie wielkie piece. Są one reliktem dawnej potęgi przemysłowej Wielkiej Brytanii. W ciągu ostatnich 40 lat przemysł ciężki, niegdyś jeden z filarów brytyjskiej gospodarki, był stopniowo demontowany. Było to konsekwencją liberalnego kursu przyjętego jeszcze za czasów Margaret Thatcher. Uznano wtedy, że motorem gospodarki ma się stać sektor finansowy i technologiczny, a strategiczne dotąd gałęzie przemysłu wystawiono na sprzedaż lub likwidowano. W efekcie Wielka Brytania – podobnie jak większość państw europejskich – straciła większość tradycyjnych kompetencji przemysłowych.

Stojący otworem rynek został szybko przejęty przez gwałtownie rozwijające się koncerny z Azji – przede wszystkim z Chin, które obecnie produkują ponad połowę światowej stali. W tym samym czasie brytyjskie huty traciły rentowność, zmagając się z tanią konkurencją chińskich i indyjskich producentów stali, którzy w odróżnieniu od europejskiego przemysłu nie musieli zmagać się z wysokimi kosztami energii i wyśrubowaną polityką klimatyczną. Ostatecznie brytyjski sektor stalowy został po prostu zduszony przez firmy z Azji.

W 2020 r. huta w Scunthorpe przeszła w ręce chińskiego koncernu Jingye, który obiecał inwestycje i modernizację zakładu. Okazało się jednak, że przejęcie huty miało być wstępem do jej likwidacji. Rok temu Chińczycy zapowiedzieli wygaszenie wielkich pieców, co oznaczałoby definitywny koniec produkcji stali. Ta decyzja wybiła z letargu ówczesny rząd Keira Starmera. Minister ds. biznesu i handlu Jonathan Reynolds zauważył, że „stal jest fundamentalna dla brytyjskiej potęgi przemysłowej, naszego bezpieczeństwa i naszej tożsamości jako globalnej potęgi".

W odpowiedzi na plany Chińczyków władze w Londynie przejęły kontrolę nad hutą, wykorzystując m.in. przepisy o bezpieczeństwie narodowym. Proces ten zakończył się formalnie w połowie lipca br. decyzją o nacjonalizacji koncernu British Steel wraz z należącą do niego hutą w Scunthorpe. Pekin jest oburzony, tym bardziej że Brytyjczycy nie zamierzają wypłacać odszkodowań.

Rząd Andy'ego Burnhama planuje teraz kolejne posunięcia nacjonalizacyjne, m.in. w energetyce, kolejnictwie, mieszkalnictwie i usługach komunalnych. Po 40 latach Brytyjczycy zaczęli chyba rozumieć, że oddawanie gospodarki w cudze ręce może być niebezpieczne.

Konrad Kołodziejski

Masoneria zdeterminowana

Ustawa o prawie do wspomaganego samobójstwa była aż trzykrotnie odrzucana przez Senat w ciągu ostatniego roku, a mimo to po raz czwarty trafiła pod obrady Zgromadzenia Narodowego i została przyjęta 15 lipca, w rocznicę rewolucji francuskiej. Przegłosowała ją izba niższa parlamentu, choć sprzeciwiali się jej liczni prawnicy, działacze społeczni, eksperci od opieki paliatywnej, a nawet 800 tys. lekarzy i pracowników służby zdrowia, którzy opublikowali na łamach „Le Figaro" list otwarty protestujący przeciwko faktycznej legalizacji eutanazji.

Kluczem do zrozumienia uporu, z jakim procedowano ustawę, jest list wysłany 25 czerwca do wszystkich parlamentarzystów przez wielkiego mistrza loży Wielki Wschód Francji Pierre'a Bertinottiego. Zdyscyplinował on adresatów pisma, przypominając im, że masoneria bezwarunkowo popiera eutanazję w imię „wolności sumienia" przeciwko „złym lobby religijnym".

Dla francuskich wolnomularzy jest to sprawa priorytetowa. Pierwsza organizacja w tym kraju promująca eutanazję (Stowarzyszenie na Rzecz Prawa do Godnej Śmierci) została założona w 1980 r. przez byłego wielkiego mistrza Wielkiej Loży Francji Pierre'a Simona, przez długi czas kierował nią były parlamentarzysta, europoseł i członek Wielkiego Wschodu Francji Henri Caillavet (w 1962 r. uczestniczył w eutanazji swego ojca, także masona).

Szczególnym promotorem obecnej ustawy był Emmanuel Macron, który 5 maja 2025 r. w siedzibie Wielkiej Loży Francji powiedział: „Republika nie tylko czuje się jak u siebie w masonerii. Ona czuje się jak w domu. Masoneria jest na pierwszej linii frontu bitwy. Bitwy, która ma znaczenie, jeśli chcemy kształtować to stulecie dla dobra ludzkości". Kontynuując ów wątek, prezydent przyznał, że jego celem jest „uczynienie wolnego człowieka architektem własnego życia od narodzin do śmierci". W rzeczywistości panami narodzin i śmierci we Francji stają się architekci budujący porządek społeczny w opozycji do religii, głoszącej świętość i nienaruszalność ludzkiego życia.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 88749c7169

Gdy Bruksela szaleje, czas na prawicową polską zgodę

Wyobraźmy sobie gospodarza, który zamiast doglądać pola i chronić dom przed burzą, spiera się z sąsiadem o to, czy płot ma być malowany na zielono, czy na niebiesko. Tymczasem z nieba leci grad, a wiatr już zrywa dachówki. Tak mniej więcej wygląda dziś nasza sytuacja wobec tego, co wyprawia Bruksela.

Bo to właśnie w unijnych gabinetach i salach obrad powstają oraz są głosowane regulacje, które dla polskiej gospodarki i zwykłego obywatela brzmią jak scenariusz z koszmaru. Weźmy rozporządzenie metanowe. Od 2027 r. importerzy gazu, ropy i węgla mają raportować emisje metanu w całym łańcuchu dostaw, a kary za niedopełnienie obowiązków mogą sięgać nawet 20 proc. rocznego obrotu. Niedawno Komisja zaleciła zawieszenie tych sankcji na trzy lata – pod wpływem nacisków grupy państw, w tym Polski. To jednak tylko odroczenie. Same przepisy pozostają. A zagrożenie jest poważne: producenci z Bliskiego Wschodu, Kataru i USA otwarcie mówili o możliwości przekierowania dostaw LNG i ropy na inne rynki, jeśli Europa narzuci im nierealne wymogi. W sytuacji, gdy i tak zmagamy się z napięciami na Bliskim Wschodzie oraz ograniczeniami w cieśninie Ormuz, takie przepisy grożą dalszym uszczupleniem i tak już napiętych dostaw surowców do UE. Bezpieczeństwo energetyczne Europy, a więc również Polski, zostaje postawione na szali dla ideologicznych celów.

Różnice odłóżmy na czas po obronie domu. Najpierw trzeba ocalić polską energetykę, polski przemysł i polskie portfele. Potem spokojnie porozmawiamy o reszcie

Jeszcze groźniejsza jest rozpoczynająca się właśnie rewizja systemu handlu emisjami. KE proponuje nieco wolniejsze tempo redukcji po 2030 r. i dorzuca trochę darmowych uprawnień oraz bank dekarbonizacji. To jednak kosmetyka, która ma uśpić czujność. Cel pozostaje szaleńczy – 25-proc. redukcja emisji netto do 2040 r. A te rzekomo „darmowe" uprawnienia? Są obwarowane warunkami, które zamieniają ulgę w kolejny bat. Firmy mają publikować i wdrażać skomplikowane „plany inwestycji w dekarbonizację", a potem inwestować równowartość otrzymanych uprawnień w unijne projekty. To nie jest wsparcie – to biurokratyczna pętla. Zamiast odetchnąć, przedsiębiorca musi zatrudniać armie doradców, pisać raporty, spełniać kolejne wymogi i ryzykować utratę nawet tych uprawnień, jeśli Bruksela uzna plan za niewystarczający. Polska już teraz jest płatnikiem netto. W latach 2021–2024 bilans ETS dla naszej gospodarki był ujemny o 1 mld euro – pieniądze wypływają z kraju, a przemysł traci konkurencyjność. A na horyzoncie wciąż majaczy ETS2, który od 2028 r. ma objąć ogrzewanie budynków i transport drogowy. Prognozy są alarmujące – drastyczny wzrost kosztów ogrzewania, kilkudziesięcioprocentowy skok cen paliw, fala ubóstwa energetycznego i inflacji. Kto za to zapłaci? Zwykły Polak przy rachunku za prąd, przy piecu i przy dystrybutorze. Europejski przemysł i tak już ucieka poza UE. Te przepisy tylko przyspieszą deindustrializację, przeniosą emisje do Azji i zostawią nas z wysokimi cenami oraz pustymi fabrykami.

Rząd Donalda Tuska ogłasza kolejne „sukcesy" i „uprzywilejowaną pozycję". W praktyce widzimy jednak ugrzecznione negocjacje, a nie twardą walkę o polski interes. Zamiast stawiać weto albo budować trwałą koalicję państw, które powiedzą: „dość tych eksperymentów", słyszymy o drobnych ustępstwach i uśmiechach w kierunku Brukseli. Tymczasem te regulacje nie są realistyczne. Są niebezpieczne. Przenoszą emisje poza Europę, niszczą konkurencyjność przemysłu i obciążają obywateli, którzy i tak płacą już za ideologiczne fanaberie.

W takiej chwili nie ma miejsca na wewnętrzne swary po prawej stronie sceny politycznej. Wróg – a raczej system brukselskich przepisów oderwanych od rzeczywistości – stoi u bram. Tylko wspólny, głośny i niepodzielony głos całej polskiej prawicy może jeszcze zatrzymać to, co zatrzymać trzeba. Zgoda nie oznacza wyrzeczenia się różnic. Oznacza, że odkładamy je na czas po obronie domu. Najpierw trzeba ocalić polską energetykę, polski przemysł i polskie portfele. Potem spokojnie porozmawiamy o reszcie.

Jedność wobec Brukseli. Rozsądek wobec ideologii. I wiara, że Polska potrafi się obronić, jeśli tylko przestaniemy się gryźć i zaczniemy działać razem.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 88749c7169

Globalizacja czy stopniowa dominacja?

Marta Kaczyńska-Zielińska

Raport Związku Przedsiębiorców i Pracodawców oraz Ośrodka Studiów Wschodnich „Polska – Europa – Chiny: współpraca czy pułapka uzależnienia?" z lipca br. przedstawia analizę narastającej zależności gospodarczej Unii Europejskiej od Chin oraz jej konsekwencji dla bezpieczeństwa ekonomicznego, konkurencyjności przemysłu i strategicznej autonomii Europy.

Autorzy wskazują, że Europa weszła w okres „chińskiego szoku 2.0". Pierwszy „chiński szok" dotyczył tanich towarów, tekstyliów, prostej elektroniki i innych dóbr o stosunkowo niskiej wartości dodanej. Obecna faza ekspansji ma odmienny charakter. W przeciwieństwie do pierwszej fali globalizacji, kiedy Chiny konkurowały głównie tanią siłą roboczą, obecnie rywalizują z Europą w najbardziej zaawansowanych sektorach gospodarki: motoryzacji, produkcji baterii, elektronice, farmacji, przemyśle maszynowym i technologiach związanych z transformacją energetyczną. Chiny przestały być jedynie „fabryką świata", stając się globalnym centrum produkcji, innowacji i nowych technologii.

Podstawą tej przewagi jest konsekwentna polityka przemysłowa Pekinu. Państwo wspiera przedsiębiorstwa poprzez subsydia, preferencyjne finansowanie, rozwój klastrów przemysłowych oraz wieloletnie planowanie strategiczne. W 2023 r. wartość pomocy publicznej dla przemysłu wyniosła ok. 4,4 proc. PKB Chin, czyli blisko 800 mld dol. Chińskie przedsiębiorstwa otrzymują od trzech do ośmiu razy większą pomoc publiczną niż firmy działające w państwach OECD. Dzięki temu udział Chin w światowej wartości dodanej przemysłu wzrósł z niespełna 9 proc. w 2004 r. do ok. 28 proc. w 2024 r.

Skutki tej ekspansji są coraz bardziej widoczne w Europie. W 2025 r. deficyt handlowy UE wobec Chin osiągnął 425 mld euro, a europejski przemysł utracił 87 mld euro wartości dodanej, z czego 11,4 mld euro przypadło na Polskę. Oznacza to nie tylko pogorszenie bilansu handlowego, lecz przede wszystkim ograniczenie produkcji, inwestycji i zatrudnienia. Autorzy szacują, że europejski przemysł każdego dnia traci ok. 500 miejsc pracy. W Polsce zagrożonych jest ok. 45 tys. stanowisk, głównie w motoryzacji, sektorze bateryjnym, AGD i hutnictwie. Równocześnie nakłady przedsiębiorstw na badania i rozwój spadły o 11,8 proc., co zwiększa ryzyko utrwalenia się dystansu technologicznego wobec Chin.

Raport podkreśla również rosnące uzależnienie Europy od Chin w sektorach strategicznych. Państwo Środka odpowiada za ok. 90 proc. światowej rafinacji metali ziem rzadkich i 94 proc. produkcji magnesów wykorzystywanych m.in. w silnikach elektrycznych, a 98 proc. takich magnesów używanych w UE pochodzi właśnie z Chin. Podobna sytuacja dotyczy farmacji – ok. 80 proc. światowej produkcji substancji czynnych koncentruje się w Azji, a 90 proc. składników wykorzystywanych do produkcji antybiotyków pochodzi z Chin. W Polsce jedynie 0,5 proc. substancji czynnych leków krytycznych jest produkowanych w kraju. Ponadto ponad 95 proc. instalacji fotowoltaicznych w UE wykorzystuje ogniwa wyprodukowane w Chinach. Udział chińskich samochodów elektrycznych w rynku UE wzrósł z 8 proc. do 22 proc. w latach 2023–2025, a eksport polskiego sektora baterii zmniejszył się o 4,2 mld euro.

Badanie przeprowadzone wśród 562 małych i średnich przedsiębiorstw pokazuje, że ponad 70 proc. respondentów ocenia wpływ chińskiej ekspansji na swoją działalność jako negatywny. Przedsiębiorcy wskazują przede wszystkim na trudności w konkurowaniu z firmami korzystającymi z szerokiej pomocy państwa chińskiego. Autorzy rekomendują prowadzenie polityki „asertywnego de-riskingu", polegającej na ograniczaniu strategicznych zależności bez całkowitego zrywania współpracy. Obejmuje ona szybsze stosowanie instrumentów ochrony handlu, szersze wykorzystanie zasady wzajemności, odejście od kryterium najniższej ceny w zamówieniach publicznych oraz rozwój europejskiej produkcji baterii, półprzewodników, leków i surowców strategicznych. Czy w dzisiejszych uwarunkowaniach politycznych to realny plan?

REKLAMA

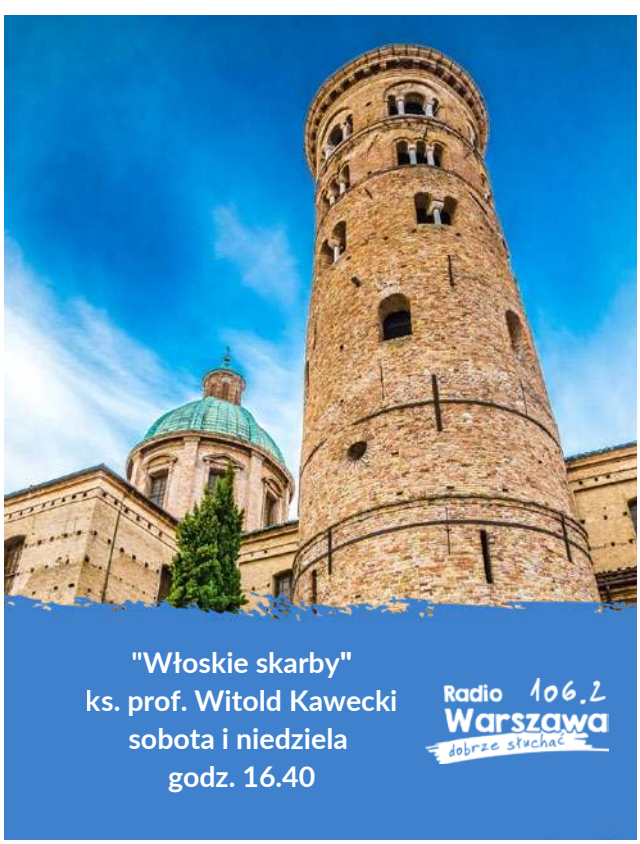

18/0726/F

eprasa.pl 88749c7169

Walizka Marzeny Kawy

politologa, dziennikarki, szkoleniowca i wykładowcy

„Podróżowanie to nie tylko przemieszczanie się w przestrzeni, ale przede wszystkim wewnętrzne dojrzewanie, uważność na drugiego człowieka i otwartość na tajemnicę, którą spotykamy w każdym nowym miejscu" – pisał ks. Krzysztof Grzywocz.

Walizka to symbol drogi, którą przeszłam, ludzi, których spotkałam, i doświadczeń, które ukształtowały mnie jako człowieka. Za każdym razem, kiedy ją pakuję, wiem, że wrócę bogatsza o kolejne historie. Drugim ważnym rozdziałem mojego życia są szkolenia. Lubię obserwować, jak z każdą godziną ich uczestnicy nabierają pewności siebie, uczą się świadomej komunikacji i odkrywają własny potencjał. To mi przypomina, że rozwój nigdy się nie kończy. Podróże nauczyły mnie jeszcze jednej rzeczy – pokory. Nieważne, czy jestem w wielkiej europejskiej stolicy, czy w niewielkim miasteczku – wszędzie spotykam ludzi, od których mogę się czegoś nauczyć. To właśnie oni są największą wartością każdej wyprawy. Dla niektórych walizka jest symbolem ucieczki, dla mnie – odwagi, by zmieniać kierunek, podejmować nowe wyzwania i wracać bogatszym o kolejne doświadczenia. Bo ostatecznie nie liczy się liczba odwiedzonych miejsc ani stempli w paszporcie. Liczą się rozmowy, które zostają w pamięci, ludzie, których Bóg stawia na naszej drodze. Życie postrzegam jako nieustanną podróż – a każda droga czegoś uczy, nawet jeśli początkowo wydaje się trudna albo jest naznaczona porażkami. Z ciekawością i optymizmem patrzę w przyszłość, wierząc, że najpiękniejsze historie wciąż są przede mną.

DZIENNIKARSTWO

Nauczyło mnie, że najciekawsze opowieści powstają na ulicach miast, w małych kawiarniach, na dworcach, lotniskach i w domach ludzi, którzy często nie zdają sobie sprawy, jak niezwykłe są ich losy. Moją największą zawodową pasją od zawsze było słuchanie. Zadawanie pytań jest ważne, ale jeszcze ważniejsze jest usłyszenie odpowiedzi.

eprasa.pl 88749c7169

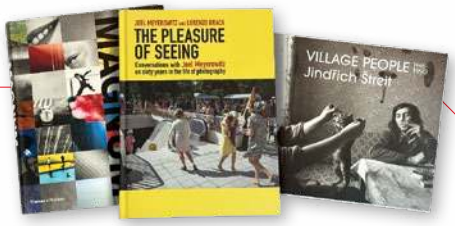

ALBUMY FOTOGRAFICZNE

Ponieważ wierzę, że fotografia potrafi opowiadać historie i zatrzymywać emocje lepiej niż jakiekolwiek inne medium, kolekcjonuję albumy. To nie tylko zbiór zdjęć, lecz także źródło wiedzy i informacji o ludziach.

KAWA

Zaparzona w kawiarce smakuje równie wybornie jak ta z domowego ekspresu czy w redakcji. Tak na marginesie – redakcja telewizji wPolsce24 ma dostęp do znakomitej arabiki. Smak naszej kawy cieszy się powszechnym uznaniem także wśród polityków.

POLITOLOGIA

Nauczyła mnie patrzeć szerzej. Rozumieć procesy, analizować wydarzenia i nie ulegać pierwszym emocjom. Dziennikarstwo dodało do tego coś znacznie cenniejszego – wrażliwość na człowieka. Bo za każdą decyzją polityczną, za każdym nagłówkiem i za każdą informacją stoją konkretni ludzie i ich codzienne życie.

BIBLIA

Z lektur na pierwszym miejscu jest Biblia. Za każdym razem odkrywam w Słowie Bożym coś nowego. Przeczytana kilka razy, zawsze zaskakuje, daje nadzieję i siłę. Są też zakładki – to dla mnie najcenniejsze pamiątki.

TELEWIZJA wPOLSCE24

To tu poczułam, że wszystkie moje zawodowe doświadczenia tworzą spójną całość i doprowadziły mnie do tego miejsca, w którym spotkałam ludzi, dla których POLSKA to dom. Rozmowy o sprawach publicznych są dla mnie nie tylko obowiązkiem zawodowym, lecz także próbą lepszego zrozumienia świata. W czasach, kiedy informacji jest więcej niż kiedykolwiek wcześniej, odpowiedzialność za słowo nabiera szczególnego znaczenia.

KSIĄŻKI

Wracam do historii, literatury i filozofii, bo uczą zadawania pytań, na które często nie ma prostych odpowiedzi. A przecież właśnie z takich pytań rodzi się refleksja. Każdemu polecam mój przewodnik po codzienności, czyli „Jak smakować życie" ks. Krzysztofa Grzywocza.

APARAT

Zawsze zabieram ze sobą aparat fotograficzny. Fotografia pozwala zatrzymać to, czego nie da się zapisać w kalendarzu – spojrzenie, światło, emocję, ciszę.

MUZYKA

Jest od zawsze, w większym stopniu od czasów szkoły muzycznej i wydziału wokalnego. Moja kolekcja płyt winylowych przypomina mi, że nie wszystko musi dziać się szybko. Lubię moment, kiedy igła dotyka płyty i świat przez chwilę zwalnia. W epoce nieustannego pośpiechu to mały luksus, na który warto sobie pozwolić.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Wojciech Kawa, prywatne archiwum Marzeny Kawy, Shutterstock

eprasa.pl 88749c7169

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Prawo kontra sprawiedliwość i *vice versa*!

Jan Pietrzak

Najbardziej zasłużona dla III Rzeczypospolitej partia znalazła się w personalnych opałach. Nadciąga podział, co w kontekście nadchodzących za rok wyborów rodzi niepokój o przyszłość państwa polskiego. Jak głosi stare przysłowie: gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Kiedy sprawiedliwość będzie się bić z prawem, z całą pewnością zwycięży bezprawie. To samo bezprawie, które trzyma władzę obecnie. Nie daj Boże, by po wyborach stało się bardziej rozpasane, z wściekłością niszczące polskie szanse na rozumne rządy przyzwoitych ludzi.

Wszelkie podmioty polityczne, ustalające przed wyborami swoje strategie, muszą wrócić do legendarnego pytania śp. premiera Jana Olszewskiego: czyja będzie Polska? To smutne i znamienne, że po trzech dekadach „niepodległości" nie jesteśmy w stanie utrwalić tego, co najważniejsze, czyli suwerenności. Nie zwracamy uwagi na taki drobiazg, że pod pretekstem Unii Europejskiej czujemy się jak pod okupacją. Przypominam, że II Rzeczpospolita trwała jedynie 20 lat, a wychowała pokolenie zdające egzamin z patriotyzmu w stopniu nieporównanie wyższym niż obecne zglajchszaltowane społeczeństwo.

Na pojęcie patriotyzmu składa się wiele cech, a jedną z nich jest odpowiedzialność za kondycję całej wspólnoty, zwanej narodem. Nie Unią Europejską, lecz narodem polskim. Mamy początek sierpnia. Rocznica powstania warszawskiego, heroicznego buntu młodzieży przeciwko niemieckim okupantom. Niestety miałem zbyt mało lat, starsi koledzy z podwórka przegonili mnie i moich rówieśników z pierwszej zbiórki, kiedy 1 sierpnia ruszali do wyznaczonego punktu. Od dziesiątek lat trwa kampania obelg pod adresem powstańców, opluwająca ich bohaterstwo, zarzucająca im jakoby bezsensowny, pozbawiony szans zryw. Przypominam, że młodzież 1944 r. to były wnuki i dzieci pokolenia odzyskanej po zaborach niepodległości. Na konspiracyjnych szkoleniach śpiewano piosenki legionowe. Piosenek powstańczych jeszcze nie było.

To była młodzież wyrastająca w cieniu hitlerowskich szubienic, w huku salw ulicznych egzekucji i codziennych łapanek. To była młodzież, która nie wyobrażała sobie, że dowództwo zabroni jej walczyć ze szkopami! „Poszli w bój bez broni", bo wierzyli, że ją zdobędą, bo inaczej nie umieli postąpić!

Od kilkudziesięciu lat tabuny fałszywych mędrków szydzą z odwagi i brawury powstańców, wspierani przez agenturalne kreatury niemieckie i moskiewskie. Agentura sąsiadów to stały fragment politycznej rzeczywistości nad Wisłą. Doprowadzono do takiego chaosu, iż rządzi tu bezprawna niesprawiedliwość. W tej sytuacji rutynowe koncepcje administracyjne nie wystarczą, żeby Polska była Polską! A bez tego nic nam się nie uda. Potrzeba odwagi, pasji i woli walki, by odzyskać nasz kraj z łap zaborców!

W narracji pogubieni

Samuel Pereira

Jeśli na poważnie brać to, co od pół roku komunikuje rząd w sprawie zagrożenia ze Wschodu, można dojść do wniosku, że ktoś oszalał. Z jednej strony co jakiś czas „wpada" przekaz o tym, że Rosja szykuje się do ataku na Polskę i może się to stać tuż, tuż, z drugiej – nie potrzebujemy amerykańskiego wsparcia i mamy czas na rozwijanie europejskiego systemu obrony. Wydarzenia na Lubelszczyźnie pokazały dobitnie, jak bardzo państwo polskie jest nieprzygotowane na sytuacje kryzysowe.

Alerty pogodowe – to rządzącym wychodzi, ale gdy spada obiekt wojskowy, nagle się okazuje, że polscy obywatele są pozostawieni sami sobie. Słyszą syreny i mają się domyślić albo dowiadywać pocztą pantoflową, co się wydarzyło i co robić dalej. Wyobraźmy sobie, w jakiej sytuacji znaleźli się mieszkańcy Tarnawy-Kolonii i Tokary. Między miejscowościami, gdzie spadła ta rosyjska rakieta, oraz w ich najbliższym sąsiedztwie mieszka łącznie kilkaset osób, ale w szerszej okolicy, obejmującej też pobliskie miejscowości, takie jak Tarnawa Duża czy Tarnawa Mała, jest to nadal rzadko zaludniony obszar, mieszczący się w ramach gminy Turobin, która jako całość liczy obecnie 5,3–5,6 tys. mieszkańców. Ci wszyscy ludzie i ich bliscy rozrzuceni po kraju przez kilka godzin w trwodze oczekiwali na jakąkolwiek informację. A obywatele całej Polski wciąż nie mogą się doczekać schronów zgodnych z obligami wynikającymi z ustawy.

Rządzący niestety zajęci są innymi wojnami: z opozycją i prezydentem Karolem Nawrockim. Mimo iż jego relacje z Donaldem Trumpem i amerykańską administracją są dla nas ostatnią deską ratunku, ekipie Donalda Tuska nie przeszkadza to, by stale go atakować i dezawuować. Jak się to ma do straszenia zbliżającą się agresją ze strony Rosji? Albo do realnego zagrożenia operacjami hybrydowymi, które stały się naszą codziennością? A to niejedyne zagrożenie, bo obserwując, co się dzieje np. w Hiszpanii, która otworzyła swoje granice na przestępczość i wrogich nam obywateli innych państw, za chwilę okaże się, że niebezpieczeństwo czyha na nas nie tylko ze Wschodu, lecz także z Zachodu.

eprasa.pl 88749c7169

Warszawa i cała Polska wciąż czekają na sprawiedliwość

1 sierpnia o godzinie W Warszawa znów się zatrzymała. Co roku milkną rozmowy, wyją syreny, a Polacy oddają hołd bohaterom powstania warszawskiego. To jednak nie tylko dzień pamięci o odwadze i poświęceniu. To także moment, by przypomnieć o skali niemieckiej zbrodni oraz zniszczeń, jakie spotkały polską stolicę.

Warszawa była niszczona etapami – od kampanii 1939 r., przez zagładę getta, walki podczas powstania warszawskiego, aż po systematyczne burzenie miasta po jego upadku. Niemcy zniszczyli ponad 85 proc. zabudowy i niemal całą substancję ludzką przedwojennej Warszawy. Oznaczało to nie tylko ruiny domów, lecz także zagładę setek tysięcy mieszkańców, polskich elit, dorobku naukowego i kulturalnego oraz próbę wymazania stolicy z mapy Europy.

Skala strat materialnych również jest porażająca. Zespół powołany przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2004 r. oszacował wyłącznie straty materialne Warszawy – bez strat prywatnych mieszkańców oraz bez uwzględnienia utraconego potencjału gospodarczego, demograficznego i kulturowego – na 55 mld dol. Po waloryzacji do 2022 r. odpowiadało to 85 mld dol., czyli 381 mld zł. Uwzględniając inflację, wartość tych strat w 2026 r. wynosi ok. 96 mld dol., czyli ok. 430 mld zł.

To jednak tylko wartość zniszczonych budynków, ulic, mostów i infrastruktury. Nie obejmuje majątków prywatnych Warszawiaków ani tego, czego nie da się przeliczyć na pieniądze - życia blisko 200 tys. ofiar powstania warszawskiego, utraconego potencjału rozwojowego Polski, zniszczonych dzieł kultury, przerwanych biografii i pokoleń, które miały budować przyszłość naszego państwa.

Dlatego 1 sierpnia pamiętamy nie tylko o heroizmie powstańców. Pamiętamy również o odpowiedzialności za prawdę historyczną. Nie ma pojednania bez prawdy, a pamięć o niemieckich zbrodniach i ich konsekwencjach pozostaje naszym wspólnym obowiązkiem wobec ofiar i przyszłych pokoleń.

Mimo upływu ponad ośmiu dekad od zakończenia II wojny światowej Niemcy nadal nie zrekompensowały Polsce ogromu wyrządzonych szkód. Do dziś nie zostały wypłacone reparacje za zniszczenie Warszawy, śmierć milionów obywateli i straty, które na zawsze zmieniły los naszego narodu. Nie chodzi wyłącznie o pieniądze. Chodzi o sprawiedliwość, odpowiedzialność i szacunek dla ofiar. Dlatego Polska musi nieustannie upominać się o należne jej reparacje wojenne – nie z chęci odwetu, lecz z obowiązku wobec historii i przyszłych pokoleń.

Arkadiusz Mularczyk

Zapraszamy na salony

Z Pauliną Szulist-Płuciniczak, kierowniczką Działu Edukacji Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Archiwum prywatne

Co się wydarzy 6 sierpnia w Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie?

Paulina Szulist-Płuciniczak: Będziemy świętować 221. rocznicę powołania wilanowskiego Muzeum. To dla nas bardzo ważna data. W 1805 r. Stanisław Kostka Potocki i jego żona Aleksandra postanowili udostępnić swoje zbiory szerokiej publiczności, powstało wtedy pierwsze muzeum historii sztuki na ziemiach polskich. Założycielom przyświecała idea *cunctis patet ingressus*, czyli „wstęp dla wszystkich wolny". W myśl tej niezmiennie aktualnej łacińskiej sentencji otwarto dla zwiedzających pomieszczenia w północnym skrzydle pałacu, w których od ponad dwóch wieków prezentowana jest imponująca kolekcja dzieł sztuki. W duchu tej idei przygotowujemy również nasze wydarzenie.

Czego możemy się spodziewać?

Pałac ożyje. Będzie można spotkać Stanisława Kostkę Potockiego, jego żonę Aleksandrę, jego teściową Izabelę Lubomirską oraz wiele innych osób z ich otoczenia, zobaczyć, jak wyglądało życie codzienne Wilanowa w ich czasach. W ciągu dnia (od 10.00 do 21.00) zapraszamy na liczne warsztaty, a wieczorem – na bal w Oranżerii. Stroje z epoki są mile widziane, ale podpowiemy też, jak je przygotować. Wstęp tego dnia jest bezpłatny.

A w pozostałe dni?

Wtedy również warto odwiedzić m.in. północne skrzydło pałacu. Całkiem niedawno, bo w połowie maja, ponownie otwarto w nim dla publiczności: Galerię Obrazów Muzeum zwaną, Galerię Krajobrazów, Sień Dolną, klatkę z żeliwnymi schodami oraz dawną Sypialnię Pani.

eprasa.pl 88749c7169

TRENDY I OWĘDY

Wyborcą być

Ryszard Makowski

Bycie wyborcą jest zdecydowanie niełatwe. A do tego niewdzięczne. Chociaż jeszcze za komuny, w czasach studenckich, wracając nad ranem z balangi, postanowiłem wstąpić do lokalu wyborczego. Dostałem kwiaty jako pierwszy klient. Wtedy głosowało się z musu. Przyszedł jednak czas III RP, kiedy niby zapanowała demokracja i euforia, że nasz głos coś znaczy. Z pełnym przekonaniem byłem zwolennikiem Lecha Wałęsy. Poszedłem na wiec pod Hutą Warszawa, podpisałem się pod jego kandydaturą. 19 listopada 1995 r. przechadzałem się po New Jersey i cieszyłem się, że w USA nie można głosować w drugiej turze wyborów prezydenckich. Wybór był pomiędzy Lechem Wałęsą i Aleksandrem Kwaśniewskim. Pierwszym byłem rozczarowany do imentu, a drugiego pamiętałem jako komucha z ekipy Jaruzela. W 2015 r. dosłownie ze śpiewem na ustach wspierałem kandydaturę Andrzeja Dudy. W 2020 r. zagłosowałem już bez śpiewu. A to, co dzisiaj myślę o tej prezydenturze, nie nadaje się do druku.

Po brawurowym zwycięstwie Karola Nawrockiego wydawało się, że jest szansa, by odsunąć ten niszczący Polskę rząd. I co zrobiła partia, którą wspierałem przez lata? Ano postanowiła ten rząd wzmocnić. Kiedy afera goni inną aferę, kiedy premier Tusk jest w Europie ostentacyjnie ogrywany, PiS postanowiło skoncentrować uwagę opinii publicznej na swoich rozgrywkach wewnętrznych. Trwają przepychanki o stowarzyszenie Rozwój Plus, które w obecnej sytuacji ma nazwę humorystyczną. Niewybredna awantura na platformie X trwa.

Jako elektorat nie zawodzimy. Szkoda, że politycy nie dorastają do poziomu swoich wyborców.

ZDJĘCIE TYGODNIA Francja płonie. Rekordowe upały i pożary

Fot. Xavier Davias via First Eye/Abacapress.com/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: NAC, LUDMYLA SKWARCZYŃSKA, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, EAST NEWS/WOJCIECH OLKUŚNIK, DOMENA PUBLICZNA, SHUTTERSTOCK x5, KW PSP LUBLIN

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 88749c7169

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

Rakieta pod Lublinem, rząd jak zwykle bezradny

Rosyjska rakieta spadła tam, gdzie miała spaść, w czasie, który z punktu widzenia Kremla jest optymalny. Dlaczego? I co dalej?

MAREK BUDZISZ

Donald Tusk uważa, że „nie ma powodu sądzić, by Polska była celem" rosyjskiego ataku rakietowego. Oczywiście nie można wykluczyć przypadku, bo Ukraina niemal codziennie jest atakowana przez Rosjan zarówno rakietami balistycznymi, jak i manewrującymi, takimi jak Kh-101, która spadła na Lubelszczyźnie. Ale zamiast narracji „Polacy nic się nie stało", warto się zastanowić, czy nie mieliśmy w tym przypadku do czynienia z sygnalizacją strategiczną Rosji.

Po pierwsze, zastanawiające jest to, że uderzenie miało miejsce kilka godzin po tym, jak w Lublinie Tusk spotkał się z Wołodymyrem Zełenskim. Ten ostatni – co wiadomo nawet z oficjalnych komunikatów – dzień wcześniej rozmawiał z Donaldem Trumpem w Waszyngtonie zarówno o niedawnym uderzeniu sił ukraińskich na irański frachtowiec z bronią na Morzu Kaspijskim, jak i o licencji na produkcję rakiet do systemów Patriot. Przed wizytą Zełenskiego w Białym Domu Polska zgłosiła swój akces do tego amerykańsko-ukraińskiego projektu, deklarując, że jest gotowa wspólnie budować rakiety PAC-3. Premier Tusk jest bardzo powściągliwy w informowaniu polskiej opinii publicznej, ale warto zauważyć, że w czasie lubelskiego spotkania siedział obok niego minister Robert Kupiecki, wiceszef MSZ, w przeszłości ambasador RP w USA, który ostatnio prowadził też rozmowy w kwestii wejścia Polski do projektu Freja – forsowanej przez Kijów europejskiej tarczy antyrakietowej.

Nie można wykluczyć, że podczas lubelskich rozmów obydwie te kwestie – produkcję PAC-3 do Patriotów i budowę tarczy rakietowej na podstawie ukraińskich zdolności – połączono w jeden węzeł. Rosjanie mogli chcieć nam pokazać, że kooperacja z Ukrainą, nawet jeśli w dłuższej perspektywie korzystna, w krótszej będzie raczej oznaczała wzrost zagrożenia.

Inne motywy Kremla są nie mniej czytelne. W ostatnich tygodniach Rosja intensywnie atakuje porty „wielkiej Odessy". Uderza nie tylko w infrastrukturę przeładunkową, lecz także atakuje statki z ukraińskim zbożem. „Po niedawnych atakach armatorzy zaczęli masowo odmawiać zawijania do portów. Rynek znajduje

eprasa.pl 88749c7169

się obecnie w fazie stagnacji i ostrożnego wyczekiwania" – powiedział Dmytro Kazanin, dyrektor i właściciel firmy logistycznej TEUS. Alternatywne trasy – przez porty na Dunaju – są dostępne w mniejszym stopniu niż normalnie ze względu na niski stan wód (susza). Ostatnia możliwość – wywóz zboża przez porty w Rumunii – też nie jest proste, bo rosyjskie drony dalekiego zasięgu również tam coraz częściej naruszają przestrzeń powietrzną. 24–26 lipca trzykrotnie, dzień po dniu, uzbrojone Gierany wleciały do Rumunii, a od początku roku takich potwierdzonych incydentów było już 40. Tu też raczej nie można mówić o przypadku, tym bardziej że w Rumunii od kwietnia nie ma rządu, przedterminowe wybory są bardziej niż prawdopodobne, a sprawa „ukraińskiego zboża" była już kwestią zapalną.

NAKRĘCANIE NAPIĘCIA

W przypadku Polski sprawy wyglądają podobnie. Także u nas, najdelikatniej rzecz ujmując, liczba zwolenników współpracy z Ukrainą nie rośnie, przeciwnie – maleje. Rosjanie bardzo zręcznie rozgrywają nasze spory historyczne. Pojawiają się ustawione nie wiadomo przez kogo tablice „Ukraińcom wstęp wzbroniony", mnożą się incydenty, których uczestnicy mogą przecież działać z obcej inspiracji, i to po obu stronach.

Moi ukraińscy korespondenci piszą mi, że takie same działania, polegające na skłócaniu, napuszczaniu jednych na drugich, obserwowali w Donbasie przed 2014 r. i w tym, co się dzieje w Polsce, dostrzegają wyraźną „rękę Moskwy". Dobrze by było, aby podległe premierowi Tuskowi służby, dziś zajęte przede wszystkim walką z opozycją, poświęciły więcej uwagi tego rodzaju zagrożeniom.

A teraz wyobraźmy sobie, że w najbliższym czasie do Polski znów zaczyna się wlewać zboże z Ukrainy. Jest to prawdopodobne, bo w ostatnich latach rozbudowaliśmy naszą infrastrukturę portową i logistyczną, zbudowaliśmy 40 terminali do przeładunku z wagonów szerokotorowych na wagony o rozstawie europejskim, a przepustowość przeładunkowa zboża masowego w polskich portach, która w 2022 r. wyniosła 8 mln t, obecnie wzrosła do 14 mln t. Będą zatem firmy, które zechcą zarobić na tym handlu. Jak na powtórkę z ukraińskim zbożem zareagują nasi rolnicy, zwłaszcza z Lubelszczyzny? A politycy zainteresowani licytowaniem antyukraińskich nastrojów?

Rakieta Kh-101, która upadła pod Lublinem, może nie tylko podsycić polsko-ukraińskie konflikty, lecz także mieć wpływ na postawę przygotowujących się do wyborów partii politycznych. Czy pojawi się umowna „partia pokoju", której politycy będą nas oficjalnie przekonywać, że Putin nie ma zamiaru ani sił, by zaatakować Polskę, a nieoficjalnie zwracać uwagę na to, co rosyjski prezydent powiedział niedawno na spotkaniu z żołnierzami, prorokując, że Ukraina utraci swe ziemie zachodnie na rzecz sąsiednich państw, w tym Polski?

> Zapewnienia Tuska i Kosiniaka-Kamysza po wydarzeniach na Lubelszczyźnie, że „wojsko panuje nad sytuacją", to bajki z mchu i paproci. Mają przykryć oczywiste fakty świadczące o tym, że nie mamy teraz systemu obrony powietrznej, a rząd niewiele zrobił w tej sprawie

Warto też pamiętać, że w Niemczech we wrześniu odbędą się wybory do landtagów, m.in. w Saksonii-Anhalt, gdzie AfD ma ponad 40 proc. poparcia, a po zdobyciu 45 proc. głosów chce rządzić samodzielnie. Ulrich Siegmund, lider tej formacji i przyszły kandydat na premiera landu, pytany kilka dni temu przez dziennikarzy oświadczył, że „zdecydowanie opowiada się przeciwko sankcjom i za przystępną cenowo energią, niezależnie od kraju pochodzenia". Następnie doprecyzował, że ma na myśli dostawy gazu i ropy naftowej z Federacji Rosyjskiej.

Może się zatem okazać, że już niedługo polscy „zwolennicy pokoju", opowiadający się za zaprzestaniem wspierania Ukrainy, będą mogli powoływać się też na głosy płynące z Zachodu.

NIEUZASADNIONY OPTYMIZM

Wykorzystanie tych napięć leży również w interesie Kremla i trudno naiwnie zakładać – jak mamy w zwyczaju – że „nas te kwestie nie dotyczą". Oczywiście, że dotyczą. Na wojnie nie ma przypadków – tor lotu rakiety manewrującej, a taką jest Kh-101 (notabene ma też ona swego atomowego brata bliźniaka, nie do odróżnienia na ekranach radarów), nie jest przypadkowy. Rosyjska rakieta spadła tam, gdzie miała spaść, w czasie, który z punktu widzenia Kremla jest optymalny. Dlaczego? Dlatego, że polscy politycy zajęci sobą i wzajemną rywalizacją znów wybiorą narrację „Polacy nic się nie stało".

Najlepszym przykładem naszego nieuzasadnionego optymizmu są pojawiające się w polskich mediach głosy „uznanych ekspertów", którzy argumentują, że dobrze zrobiliśmy, kupując od Amerykanów systemy Patriot, budujemy bowiem nasze bezpieczeństwo, wykorzystując najlepsze na świecie rozwiązania. Czy rzeczywiście? To prawda, że Patrioty wyposażone w rakiety przechwytujące PAC-3 są obecnie najlepsze na świecie. Podobnie jak to, że w oparciu o te systemy nie zbudujemy naszego bezpieczeństwa. Jeśli w ramach programu „Wisła" mamy pozyskać ok. 1 tys. rakiet przechwytujących tego typu (PAC-2, starszy model, ma znacznie mniejszy zasięg), to trzeba mieć świadomość, że ich całkowite „zużycie" pozwoli naszym siłom zbrojnym na zniszczenie maksymalnie 500 celów przeciwnika – przy założeniu, że systemy te zostaną przeznaczone wyłącznie do zwalczania rosyjskich rakiet balistycznych, natomiast rakiety manewrujące będą zwalczane z wykorzystaniem innych zdolności. Eksperci przyjmują bowiem, że dobrze wyszkolona i doświadczona obsługa baterii Patriotów (załóżmy, że mamy taką) statystycznie musi wystrzelić dwa pociski, aby unieszkodliwić jeden cel. To oznacza, że chcąc prowadzić z Rosją pojedynek rakietowy, w dzisiejszych realiach będziemy w stanie wytrzymać co najwyżej siedem miesięcy, bo obecnie Rosja produ-

eprasa.pl 88749c7169

Fot. Wojtek Jargiło/PAP

kuje 600–800 rakiet balistycznych rocznie. Według innych szacunków Rosjanie wytwarzają miesięcznie ok. 100 rakiet balistycznych różnych typów, a tylko w czasie dwóch pierwszych dekad lipca użyli ich przeciw Ukrainie 107.

W najbliższych dniach politycy będą nas uspakajać, że budujemy najlepszy system obrony naszej przestrzeni powietrznej, w oparciu o najbardziej zaawansowane zdolności amerykańskie. Omówmy to znów na przykładzie rakiet PAC-3 do systemów Patriot. W 2025 r. koncern Lockheed Martin wyprodukował ich 620, a w 2030 r. ma to już być 2 tys. Tyle że w ciągu pierwszych 40 dni wojny z Irakiem Amerykanie wystrzelili – jak donosi prawicowy „New York Post" – dwie trzecie swych zasobów: nawet 1430 pocisków, co skrupulatnie policzyli eksperci think tanku strategicznego CSIS. Jak informuje Defence Express, cykl produkcji jednego pocisku trwa nawet 24 miesiące i nie chodzi tu o kwestie licencji czy montowni, o budowę których zabiegają tak Niemcy, jak i Szwedzi, lecz o niedostępność podstawowych podzespołów – systemów napędowych i naprowadzających. Jeszcze przed wojną z Iranem Pentagon postanowił potroić w najbliższych latach zapasy arsenałowe rakiet PAC-3 do poziomu docelowego przekraczającego 12 tys. sztuk, z wyjściowego wówczas – bo w wyniku wojny znacznie uszczuplonego – poziomu 4 tys. sztuk. W najbliższych latach będziemy mieć zatem do czynienia z dramatycznymi niedoborami tych systemów, i to w sytuacji, kiedy Rosjanie zwiększają swą produkcję.

Pocieszanie się, że postawiliśmy na amerykańskie, najlepsze zdolności, w tym przypadku niewiele znaczy, bo mogą się one okazać niewystarczające. „Gdyby Ukraińcy mieli dużo więcej tego, o co proszą cały czas, to być może ta rakieta nigdy nie wleciałaby do Polski" – powiedział Donald Tusk po wydarzeniach na Lubelszczyźnie, a Władysław Kosiniak-Kamysz wtórował premierowi, podkreślając, iż „wojsko panuje nad sytuacją". Te bajki z mchu i paproci mają przykryć oczywiste fakty świadczące o tym, że nie mamy teraz systemu obrony, rząd niewiele zrobił w ostatnim czasie, a doświadczenia z jesieni ub.r., kiedy rosyjskie drony swobodnie penetrowały naszą przestrzeń powietrzną (jeden doleciał nawet pod Opoczno), nie zostały wykorzystane. Gdyby Ukraińcy mieli miliony rakiet PAC-3 i setki baterii Patriot, to rzeczywiście byliby w stanie się obronić. Ale bądźmy poważni – nie mają i nie będą mieli, zresztą podobnie jak my.

W maju br. ukraiński wywiad szacował, że Rosjanie dysponują zapasem 2,6 tys. wystrzeliwanych z samolotów bojowych rakiet manewrujących z rodziny Kh (29/31/35/58/59) i miesięcznie są w stanie budować 70 rakiet strategicznych Kh-101 – takich jak ta, która upadła i eksplodowała pod Lublinem. Związane z tym potencjałem zagrożenie będzie raczej narastało w najbliższych latach. A nie możemy zapominać o rosyjskich Gieranach, których zdolności też stale są rozwijane. Ostatnia wersja – Gierań 5 – to system z głowicą bojową ważącą 90 kg, mający zasięg 900 km, wysokość przelotową nawet 6 tys. m i osiągający prędkość 600 km/h. W najbliższych latach Rosjanie chcą ich produkować tysiące. To zagrożenie też będziemy zwalczać tymi symbolicznymi zdolnościami, które chcemy (bo ich jeszcze nie mamy) pozyskać?

JAKA OBRONA POWIETRZNA?

Opozycja jest w tej debacie zupełnie nieobecna, a poziom jej argumentacji dotyczy kwestii zakupu F-35, tak jakby te drogie w pozyskaniu i jeszcze droższe w eksploatacji maszyny były panaceum na wszystkie możliwe zagrożenia. Nie są, ale najpierw trzeba by to było uczciwie przyznać i zacząć poważnie, jak dorośli ludzie, dyskutować, czy nasz system obrony jest budowany prawidłowo. Zacznijmy taką dyskusję, jaka choćby rozpoczyna się w Niemczech.

„Nic nie jest kosztowniejsze dla społeczeństwa niż groteskowa nieefektywność zbrojeń" – powiedział Moritz Schularick, prezes Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej, którego think tank opublikował właśnie raport na temat niemieckiej polityki zbrojeniowej. Zdaniem tego ekonomisty dotychczasowe zakupy sprzętu przez Berlin – a trzeba pamiętać, że rząd Fredricha Merza przeforsował zwiększenie długu publicznego na zbrojenia i rozbudowę armii o 500 mld euro – są „całkowicie szalone", bo politycy, zamiast inwestować w najnowsze technologie, kupują „złom", czyli czołgi i stare systemy, których pozyskanie ani nie zmieni sytuacji gospodarczej, ani tym bardziej nie poprawi efektywności i zdolności sił zbrojnych do działania.

W raporcie sygnowanym przez Sparta Group, ponadpartyjne porozumienie ekspertów z Niemiec, oszacowano koszty budowy przez państwa naszego kontynentu pełnego, autonomicznego systemu obrony przestrzeni powietrznej na 50 mld euro i 2–3 lata na realizację tych planów. Pod warunkiem rezygnacji z komponentów amerykańskich, bo to kilkakrotnie zwiększy koszty i wydłuży czas realizacji. Za kolejne 20–30 mld euro w podobnym czasie Europa mogłaby zbudować własne, niezależne od amerykańskich zdolności precyzyjnego i masowego atakowania celów w Federacji Rosyjskiej na dużych głębokościach.

3 lata i 80 mld euro to nie są kwoty będące poza zasięgiem państw naszego kontynentu. Punktem wyjścia musi być jednak uczciwe postawienie spraw i zrozumienie, że poleganie tylko na zdolnościach amerykańskich jest ślepą uliczką. Nie dlatego, że Stany Zjednoczone są niewiarygodnym sojusznikiem, wręcz przeciwnie. Groźne jest dla nas to, że ich zobowiązania sojusznicze są najwyższej próby, co oznacza, że Waszyngton może zaangażować się w wojny na odległych teatrach działań i amerykańscy żołnierze będą potrzebować rakiet, pocisków, czołgów i samolotów, na które tak liczymy. Co wtedy zrobimy? Nadal będziemy pocieszać się maksymami w rodzaju „wojsko panuje nad sytuacją" czy naszym ulubionym hasłem „Polacy, nic się nie stało"?

eprasa.pl 88749c7169

Wbrew oczekiwaniom Donalda Tuska i całej Koalicji Obywatelskiej afera z Dawidem Kacprzykiem nie chce wygasnąć. Opinia publiczna dobrze ją jednak zapamiętała, a na dodatek pojawiają się nowe skandaliczne doniesienia. I nie są w stanie ich przykryć nawet gorszące podziały na prawicy

Siewca śmierci?

PIOTR GURSZTYN

Dawid Kacprzyk, 29-letni bohater licznych doniesień medialnych, uzyskał prawo do wykonywania zawodu lekarza zaledwie 20 miesięcy temu. W bardzo krótkim czasie stał się milionerem. Ale nie to jest najgorsze: liczbą skandali i najcięższych błędów lekarskich mógłby obdzielić medyków z wieloletnim stażem. O ile ktoś chciałby zostać bohaterem aż tak negatywnych doniesień.

SERCE DOSŁOWNIE PĘKŁO

Właśnie dowiedzieliśmy się, że w maju br. (czyli tuż przed ujawnieniem skandali z nim związanych) Dawid Kacprzyk nie rozpoznał masywnego zawału serca u pacjentki. Portal Zero opisał historię 61-letniej pani Grażyny. Kobieta zasłabła zaledwie 200 m od Szpitala Bródnowskiego, jednego z miejsc, w których Kacprzyk pracował na SOR. To on ją przyjął, wpisując ocenę „pacjentka w stanie ogólnym dobrym". Nie potrafił odczytać zapisu EKG, choć bardziej doświadczony lekarz z miejsca rozpoznałby zawał o „gigantycznej" (jak oceniali rozmówcy portalu) skali. Zlecił zrobienie tomografii, choć w tym przypadku było to badanie całkowicie niepotrzebne. Zamiast podjąć właściwe działania, kazał podać pacjentce paracetamol. Zmarła kilka godzin po „leczeniu" przez Kacprzyka. Gdy pan Grażyna w końcu trafiła na Oddział Intensywnej Opieki Kardiologicznej, była już nie do uratowania. Patomorfolog stwierdził, że jej serce dosłownie pękło.

To nie koniec podobnych doniesień. Zgłaszają się rodziny kolejnych pacjentów, którzy mieli tego strasznego pecha, że trafili do Warszawskiego Szpitala Południowego. Syn jednej ze zmarłych pacjentek opowiadał telewizji Polsat: „Miała 77 lat i całe życie przepracowała w szpitalu. [...] Udało mi się trafić na lekarza, który operował mamę i przedstawił sytuację [...] pęknięte jelito. Zabrzmiało to bardzo strasznie. [...] Jej stan przez cały pobyt w szpitalu, do momentu wypisu, nie poprawiał się, nie była w stanie nawet poprawić sobie poduszki pod głową. [...] Mimo to lekarze uznali, że chora może wrócić do domu. Po tygodniu została wypisana. Trzy dni później zmarła". Pacjentka została wypisana po operacji z adnotacją, że była „w stanie ogólnym dobrym".

W kolejnym ujawnionym przypadku pojawia się lekarz o imieniu Dawid. „Mąż zaczął się dusić. Wyglądało to źle, wezwałam karetkę. Jeden z panów

Fot. Dawid Kacprzyk/Facebook

eprasa.pl 88749c7169

powiedział, że to jest poważne, że trzeba zabrać męża, i to leczyć szybciutko. Po trzech godzinach mąż zadzwonił, że siedzi na krzesełku i nic się nie dzieje. Zaczęła się robić noc, godz. 12, dzwonek do drzwi, wchodzi mój mąż. Przyjechał taksówką. Spytałam: »Jesteś zdrowy?« – opowiadała kobieta, której mąż trafił na SOR w Szpitalu Południowym. Usłyszała, że został wypisany ze szpitala. Atak powtórzył się następnej nocy. Stan mężczyzny był już bardzo ciężki. Trzeba było go reanimować jeszcze w karetce. Podczas badań na SOR mąż miał drugie zatrzymanie serca i wtedy tam dyżur miał doktor Dawid, nie chcę wymieniać nazwiska, [...] opowiadał mi, że reanimował mojego męża. Czy gdyby ktoś inny udzielał pomocy mojemu mężowi, bardziej doświadczony, z jakąś specjalizacją, czy mąż by wrócił do życia w tym momencie?" – relacjonowała kobieta, dzisiaj niestety już wdowa.

KOZŁY OFIARNE

Afera dotycząca Warszawskiego Szpitala Południowego i Dawida Kacprzyka wybuchła dokładnie w połowie czerwca. Początkowo Koalicja Obywatelska ją lekceważyła. Donald Tusk mówił o wadliwych procedurach i próbował obciążyć winą za nie poprzedni rząd. Sprawa nabierała jednak tempa. 23 czerwca z bardzo poważnymi zarzutami wystąpił dr Emil Jędrzejewski. Od tego momentu rządzący podjęli działania, które – niezależnie od oceny uczciwości ich intencji – świadczą o tym, że przestraszyli się skutków afery. Dowodem na to było też przerzucanie winy między dwoma najważniejszymi politykami KO w Warszawie, czyli Marcinem Kierwińskim a Rafałem Trzaskowskim.

Jest faktem, że działania kryzysowe KO były w większości pozorowane, czego najlepszy dowód stanowiły całkowicie przypadkowe dymisje wiceprezydentek Warszawy, a pozostawienie na stanowiskach innych ludzi odpowiadających za skandale i zaniedbania. Nie jest to jednak dowód na lekceważenie afery w tamtym momencie, lecz na to, że trudno było rozliczyć prawdziwych winnych, skoro są to ludzie ze szczytów partyjnej hierarchii. Szybko jednak wróciło poczucie polityków KO, że to afera krótkoterminowa, taka jak np. afera pedofilsko-zoofilska z Kłodzka. Szukali potwierdzenia tego w bieżących wydarzeniach. Jeden z polityków Koalicji Obywatelskiej mówił tygodnikowi „Wprost", że prezydent Karol Nawrocki zrobił jego partii wielki prezent, odbierając order Wołodymyrowi Zełenskiemu. Mówił to dokładnie wtedy, gdy dr Jędrzejewski występował w Kanale Zero. Dzisiaj tym bardziej widać, że opinia publiczna miała podzielną uwagę. Żyła napięciem w stosunkach polsko-ukraińskich i jednocześnie uważnie śledziła skandale związane z Kacprzykiem oraz innymi podobnymi doniesieniami, które szły na konto rządu.

> Pani Grażyna zmarła kilka godzin po „leczeniu" przez Kacprzyka. Gdy w końcu trafiła na Oddział Intensywnej Opieki Kardiologicznej, była już nie do uratowania. Patomorfolog stwierdził, że jej serce dosłownie pękło

Rozłam w PiS z pewnością osłabił moc informacji na temat patologii w służbie zdrowia i ich politycznego kontekstu. Ale czy całkowicie? Cytowane wyżej doniesienia pokazują, że sprawa nadal żywo interesuje Polaków. KO może się bardzo przeliczyć, czekając na to, że gorszące konflikty wewnątrz prawicy całkowicie unieważnią sprawę Kasprzyka i inne podobne afery. Choćby z tego powodu, że wewnątrzpartyjny konflikt, nawet najbardziej niesmaczny, dla większości ludzi jest widowiskiem abstrakcyjnym – w tym sensie, że nie dotyczy ich bezpośrednio. Natomiast skandale w służbie zdrowia – bałagan na SOR, nepotyzm, saloniki VIP – to rzeczywistość, która osobiście dotyka każdego Polaka.

Łączy się z tym również narastająca irytacja społeczeństwa, której powodem jest szczególna arogancja obecnego rządu. Można odnieść wrażenie, że ekipę Tuska dopadł syndrom wiary w to, że będzie rządziła wiecznie. Pokazuje to też sprawa Dawida Kacprzyka i Szpitala Południowego. Wspomnieliśmy wyżej o dymisji wiceprezydentek, których nazwiska nikomu nic nie mówiły. Owszem, zostały odwołane, ale krótko potem dowiedzieliśmy się, że dostały sute odprawy.

ZGODNIE Z DOKTRYNĄ NEUMANNA

W 37. dniu afery PiS uruchomiło tzw. licznik Kacprzyka, czyli odliczanie od początku afery połączone z oczekiwaniem, że lekarz milioner wreszcie zostanie przesłuchany oraz że zostanie uruchomiona procedura weryfikacji jego uprawnień do leczenia ludzi. Licznik został uruchomiony 22 lipca i od tamtego czasu nic się nie wydarzyło.

Dawid Kacprzyk do tej pory nie został przesłuchany, podczas gdy lekarz sygnalista, dr Jędrzejewski, błyskawicznie trafił do prokuratury. Potem zostało zgłoszone zawiadomienie o przestępstwie, w którym ma być podejrzanym. Tłumaczenie prokuratury w sprawie Kacprzyka brzmi nieprzekonująco, usłyszeliśmy bowiem, że to jemu będą stawiane zarzuty, więc on zostanie przesłuchany ostatni. Inaczej, jak twierdzą prokuratorzy, mógłby opracować linię obrony (jakby nie mógł tego zrobić teraz).

Jednocześnie za każdym razem z tej samej instytucji słyszeliśmy co innego, gdy do aresztów tymczasowych trafiło wiele osób w ramach tzw. rozliczeń rządów PiS. Wtedy prokuratura przekonywała, że istnieje poważna groźba matactwa, względnie ucieczki za granicę. Ale nic nie wiemy o tym, aby Dawidowi Kacprzykowi zabrano choćby paszport. Jeśli zaś chodzi o matactwo, to dostał od prokuratury długi czas, aby usuwać ślady swojej działalności, względnie ustalić z innymi potencjalnymi podejrzanymi wspólne wersje zeznań.

eprasa.pl 88749c7169

Trzeba tu dodać, że prokuratura niezwykle chętnie posługiwała się argumentem matactwa w przypadku zarzutów dotyczących spraw, które miały miejsce kilka lat temu i dotyczyły potencjalnych przestępstw urzędniczych, w których ewentualne dowody znajdują się w dokumentacji zabezpieczonej przez organa ściągania. Niedawno dowiedzieliśmy się, że CBA zatrzymało Macieja Świrskiego w sprawie sprzed ośmiu lat, czysto urzędniczej, chociaż można go było wezwać do stawienia się przed odpowiednimi organami. Skąd więc tak wielka pobłażliwość dla Kacprzyka?

Bo jest swój jako całkiem ważny członek Koalicji Obywatelskiej? Trudno uciec przed tym wytłumaczeniem. Nawet ludzie odlegli od prawicy zaczynają łączyć to z tzw. doktryną Neumanna. Bo w czasie obecnej kadencji nie było ani jednego poważnego przypadku, aby przykre konsekwencje spotkały jakiegoś polityka KO. Wskazuje się na Tomasza Lenza, lecz to wyjątek potwierdzający regułę, bo w tym przypadku zadziałała antypatia Donalda Tuska do senatora z Torunia. Na dodatek nie wiadomo, jak trwała jest jego kara, bo już kiedyś miał być wykluczony z list KO, ale zamiast do Sejmu, został wystawiony w wyborach do Senatu. I tu wracamy do tematu coraz bardziej ostentacyjnej arogancji obecnej władzy. Teraz dowiadujemy się, że KO broni swojego posła Wojciecha Króla przed prokuraturą europejską. Nieco wcześniej słyszeliśmy premiera Tuska „uniewinniającego" posłankę Małgorzatę Pępek, w uprzywilejowany sposób korzystającej z dostępu do publicznej służby zdrowia.

AFERA NIE PRZYSCHNIE

Wszystkie te elementy są powodem, dla którego Polacy nie przyjęli narracji Tuska, iż sprawa Kacprzyka to afera lekarska. Widać bowiem, że to sprawa systemu politycznego i wpływów osób powiązanych z KO. Zasięg działania początkującego lekarza, a już milionera, pokrywał się z jego koneksjami politycznymi.

Świeżo po tym, jak uzyskał uprawnienia lekarskie, próbował zatrudnić się w Szpitalu Powiatowym w Mińsku Mazowieckim. Na przełomie 2024 i 2025 r. placówka szukała kogoś na stanowisko koordynatora SOR. Jej przedstawiciel rozmawiał z Kacprzykiem. Okazało się, że nie może on pełnić tej funkcji, bo nie miał uprawnień. Mimo to oferował swoje usługi jako ktoś, kto sprowadzi do Mińska zespół lekarzy i zażądał za to specjalnego wynagrodzenia. W ogóle żądał stawek „warszawskich". Zdążył nawet przyjechać do Mińska, gdzie zasygnalizował, że będzie chciał zwolnić dotychczasowy personel, łącznie z lekarzami. Władze szpitala się nie zgodziły, na dodatek nie miały dość pieniędzy, aby płacić żądane stawki, więc nie doszło do zatrudnienia Kacprzyka i jego ekipy. Być może również dlatego, że w mińskim starostwie nie rządzi KO.

Bliższy sukcesu był w warszawskim Szpitalu Wolskim. Zupełnie niedawno (wiosną br.) celował w stanowisko kierownicze na SOR, doszło nawet do spotkania z załogą. Zrobił bardzo złe wrażenie na pracownikach, którzy sprzeciwili się, aby kierował nim człowiek o tak niskich kompetencjach. Co ciekawe, spotkanie odbyło się, mimo że wcześniej Kacprzyk nie startował w żadnym konkursie. Krótko potem władze Warszawy odwołały dyrektora szpitala. Jak podaje portal Zero, przyczyny tej decyzji nie są znane.

Dodajmy jeszcze jedną informację związaną ze Szpitalem Południowym, pokazującą, jak polityka wpływa na funkcjonowanie służby zdrowia. W maju 2024 r. placówka dostała 4 mln zł na program in vitro, mimo że nie posiadała sprzętu koniecznego do przeprowadzenia tej procedury. Widać, że szpital, którym lubił chwalić się Trzaskowski, był uprzywilejowany z powodów politycznych. Na uroczystości otwarcia centrum, które miało się tym zajmować, stawili się prezydent stolicy, minister zdrowia Izabela Leszczyna, wiceprezydentki miasta (ostatnio zdymisjonowane). Do wspólnego zdjęcia pozował także Dawid Kacprzyk – ten sam, którego podobno nikt nie znał w warszawskiej KO.

Takie zdjęcia i takie doniesienia sprawiają, że afera nie przysycha. A najbardziej dobitne odbicie tego widzimy w sondażach. Nie partyjnych, bo na ich kształt wpływają inne czynniki (w tym przede wszystkim zawirowania na prawicy). Chodzi o badania, w których Polacy są pytani o swój stosunek do rządu i premiera oraz zaufanie wobec poszczególnych aktorów sceny politycznej. W każdym z nich Tusk i jego ekipa wypadają koszmarnie słabo. 58 proc. Polaków źle ocenia działania rządu, dokładnie tyle samo jest niezadowolonych z pracy premiera. Zadowolonych jest mniej niż jedna trzecia – 29 proc., czyli wśród malkontentów są też wyborcy KO. Kierunek zmian nastrojów Polaków jest jednoznaczny. Procent po procencie, ale nieustannie spada liczba zadowolonych i niezdecydowanych, a rośnie grupa niezadowolonych.

Tusk i jego ministrowie są rekordzistami niepopularności. Żaden wcześniejszy rząd nie miał tak słabych notowań. Nawet zdawałoby się zużyta ośmioma latami władzy Zjednoczona Prawica otrzymywała lepsze oceny. Była popularniejsza od Tuska nawet wtedy, gdy traciła władzę.

Fot. Fratria

eprasa.pl 88749c7169

Perfidny skok na polskie lasy

Za każdym razem, gdy rządzi Donald Tusk, pojawia się próba zamachu na polskie lasy. Pomysł utworzenia „lasów społecznych" to zakamuflowana forma ich zniszczenia. Szkodliwych projektów jest więcej. Rząd chce nałożyć na Lasy Państwowe 200-milionowy haracz i wprowadzić kolejne zakazy. Celem jest doprowadzenie największej organizacji leśnej w Unii Europejskiej do upadku. Kto na tym zyska?

MARZENA NYKIEL

Takiej bzdury nie wymyśliliby nawet kabareciarze. Minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska ogłosiła swój największy sukces: otworzyła las! Ten sam, który przez stulecia był otwarty dla wszystkich.

„Las społeczny to las o wiodącej funkcji społecznej, w którym lubimy spędzać czas, uprawiać aktywność fizyczną, ale także po prostu spędzać tu miło weekend z rodziną, edukując dzieci. Ale to także bardzo ważne lasy, które często pełnią funkcję regulatora. Oczyszczają powietrze, gromadzą wodę, przeciwdziałają erozji, pełnią wiele funkcji przyrodniczych, które zwłaszcza w obszarze dużych aglomeracji mają też ogromną wartość" – mówiła, prezentując pod Wrocławiem „pierwszy w Polsce las społeczny".

Nie jest to pogadanka dla przedszkolaków z miasta. To oficjalny komunikat pani minister. I można by się nawet roześmiać, słysząc ten infantylizm, gdyby nie to, że stoi za tym bezrefleksyjnie wdrażana przez resort groźna ideologia, której skutki będą katastrofalne. Tylko wokół Wrocławia z planowej gospodarki leśnej wyłączone zostanie blisko 12 tys. ha. W planach jest utworzenie kolejnych takich stref wokół 14 miast. Łącznie mają objąć 158 tys. ha.

Fot. PAP/Maciej Kulczyński

eprasa.pl 88749c7169

IDEOLOGICZNY PARAWAN

„Lasy społeczne" to nic innego, jak ideologiczny parawan dla systemowych działań. Ich celem jest osłabienie i docelowa prywatyzacja Lasów Państwowych. To element szerszego planu destabilizacji największej firmy przyrodniczo-leśnej w Unii Europejskiej i *de facto* potężne uderzenie w polską gospodarkę.

– Wprowadzamy jakąś nową, pozaustawową formę „ochrony przyrody", która będzie powodowała bardzo poważne konsekwencje finansowe i przyrodnicze. Normalna, planowana gospodarka leśna na tych terenach będzie zaniechana – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" dr Paweł Sałek, poseł Prawa i Sprawiedliwości, były wiceminister środowiska i były doradca prezydenta Andrzeja Dudy. – Lasy w Polsce od wieków były społeczne, publiczne, otwarte, dostępne – dodaje.

Skutki decyzji rządu są widoczne już teraz. Wyłączony z gospodarki las społeczny nie będzie na siebie zarabiał. Poseł Sałek przytacza przykład Nadleśnictwa Suchedniów, które przez lata było dochodowe.

– Pod hasłem ochrony przyrody, przy użyciu presji politycznej, medialnej i służbowej, przy sprzeciwie społeczności lokalnej ustanowiono tam rezerwat, którego nikt nie chciał. Od tej pory notuje straty. W 2024 r. na ich pokrycie przeznaczono 5 mln zł z Funduszu Leśnego, w 2025 r. – 6 mln zł. W 2026 r. planowana prognoza straty to 6,5 mln zł. W ciągu zaledwie trzech lat łącznie mamy 17 mln strat. Kto za to zapłaci? I taki przykład Nadleśnictwa Suchedniów można sobie pomnożyć razy 100 w skali kraju – alarmuje dr Sałek i dodaje: – Największa obłuda, perfidia i przebiegłość to wmawianie ludziom, że to jest dla ochrony przyrody. To jest właśnie wbrew ochronie przyrody i wbrew interesowi narodowemu.

> „Lasy społeczne" to nic innego jak ideologiczny parawan dla działań systemowych. Ich celem jest osłabienie i docelowa prywatyzacja Lasów Państwowych. To element szerszego planu destabilizacji największej firmy przyrodniczo-leśnej w Unii Europejskiej i *de facto* potężne uderzenie w polską gospodarkę

MOGŁY BYĆ ZYSKI, SĄ STRATY

Koncepcja „lasów społecznych" to element szerszego planu destabilizacji.

– Tylko wielofunkcyjna, zrównoważona gospodarka leśna gwarantuje ochronę przyrody, miejsca pracy, gwarantuje też to, że polskie lasy są otwarte dla wszystkich. Można w nich zbierać grzyby, można prowadzić gospodarkę łowiecką. Nie wszystkim się to podoba – mówi nam Sławomir Mazurek, doradca prezydenta Karola Nawrockiego. Przypomina, że w niektórych krajach za wstęp do lasu trzeba płacić, a większe grzybobrania są niedozwolone. – Ostatecznie odbije się to właśnie na społeczeństwie, które nie będzie mogło korzystać z lasu w pełni. Jeśli las nie będzie na siebie zarabiał, nie będzie – zgodnie z ustawą – samofinansującą się jednostką, to Lasy Państwowe będą powoli bankrutować. Będą też upadać zielone miejsca pracy w terenach niezurbanizowanych – mówi nam doradca prezydenta.

Z kolei prof. Przemysław Czarnek wskazuje na porażający skutek moratorium wprowadzonego przez minister klimatu i środowiska: „Od jakiegoś czasu musimy kupować drewno w Szwecji. Spławia się, przewozi je statkami przez Bałtyk, żeby tutaj z niego produkować. Naszego nie możemy już pozyskiwać, ponieważ pani minister wprowadziła moratorium".

Lasy Państwowe zajmują prawie jedną trzecią powierzchni Polski, a polski przemysł drzewny generuje 3 proc. rocznego polskiego PKB. Lasy są największym w Europie gospodarstwem leśno-przyrodniczym, które dostarcza surowiec i chroni przyrodę. Za rządów PiS Lasy Państwowe zarabiały rocznie od 600 do 800 mln zł. Rekord padł w 2022 r., gdy Państwowe Gospodarstwo Leśne zanotowało prawie 1 mld zł zysku. Wszystko zmieniło się wraz z nastaniem rządów koalicji 13 grudnia.

Naruszenie sprawdzonego modelu obniżyło zyski o kilkaset milionów, a w branży leśno-drzewnej pracę straciło 45 tys. osób. To cios w filar gospodarki – sektor ten odpowiada za 10 proc. produkcji przemysłowej i jest drugim największym źródłem dodatniego salda w handlu zagranicznym. – Co roku przynosi Polsce ok. 70 mld zł nadwyżki. To również setki tysięcy miejsc pracy, przede wszystkim w małych i średnich firmach rodzinnych działających poza największymi aglomeracjami. To miliardy złotych wpływów z podatków i składek oraz ogromna wartość dla lokalnych społeczności – podkreśla prof. Roman Niżnikowski.

Wartość produkcji spadła z 238,5 mld zł w 2022 r. do 203,1 mld zł w 2025 r., a prognoza na 2026 r. to 199,5 mld zł (utrata 40 mld zł w trzy lata). W tym samym czasie rośnie konkurencja. Import mebli z Chin w latach 2018–2025 wzrósł o 167 proc. Ich wartość przekroczyła poziom 1,1 mld euro. Polska zaczyna tracić pozycję na rynku niemieckim, który przez lata był naszym najważniejszym odbiorcą. – Polskie meble są droższe od produktów sprowadzanych z Azji. To kuriozum, lecz wynika to z polityki zaniedbań i niekompetencji tego rządu – mówi dr Sałek.

Wszystko to wskazuje na precyzyjny, długofalowy plan osłabiania Polski. Posiadamy zasoby drewna szacowane na 2,72 mld m^3. Od zakończenia II wojny światowej powierzchnia lasów wzrosła o 2,8 mln ha, czyli o ponad 43 proc., co dowodzi doskonałej gospodarności. Jednocześnie roczne pozyskanie drewna stanowi zaledwie 1,5 proc. tych zasobów. – System

21/0626/F

eprasa.pl 88749c7169

gospodarowania Lasami Państwowymi ukształtował się na przestrzeni wieków i doprowadził do tego, czego nie udało się Europie Zachodniej czy Południowej – zachowaliśmy wszelkie rodzime gatunki roślin, skutecznie chronimy także zwierzęta. A przy tym wykształcono system, który pozwala na pełną współpracę z rolnikami, myśliwymi i miejscową ludnością. To naprawdę wykracza daleko poza typowe sadzenie drzew i ich późniejsze ścinanie – przypomina dr Sałek.

Dlaczego więc pozwalamy ingerować w tak cenne zasoby instytucjom, które je niszczą? – Lasy są solą wokół tych, którzy nie szanują polskiej suwerenności, także tej gospodarczej. Polska szkoła przyrodnicza stawia zrównoważoną, wielofunkcyjną gospodarkę leśną na pierwszym miejscu. Dominująca obecnie funkcja społeczna, pomijająca te dwie pozostałe, prowadzi lasy w kierunku likwidacji polskiego modelu gospodarki leśnej. To jest zaplanowana, długoterminowa polityka realizowana przez międzynarodowe organizacje po to, aby cały dorobek pokoleń polskich leśników zaprzepaścić – podkreśla Sławomir Mazurek.

UCISZANIE LEŚNIKÓW I EKSPERTÓW

Lasy Państwowe – jako instytucja hierarchiczna i państwowa – jest poddana silnej presji politycznej i służbowej. Coraz mniej do powiedzenia na temat ich przyszłości mają sami leśnicy. Szef leśnej Solidarności Zbigniew Kuszlewicz przyznaje, że pracownicy Lasów są wycinani z debat, a masowe tworzenie m.in. „lasów społecznych" czy rezerwatów ma uśpić czujność obywateli. – Teraz, po tych dwóch latach, wiem o tym, że były to celowe działania – podkreśla.

Wbrew naciskom władz leśnicy nie zamierzają się poddać. Organizują protesty i głośno ostrzegają przed szkodliwymi decyzjami Ministerstwa Klimatu i Środowiska. W czerwcu leśna Solidarność wystosowała stanowczy apel do rządzących: „W obliczu prowadzonych prac nad wyznaczaniem i funkcjonowaniem tzw. lasów społecznych zwracamy się z apelem o prowadzenie odpowiedzialnej, opartej na wiedzy, dialogu i analizach polityki dotyczącej przyszłości polskich lasów. Lasy stanowią dobro wspólne wszystkich obywateli. Pełnią jednocześnie funkcje przyrodnicze, społeczne, gospodarcze i ochronne. Dlatego wszelkie decyzje dotyczące sposobu ich użytkowania powinny być podejmowane w sposób transparentny, z udziałem wszystkich zainteresowanych stron oraz po rzetelnej ocenie skutków społecznych, ekonomicznych i środowiskowych".

PRESJA MA SENS – WYCOFANIE SZKODLIWEJ USTAWY

Szeroki plan wyłączenia nawet 20 proc. lasów z gospodarki leśnej wpisuje się w zobowiązania Koalicji Obywatelskiej wobec ekoterrorystów. Przoduje w tym Paulina Hennig-Kloska, nie bacząc na skutki. Już na początku rządów, bez

REKLAMA

żadnej podstawy prawnej, wysłała do leśników dyspozycję wyłączenia 30 nadleśnictw, czyli 95 tys. ha. Później wyłączano kolejne.

Nie brakuje też regulacji unijnych, które rząd wykonuje ze szczególną nadgorliwością. Właśnie w tym duchu napisano ustawę wdrażającą kontrowersyjne orzeczenie TSUE dotyczące Lasów Państwowych, według którego aktywiści mają mieć ułatwioną procedurę zaskarżania planów urządzania lasu. Ustawa jednak szła znacznie dalej niż orzeczenie Trybunału. Przygotował ją resort klimatu i środowiska, jednak w ostatnim momencie ją wycofał. To zapewne zasługa wspólnych działań ekspertów, leśników i opozycji, którzy zmiażdżyli projekt na posiedzeniu komisji, szczegółowo wykazując daleko posunięte nadużycia.

Zmian w projekcie domagali się także ludowcy. Ostatecznie Hennig-Kloska wycofała projekt, a w jednym z wywiadów – zasłaniając się nieuchronnym wetem prezydenta – niechcący przyznała, jaki jest prawdziwy cel tego dokumentu: „Wiemy też, że pan prezydent nie podpisze ustawy, która będzie dawała możliwość blokowania gospodarki leśnej naraz w całym kraju".

> W połowie lipca rząd przyjął projekt ustawy zakładający nałożenie na Lasy Państwowe nowego podatku w wysokości 2 proc. przychodów ze sprzedaży drewna. – Trudno tu mówić o trosce o środowisko. To po prostu skok na kasę – ocenia prof. Zbigniew Krysiak

KOLEJNY SKOK NA KASĘ

W połowie lipca rząd przyjął projekt ustawy zakładający nałożenie na Lasy Państwowe nowego podatku w wysokości 2 proc. przychodów ze sprzedaży drewna. Pieniądze, szacowane na blisko 200 mln zł rocznie, miałyby trafiać do Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

– Trudno mówić o trosce o środowisko, skoro pieniądze mają zostać zabrane instytucji, która od wieków finansuje i organizuje ochronę przyrody i prowadzi wielofunkcyjną gospodarkę leśną. To po prostu skok na kasę – mówi prof. Zbigniew Krysiak.

Protestują także leśnicy. – Nowe obciążenia finansowe będą musiały zostać zrekompensowane ograniczeniem wydatków. To może oznaczać mniej inwestycji, mniejsze możliwości prowadzenia gospodarki leśnej – mówi Zbigniew Kuszlewicz.

Teraz za wstęp do lasu i grzybobranie Polacy płacić nie muszą. Czy tak będzie nadal?

Paweł Sałek nazywa plany rządu grabieżą: – To grabienie Lasów Państwowych. To próba doprowadzenia do sytuacji, w której utracą one możliwość samofinansowania się, co jest obowiązkiem wpisanym do ustawy o lasach. To jest już jasne i czytelne.

Uderzenie w Lasy Państwowe jest jednoznaczne z uderzeniem w polską gospodarkę. Wygląda na to, że skok na rodowe srebra ma zaspokoić apetyty kilku podmiotów. Niegospodarny rząd chce wyciągnąć pieniądze na zasypanie swoich deficytów i jednocześnie wykazać się ekologizmem przed organizacjami pozarządowymi, ekoterroryści realizują własne interesy grantowe, wykazując się skutecznością swoich działań, a obce rynki zyskują na marginalizacji polskiej gospodarki.

Próby przejęcia Lasów Państwowych trwają od lat. W 2009 r. portal WikiLeaks ujawnił, że ówczesny marszałek Sejmu Bronisław Komorowski rozważał wykorzystanie Lasów do zaspokojenia roszczeń żydowskich. W 2010 r. rząd Donalda Tuska chciał włączyć Lasy Państwowe do sektora finansów publicznych, aby przejąć ich majątek. Później planował nałożyć na Lasy podatek w wysokości 2 proc. rocznych przychodów, a nawet zmienić prawo, ułatwiając ich sprzedaż. Teraz mamy do czynienia z kolejną próbą skoku na Lasy.

Rząd Donalda Tuska jest zdeterminowany, a wsparcie Brukseli i Berlina przyspiesza tempo działań. Jednocześnie leśnicy i lokalni mieszkańcy coraz bardziej się jednoczą. Z doświadczenia wiemy, że można to zrobić skutecznie. W 2014 r. prof. Jan Szyszko podjął akcję referendalną w obronie Lasów Państwowych i zebrał ponad 3,5 mln podpisów. Ten sukces można powtórzyć. Dr Pawel Sałek wraz ze stowarzyszeniem zbierają podpisy pod nową petycją referendalną w obronie Lasów. Można ją znaleźć na stronie: www.pawelsalek.pl.

Trwa proces systematycznego osłabiania państwa i gospodarczego rozbioru Polski. Lasy Państwowe to ogromnie ważny czynnik naszego bezpieczeństwa, nie tylko surowcowego. Stanowią przecież jedną trzecią powierzchni kraju. Pod pozorem wspólnych, ekologicznych działań całej Unii możemy utracić suwerenność i sterowność nad ogromnym obszarem polskiej ziemi. W toku są już kolejne, jeszcze bardziej szkodliwe projekty.

Fot. Ludmyla Skwarczyńska

eprasa.pl 88749c7169

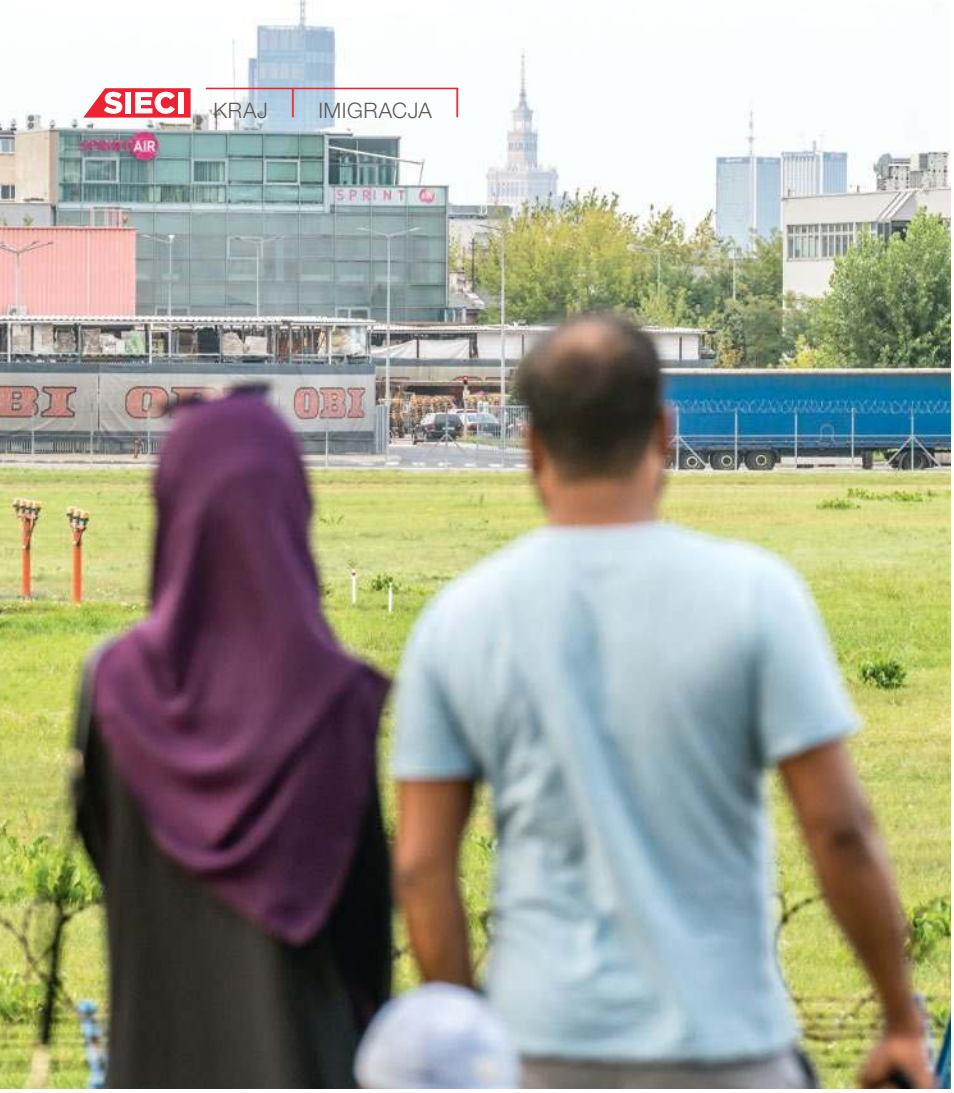

Obco na ulicy

Udział obcokrajowców w naszej populacji w ciągu ostatnich 15 lat skoczył gwałtownie z kilku promili do prawie 6 proc. Jest to największy i najszybszy wzrost wśród krajów rozwiniętych

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. Andrzej Skwarczyński

Jeszcze kilka lat temu wielką popularność w Europie Zachodniej zyskiwały internetowe filmiki przedstawiające warszawskie metro lub ulice polskich miast. Autorzy tych filmów, zwykle zagraniczni turyści odwiedzający nasz kraj, pytali swoich widzów o to, co najbardziej przykuwa ich uwagę.

Odpowiedź była oczywista. Przytłaczająca większość lub wręcz wszystkie osoby złapane w kadrze były białymi Europejczykami. Rzecz zupełnie niewyobrażalna w wieloetnicznym i wielokulturowym tyglu Zachodu.

Publikowane w sieci filmy błyskawiczne stawały się internetowymi viralami, zbierając dziesiątki tysięcy polubień i słów uznania dla Polski. Co warto podkreślić, przychylne komentarze nie zawierały zazwyczaj rasistowskich uwag, lecz były wyrazem nostalgii za bezpowrotnie utraconą przeszłością. Za czasami, gdy takie obrazki były codziennością w całej Europie, a na tamtejszych ulicach było swojsko i bezpiecznie.

JUŻ SIĘ ZACZĘŁO

Pisząc o tych filmikach, celowo użyłem czasu przeszłego. Bo choć ciągle można trafić na takie materiały w internecie, to jeżeli nic się nie zmieni, wkrótce staną się one zapisem także naszej historii.

Dziś, gdy wejdzie się do warszawskiego metra, nie jest już tak jednorodnie jak jeszcze kilka lat temu. Zupełnie inaczej wyglądają też ulice. Wystarczy przejść kilka kroków i zaraz wyprzedzi nas egzotyczny kurier rozwożący jedzenie. Po chwili natkniemy się w parku na muzułmańską parę z dziećmi, a na przejściu zatrąbi w naszą stronę taksówkarz z jakiegoś odległego zakątka świata. Po drodze miniemy jeszcze kilka budek z kebabami oraz azjatyckich i afrykańskich fryzjerów. Warszawa – a wraz z nią coraz więcej miast w Polsce – zmienia swoje oblicze.

Imigranci, których jest u nas coraz więcej, na razie nie stanowią bezpośredniego zagrożenia. Są mniejszością. Coraz bardziej widoczną, rozrastającą się z roku na rok, ale ciągle jeszcze mniejszością. Na razie brakuje im pewności siebie, zajmują się swoją pracą i zazwyczaj unikają konfliktów. Nie oznacza to jednak, że będzie tak zawsze.

W miastach Europy Zachodniej zaczynało się podobnie. Wystarczyło jednak 30 lat, aby nieodwracalnie naruszyć istniejącą dotąd strukturę społeczną. W Polsce mamy nawet mniej czasu niż nasi zachodni sąsiedzi, bo w ostatniej dekadzie dynamika migracji gwałtownie wzrosła. Do tego dochodzi jeszcze presja ze strony instytucji unijnych. Chodzi przede wszystkim o pakt migracyjny, który formalnie wszedł w życie 12 czerwca br., choć według deklaracji rządu na razie nie będzie przymusowej relokacji imigrantów. Pytanie, jak długo.

eprasa.pl 88749c7169

KULTURA PODBOJU

Mniejszości są różne. Azjaci z Dalekiego Wschodu, np. Wietnamczycy, żyją zazwyczaj w swoich gettach, niewidzialnych dla zewnętrznego obserwatora. Ciężko pracują, uczą się i przede wszystkim starają się unikać jakichkolwiek sytuacji konfliktowych z Polakami. Są też w stanie – zwłaszcza w młodym pokoleniu, urodzonym już u nas – asymilować się, przynajmniej na poziomie języka czy poszanowania dla polskiej kultury.

Na temat Ukraińców i Białorusinów nie ma sensu dłużej się rozwodzić. Obie nacje przynależą do szeroko rozumianej kultury europejskiej. Pojawiające się problemy wynikają zazwyczaj z dużej skali imigracji, co przekłada się na konflikty o podłożu ekonomicznym, mentalnym czy – tak jak ostatnio – historycznym.

Większość obaw wiąże się z przybyszami reprezentującymi odmienne kultury. Przyjezdni z ubogich krajów afrykańskich mają ogromne kłopoty z adaptacją do życia w niezrozumiałym dla nich świecie Zachodu, co skutkuje frustracją, wypadnięciem na margines i może szybko prowadzić do kryminalizacji. Podobnie jest z imigrantami z Ameryki Łacińskiej, którzy choć od strony konfesyjnej przynależą do świata chrześcijańskiego, to wywodzą się z zupełnie innej rzeczywistości społecznej niż nasza – znacznie bardziej brutalnej i często opartej na sile. Nieprzypadkowo poziom przestępczości w państwach latynoskich należy do najwyższych na świecie. Warto mieć to na uwadze.

Podobnie jest zresztą w przypadku przyjezdnych z Kaukazu – według statystyk policyjnych należący do tej grupy Gruzini są najczęstszymi sprawcami poważnych przestępstw wśród imigrantów w Polsce. Wskaźnik przestępczości dla tej grupy wyniósł w naszym kraju aż 10 proc., co oznacza, że średnio co dziesiąty imigrant z Gruzji popełnił u nas jakieś przestępstwo (dla porównania Ukraińcy – 0,65 proc., a Polacy – 0,71 proc.).

Niekiedy – jak w przypadku imigrantów z państw muzułmańskich – mamy do czynienia z kulturą podboju, nastawioną na prozelityzm i dynamicznie rozpychającą się na terenach, do których dotarła. Jednym z objawów tej ekspansji jest tworzenie w Europie struktur społeczeństwa równoległego, w którym nie obowiązują prawa i zasady państwa przyjmującego.

Muzułmańska społeczność jest bardzo aktywna religijnie, a jej liczebność w Polsce stale rośnie. Dowodzi tego choćby wynajmowanie dużych sal (np. hali Cracovii) na zbiorowe modlitwy. Zderzenie z ekspansywną kulturą muzułmańską doprowadziło już u nas do pierwszych konfliktów, o czym może świadczyć rosnąca liczba relacji publikowanych w internecie. Najgłośniejszą z nich był film z parkingu pod Świebodzinem w województwie lubuskim, gdzie muzułmańska rodzina postanowiła rozłożyć dywaniki modlitewne i rozpocząć modły. Na tym tle doszło do kłótni z polskim kierowcą ciężarówki, który w dosadnych słowach dał do zrozumienia, że nie życzy sobie takich widoków w Polsce. Z kolei w Bydgoszczy z tego samego powodu doszło do bójki Polaka z dwójką Egipcjan. Jednak w większości przypadków muzułmanie, którym zwrócono uwagę – mniej lub bardziej grzecznie – rezygnowali z publicznego okazywania swojej wiary. W tym miejscu pojawia się pytanie, jak długo będą się podporządkowywać.

> Przyczynami przemiany polskich miast w wielokulturowe tygle są pogoń za zyskiem, bo firmy oszczędzają na pracownikach, oraz kryzys demograficzny, który ogranicza liczbę rąk do pracy

Odpowiedź jest stosunkowo prosta: dopóki nie stworzą u nas na tyle silnej społeczności, aby – tak jak to ma dziś miejsce w wielu krajach Europy – dyktować warunki tubylcom i bez oporu przejmować ich przestrzeń.

MECZET W BLOKU

Na początku czerwca pełnomocniczka ds. integracji w berlińskiej dzielnicy Neukölln powiedziała w wywiadzie, że w jej mieście funkcjonuje islamska sieć, której celem jest przekształcenie społeczeństwa zgodnie z prawem szariatu. W podobnym duchu wypowiadał się w Bundestagu szef Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji.

Rok temu na alarm biły francuskie służby specjalne, wskazując, że działania organizacji islamskich, w tym Bractwa Muzułmańskiego, stanowią zagrożenie dla spójności narodowej Francji. Zdaniem tych służb islamiści stopniowo przejmują państwo. Zwrócono też uwagę, że wiele z tych działań opiera się na powolnym zyskiwaniu wpływów w życiu społecznym bez uciekania się do otwartej przemocy.

Polska jest oczywiście na zupełnie innym etapie niż Francja, ale warto w tym kontekście wychwytywać różne niepokojące sygnały i zwrócić uwagę na pojawiające się również u nas próby kamuflowania obcej ekspansji pod płaszczykiem działalności kulturalno-edukacyjnej.

Na początku tego roku w Krakowie rozgorzał spór wokół muzułmańskiego centrum kultury i modlitwy przy ul. Dworskiej, który w bloku mieszkalnym chciała utworzyć Fundacja al-Fadżr. Jej misją jest – jak pisze na swojej stronie internetowej – „promowanie wartości islamskich poprzez edukację, działalność charytatywną i aktywną integrację ze społecznością lokalną".

Fundacja zapewniała, że chodzi tylko o „miejsce modlitwy". Jak wyjaśniono, społeczność muzułmańska w Krakowie ma zaledwie dwa takie miejsca, które są już „niewystarczające". Dlatego postanowiono otworzyć trzeci punkt, gdzie oprócz modlitw odbywałyby się również zajęcia z języka arabskiego, nauka Koranu oraz spotkania grup wsparcia dla muzułmańskich rodzin.

Problem w tym, że – jak wskazują mieszkańcy – nikt z nimi nie konsultował tak dalekosiężnych planów. Na początku lipca doszło nawet do demonstracji przeciwko utworzeniu tego rodzaju placówki. Ostatecznie centrum prawdopodobnie

eprasa.pl 88749c7169

nie powstanie (przynajmniej w tym miejscu), bo właściciel lokalu zdecydował się na wypowiedzenie najmu.

Ta potyczka została wygrana, głównie dzięki determinacji mieszkańców oraz wspierających ich prawicowych aktywistów oraz radnych. Obawy musi jednak budzić to, że władze w ogóle nie dostrzegają zagrożenia, obwiniając o konflikt lokalną społeczność. Według pełnomocniczki prezydenta Krakowa ds. polityki równościowej mamy tu do czynienia ze „sztucznym podsycaniem lęków i wzniecaniem konfliktów na tle religijnym i kulturowym". Jej zdaniem państwo nie może sprzeciwiać się muzułmańskim inicjatywom ze względu na konstytucyjną wolność wyznania.

To oczywiście prawda, ale pod warunkiem, że to samo państwo kontroluje zarazem swoją politykę imigracyjną. Klęska na tym polu może bowiem doprowadzić po pewnym czasie do sytuacji, w której nie będzie już mowy o żadnej wolności. W interesie liberalnego państwa jest zatem zachowanie jak największej ostrożności.

UTRATA MIAST

Trudno nie zauważyć, że wbrew oficjalnym deklaracjom rządu imigrantów w Polsce jest z każdym rokiem coraz więcej. Według szacunków GUS ludność naszego kraju liczyła pod koniec 2025 r. 38,8 mln osób, z czego 2,3 mln stanowili cudzoziemcy (ponad dwie trzecie z nich to Ukraińcy). Łącznie obcokrajowcy stanowią u nas 5,93 proc. ludności. Proporcje te – w porównaniu z innymi państwami europejskimi – nie są wprawdzie imponujące, bo jesteśmy dopiero w drugiej dziesiątce krajów o największym odsetku cudzoziemców w Europie (i to po wyłączeniu z niej mikropaństw w rodzaju Monako czy Andory).

Ważne jest jednak co innego – dynamika wzrostu. Tutaj Polska plasuje się już w ścisłej czołówce. Jak podaje GUS, udział obcokrajowców w naszej populacji w ciągu ostatnich 15 lat skoczył gwałtownie z kilku promili do prawie 6 proc. Jest to największy i najszybszy wzrost wśród krajów rozwiniętych (OECD).

Z danych Urzędu ds. Cudzoziemców wynika, że w 2025 r. w pierwszej piątce ubiegających się o pobyt czasowy znaleźli się (obok Ukraińców, Białorusinów i Gruzinów) przybysze z Indii oraz Kolumbii. Coraz częściej przyjeżdżają do nas imigranci z Nepalu, Bangladeszu, Azji Centralnej i Ameryki Południowej.

Tę różnorodność i dynamikę wzrostu liczby imigrantów widać najlepiej na ulicach naszych miast. I nie jest to tylko wrażenie przeciętnego przechodnia, skalę zmian potwierdzają bowiem twarde dane GUS. Wynika z nich, że duże polskie miasta i ich przedmieścia zamieszkuje 1 mln cudzoziemców. Już co piąty mieszkaniec Wrocławia pochodzi z zagranicy. Kolejne trzy miejsca zajmują miejscowości położone pod Warszawą – Piaseczno i Ząbki, gdzie w 2025 r. udział obcokrajowców w ogólnej liczbie mieszkańców wyniósł aż 17,5 proc., oraz Pruszków, z udziałem 14,5 proc. Większość z nich to pracownicy warszawskiego sektora usług.

> Według szacunków GUS ludność Polski liczyła pod koniec 2025 r. 38,8 mln, z czego 2,3 mln stanowili cudzoziemcy. Łącznie obcokrajowcy stanowią u nas 5,93 proc. ludności

W samej stolicy, która znalazła się w tym rankingu na piątej pozycji, cudzoziemcy stanowią 14,5 proc. ludności miasta. W liczbach bezwzględnych Warszawa, gdzie mieszka dziś 301 tys. obcokrajowców, znajduje się jednak na pierwszym miejscu.

Podane wartości są jednak niczym w porównaniu z małymi ośrodkami przemysłowymi. W wielkopolskim Mikstacie, gdzie znajdują się zakłady drobiarskie, cudzoziemcy stanowią aż 53,5 proc. ogólnej liczby mieszkańców. Ponad 30-procentowy udział obcokrajowców notuje też Stryków (województwo łódzkie), w którym działają centra logistyczne, Sława (województwo lubuskie), gdzie ulokowały się zakłady przetwórstwa wędlin oraz dolnośląski Jelcz-Laskowice i Mszczonów na Mazowszu.

POGOŃ ZA ZYSKIEM

Nierównomierne rozlokowanie cudzoziemców w całym kraju (głównie wokół dużych miast oraz w prowincjonalnych ośrodkach przemysłowych) dużo nam mówi o źródłach gwałtownego wzrostu imigracji. Nie należy do nich – jak się niekiedy sądzi – przemyt ludzi przez zieloną granicę. Imigracji nie podbijają też znacząco głośne pushbacki ani relokacja, która nie weszła jeszcze w życie.

Wielokulturowy, kolorowy tłum na ulicach miast został do nas ściągnięty głównie przez przedsiębiorców poszukujących taniej siły roboczej. Według ZUS najpopularniejsze branże wśród imigrantów zarobkowych to przetwórstwo przemysłowe (pracuje w nim 42 proc. spośród wszystkich ubezpieczonych cudzoziemców), transport i gospodarka magazynowa (25 proc.), usługi (12 proc.) oraz budownictwo (11 proc.). Oprócz Ukraińców najczęściej zatrudniano Białorusinów, Gruzinów, Hindusów, Filipińczyków i Kolumbijczyków.

Winowajcami są zarówno niewielkie polskie firmy, jak i duże zagraniczne koncerny. W ich ofertach wspólne są dwa elementy: niska płaca oraz niewymagająca większych kwalifikacji praca. Tak jak w przypadku kurierów rozwożących jedzenie i towary, kierowców taksówek na aplikacje czy pracowników sieciowych fast foodów. Niektórzy twierdzą zresztą, że rynek usług kurierskich został sztucznie wykreowany przez międzynarodowe koncerny, aby przejąć marże sklepów stacjonarnych, a potem rękami cudzoziemców zatrudnionych za głodowe stawki zarżnąć polski handel i usługi.

Przyczynami przemiany polskich miast w wielokulturowe tygle są więc głównie pogoń za zyskiem, bo firmy bardzo często oszczędzają na pracownikach, a także głęboki kryzys demograficzny, który ogranicza liczbę rąk do pracy. Doświadczenia Europy Zachodniej wskazują jednak, że konsekwencje tych dwóch zjawisk mogą się okazać fatalne. Pewnego dnia okaże się bowiem, że staliśmy się mniejszością we własnym kraju.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88749c7169

Czy tego chcemy?

DOROTA ŁOSIEWICZ

Przez wiele lat określenie „strefy no-go" było traktowane przez znaczną część europejskich elit politycznych i medialnych jako przesada lub wręcz mit wykorzystywany przez środowiska krytyczne wobec masowej migracji. Tymczasem kolejne zamachy terrorystyczne, eksplozja przestępczości zorganizowanej, zamieszki uliczne oraz narastające problemy z egzekwowaniem prawa sprawiły, że problem ten coraz częściej staje się przedmiotem analiz ekspertów zajmujących się bezpieczeństwem

Podczas Dni Studyjnych Grupy EKR w Warszawie poświęconych bezpieczeństwu sekretarz generalny francuskiego Obserwatorium Imigracji i Demografii Maxime Hemery-Aymar, autor opracowania „Strefy no-go: imigracja, islamizacja i powstawanie społeczeństw równoległych", przygotowanego na zlecenie ośrodka analitycznego New Direction, przedstawił wyniki swojej raportu. Wynika z niego, że w Unii Europejskiej może obecnie istnieć od 900 do 1 tys. obszarów, nad którymi państwa w różnym stopniu utraciły kontrolę i funkcjonują one jako społeczeństwa równoległe. Autor nie twierdzi, że są to dzielnice całkowicie niedostępne dla policji, lecz miejsca, w których państwo przestaje być jedynym źródłem prawa, bezpieczeństwa i autorytetu.

CZYM JEST STREFA „NO-GO"?

Ponieważ ani Komisja Europejska, ani żadne inne instytucje unijne nie stworzyły oficjalnej definicji tego zjawiska, autor raportu opracował własny system oceny bazujący na 11 wskaźnikach, obejmujących trzy podstawowe obszary.

Pierwszym jest poziom przestępczości. Ocenie podlega liczba zabójstw, przestępstw seksualnych i rozbojów przekraczająca dwukrotnie średnią unijną, obecność gangów młodzieżowych oraz zamieszki w ciągu ostatnich pięciu lat.

Drugim filarem są oznaki powstawania społeczeństwa równoległego. Należą do nich wysokie bezrobocie, masowe porzucanie edukacji oraz pojawianie się norm społecznych sprzecznych z europejskim porządkiem prawnym, takich jak antysemityzm, ograniczanie praw kobiet czy presja wobec osób homoseksualnych.

Trzecim elementem jest wycofywanie się państwa. Obejmuje ono ataki na policję i straż pożarną, utrudniony dostęp służb ratunkowych oraz zastępowanie instytucji publicznych przez organizacje niepaństwowe lub lokalne struktury społeczne.

Na podstawie tych kryteriów powstała pięciostopniowa skala zagrożenia – od obszarów wysokiego ryzyka po strefy krytyczne.

MAPA UTRACONYCH DZIELNIC

Najwyższe noty otrzymały Franc-Moisin w Saint-Denis (10 pkt), La Castellane w Marsylii (9,4 pkt), Molenbeek w Brukseli (9,4 pkt), Rosengård w Malmö (9,4 pkt), Mistral w Grenoble (8,8 pkt), Aurora w Turynie (8,8 pkt) oraz Marxloh w Duisburgu (8,8 pkt).

W kolejnej grupie znalazły się m.in. Neukölln w Berlinie, Raval w Barcelonie, Borgerhout w Antwerpii, Quarto Oggiaro w Mediolanie, Chorweiler w Kolonii, Villaverde w Madrycie czy Feyenoord w Rotterdamie.

To właśnie w tych dzielnicach od lat koncentrują się problemy związane z handlem narkotykami, działalnością gangów, przemocą uliczną, radykalizacją religijną oraz trudnościami organów państwa w utrzymaniu porządku publicznego.

IMIGRACJA JAKO GŁÓWNY CZYNNIK

Centralna teza raportu brzmi jednoznacznie: głównym źródłem powstawania stref „no-go" jest długotrwała masowa migracja połączona z nieudaną integracją. Według przedstawionych danych osoby urodzone za granicą stanowią przeciętnie ok. 40 proc. mieszkańców analizowanych dzielnic. Dla porównania – średnia dla dużych miast UE wynosi ok. 18 proc.

Autorzy podkreślają, że nie jest to wyłącznie problem biedy. Wskazują, że ubogie regiony o niewielkiej imigracji – jak Kampania czy francuska Creuse – nie wytworzyły stref „no-go". Jednocześnie regiony znacznie bogatsze, lecz charaktery-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88749c7169

zujące się wysokim napływem migrantów, takie jak Val-d'Oise czy Emilia-Romania, zmagają się z podobnymi problemami.

Szczególnie krytycznie oceniany jest mechanizm łączenia rodzin. Według raportu w 2022 r. od 35 do 48 proc. wszystkich pozwoleń na pobyt wydanych w Unii dotyczyło właśnie tego rodzaju migracji. Autorzy twierdzą, że obowiązujące orzecznictwo europejskie praktycznie uniemożliwia państwom skuteczne ograniczenie tego procesu.

ISLAMIZACJA I SPOŁECZEŃSTWA RÓWNOLEGŁE

Drugim filarem diagnozy jest postępująca islamizacja części zachodnioeuropejskich metropolii. Raport wskazuje, że średni udział ludności muzułmańskiej w analizowanych strefach wynosi ok. 29 proc. wobec niespełna 5 proc. w całej UE. Autorzy zauważają również równoległy wzrost liczby meczetów we Francji i wzrost liczby obszarów określanych jako „no-go".

Ich zdaniem szczególnie niepokojąca jest działalność środowisk salafickich, organizacji Tablighi Jamaat oraz struktur powiązanych z Bractwem Muzułmańskim, które budują własne systemy norm społecznych funkcjonujące obok prawa państwowego.

Raport przywołuje również wyniki badania IFOP z 2020 r., zgodnie z którymi 57 proc. francuskich muzułmanów w wieku od 15 do 25 lat deklarowało wyższość prawa szariatu nad prawem Republiki Francuskiej. Zdaniem autorów jest to sygnał głębokiego kryzysu integracji.

Nie bez znaczenia pozostaje także to, że 11 z 15 głównych krajów pochodzenia osób ubiegających się o azyl w UE to państwa z większością muzułmańską, trzema najliczniejszymi grupami otrzymującymi obywatelstwo unijne w 2023 r. byli natomiast obywatele Syrii, Maroka i Albanii.

BEZPIECZEŃSTWO POD PRESJĄ

Raport przedstawia wiele danych ilustrujących koncentrację przestępczości. W Belgii aż 44 proc. wszystkich rozbojów ma miejsce w Brukseli, mimo że mieszka tam jedynie ok. 10 proc. ludności kraju. W Marsylii w 2023 r. odnotowano 49 zabójstw, z czego – według raportu – ponad 80 proc. przypisywano działalności tzw. DZ Mafii. We Włoszech cudzoziemcy odpowiadają za ok. 32 proc. przestępstw narkotykowych, w Szwecji liczba strzelanin w najbardziej zdegradowanych dzielnicach jest natomiast dziewięciokrotnie wyższa niż w najbezpieczniejszych częściach kraju.

Autorzy opisują także proces zastępowania państwa przez struktury przestępcze. Gangi nie ograniczają się do handlu narkotykami. Rozstrzygają konflikty, organizują pomoc socjalną, rekrutują młodzież i budują własny system lojalności skutecznie konkurujący z instytucjami państwa.

WYLĘGARNIE RADYKALIZMU

Jednym z najmocniejszych argumentów raportu jest analiza środowiska sprawców zamachów terrorystycznych. Z analizy wynika, że aż 63 proc. islamistów dokonujących zamachów w Europie w latach 2010–2025 miało potwierdzone związki ze strefami „no-go".

Symbolicznym przykładem pozostaje brukselski Molenbeek, z którego do Syrii wyjechało 47 bojowników Państwa Islamskiego – dziesięciokrotnie więcej, niż wynosiła średnia belgijska. To właśnie z tej dzielnicy wywodzili się Salah Abdeslam, Abdelhamid Abaaoud i Mohamed Abrini – organizatorzy oraz uczestnicy zamachów w Paryżu i Brukseli.

KRYZYS PAŃSTWA NARODOWEGO

Maxime Hemery-Aymar zwraca uwagę, że problem nie ogranicza się wyłącznie do bezpieczeństwa. Coraz częściej pojawiają się równoległe mechanizmy rozwiązywania sporów rodzinnych bazujące na prawie religijnym, nieformalna segregacja kobiet w przestrzeni publicznej czy presja środowiskowa prowadząca do ograniczania swobód obywatelskich. Temu procesowi towarzyszy zmiana sceny politycznej. W wielu państwach zachodnich zdecydowana większość wyborców muzułmańskich popiera partie lewicowe. Jednocześnie rośnie liczba ugrupowań odwołujących się bezpośrednio do tożsamości muzułmańskiej, takich jak holenderski DENK, belgijski ISLAM, niemiecka DAVA czy szwedzka Nyans. Zdaniem autora prowadzi to do stopniowego odchodzenia od klasycznej europejskiej zasady świeckości państwa na rzecz polityki uwzględniającej oczekiwania wspólnot religijnych.

EUROPA ŚRODKOWA JAKO PUNKT ODNIESIENIA

Szczególne miejsce w raporcie zajmuje porównanie Europy Zachodniej z Polską i Węgrami. Autor wskazuje, że w latach 2010–2025 oba państwa nie odnotowały islamistycznych zamachów terrorystycznych ani nie istnieją w nich obszary klasyfikowane jako strefy „no-go". Jednocześnie udział obywateli spoza UE pozostaje tam marginalny i nie przekracza 1 proc. Raport podkreśla również, że po 2022 r. Polska przyjęła ponad 1 mln uchodźców z Ukrainy, co nie doprowadziło do wystąpienia zjawisk obserwowanych w Europie Zachodniej. Autor interpretuje to jako dowód, że zasadnicze znaczenie ma nie sama liczba migrantów, lecz stopień ich kulturowej kompatybilności z państwem przyjmującym.

POTRZEBA ZMIANY KURSU

Maxime Hemery-Aymar nie ogranicza się do diagnozy. Proponuje szeroki program działań obejmujący ograniczenie migracji, reformę zasad łączenia rodzin, skuteczniejszą deportację osób nielegalnie przebywających na terytorium państw UE, uzależnienie finansowania programów integracyjnych od ich efektów, walkę z islamizmem politycznym, zakaz finansowania meczetów z zagranicy, odbudowę obecności państwa na zdegradowanych obszarach oraz długofalową rewitalizację odzyskanych dzielnic.

Trudno ignorować zasadnicze pytanie, które stawia autor opracowania: czy państwo demokratyczne może zaakceptować sytuację, w której na części własnego terytorium przestaje być jedynym gwarantem prawa, bezpieczeństwa i porządku?

Europa stoi dziś przed wyborem. Może uznać rozwój społeczeństw równoległych za nieuniknioną konsekwencję globalizacji i dalszej masowej migracji albo podjąć próbę odbudowy spójności narodowej, skuteczności państwa oraz wspólnoty obywatelskiej. Niezależnie od politycznych sympatii trudno zaprzeczyć, że od odpowiedzi na to pytanie zależeć będzie przyszłość europejskich miast w XXI w.

eprasa.pl 88749c7169

Wielka rekonstrukcja

Rozłam w Prawie i Sprawiedliwości stał się faktem, mimo że formalnie został czasowo zamrożony

STANISŁAW JANECKI

Gdy przed posiedzeniem Komitetu Politycznego Prawa i Sprawiedliwości (28 lipca 2026 r.) prezes Jarosław Kaczyński mówił, że „w jakimś sensie jest po wszystkim", tak w istocie było. Faktycznie nastąpiło rozejście się grupy Mateusza Morawieckiego (40 posłów, senator i 3 eurodeputowanych) oraz PiS. Ale o tym, co nieuchronne, obie strony chciały zdecydować na własnych warunkach. A te różnią się zasadniczo i mają bardzo odmienne skutki.

Mateusz Morawiecki i jego grupa widzieli korzyści w tym, że zostaną wyrzuceni. Dla Jarosława Kaczyńskiego i kierownictwa PiS optymalne było takie rozwiązanie, że sami wyjdą. Chodziło o zastosowanie tego samego art. 6 i tego samego ust. 1 statutu Prawa i Sprawiedliwości, lecz w pierwszym przypadku pkt. 3, a w drugim – pkt. 6. Wedle pierwszego z tych przepisów „członkostwo w PiS ustaje wskutek: członkostwa w organizacji, której cele są sprzeczne z celami, zasadami ideowymi, programem lub interesem PiS albo czynnego wspierania takiej partii lub organizacji". Wtedy zastosowanie ma art. 39 (odpowiedzialność dyscyplinarna), czyli postępowanie dyscyplinarne (art. 42) wszczyna rzecznik dyscypliny na wniosek któregoś z ośmiu uprawnionych organów. W pkt. 6 ust. 1 art. 6 powodem „utraty członkostwa" jest „dobrowolna rezygnacja członka, zgłoszona na piśmie z dniem złożenia rezygnacji".

Kiedy 28 lipca 2026 r. Mateusz Morawiecki pospiesznie zrezygnował

Fot. Dawid Wolski/East News

eprasa.pl 88749c7169

z funkcji przewodniczącego Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (p.o. od razu został włoski polityk Carlo Fidanza), wpisał się w scenariusz Jarosława Kaczyńskiego. A to, czy jest się wychodzącym, czy wyrzucanym, ma fundamentalne znaczenie: dla statusu, dla przyszłości i dla legendy – czy też mitu założycielskiego. Przekazanie przez Komitet Polityczny rozstrzygnięcia rzecznikowi dyscyplinarnemu przedłuża cały proces i utrudnia działania organizacyjne, choć Morawiecki ogłosił już założenie nowego klubu parlamentarnego (29 lipca), z czego wynikną przetasowania w komisjach sejmowych oraz zajmowanych pomieszczeniach. Pozostaje wystąpienie o zarejestrowanie nowej partii oraz jej trwałe wejście w roli podmiotu do sondaży i budowanie własnej tożsamości. Trzeba też przełamać niepewność wyborców i zwolenników, kogo mają popierać. Decyzja Komitetu Politycznego sprawia, że nie ma spektakularnego „nowego początku" (jeśli posłużyć się tytułem filmu o lądowaniu obcych na Ziemi) – jest „długie pożegnanie" (gdyby użyć tytułu jednej z powieści Raymonda Chandlera i filmu na jej podstawie). „Nowy początek" byłby atutem Morawieckiego, „długie pożegnanie" daje przewagę (przynajmniej taktyczną) Kaczyńskiemu.

POWRÓT DO 2001 r.

Rozłam w partii Jarosława Kaczyńskiego może mieć dla polskiej sceny politycznej skutki, jakich nie było od 2001 r., gdy powstały Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska. Wtedy po raz pierwszy – i na razie ostatni – w III RP polityczny rozwód się opłacił, gdyż powstały podmioty przez ponad 20 lat (od 2005 r.) dzielące między siebie władzę w Polsce.

Jarosław Kaczyński opuścił Akcję Wyborczą „Solidarność" już w 1997 r., ale założone przez niego Porozumienie Centrum trwało w AWS jeszcze cztery lata. Z kolei rozwód Donalda Tuska z Unią Wolności odbył się w tym samym czasie co wyjście jego zwolenników wywodzących się z Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Tamte rozejścia się miały wpływ na całą scenę polityczną.

Skutki rozłamu w PiS, który miał miejsce w lipcu 2026 r., też dotkną praktycznie każdej obecnie działającej partii. Na razie nie ma żadnych oficjalnych zapowiedzi utworzenia partii Mateusza Morawieckiego na bazie stowarzyszenia Rozwój Plus, choć on sam stwierdził 27 lipca, że takie mogą być następstwa rozłamu. Taki scenariusz jest już zresztą testowany w sondażach. Gdy IBRiS w sondażu dla „Rzeczpospolitej" (z 24–25 lipca) uwzględnił hipotetyczne ugrupowanie Morawieckiego, poparcie dla niego zadeklarowało 7,4 proc. badanych, podczas gdy PiS mogłoby liczyć „tylko" na 17,3 proc. głosów. W badaniu pracowni Opinia24 dla „Faktów" TVN i TVN24 Rozwój Plus mógłby liczyć na poparcie 6,2 proc. badanych, a PiS dostałoby 17,7 proc. głosów, czyli o ponad 5 pp. mniej niż w przypadku wspólnego startu z „partią Morawieckiego".

Potencjał nowej partii nie jest znany przed jej wejściem na scenę. Można jednak przewidywać, że nie będzie się ona „posilać" wyłącznie elektoratem PiS. Elektorat ten może wręcz być w mniejszości, mimo iż obecnie na rzecz Morawieckiego traci właściwie tylko Prawo i Sprawiedliwość. Może stać się tak, że na poparcie dla partii Morawieckiego złożą się – jak to ujął w telewizji wPolsce24 Rafał Ziemkiewicz – „wyborcy nowoczesnej, umiarkowanej prawicy: prorozwojowej, technokratycznej i mniej podatnej na romantyczno-patriotyczne hasła". A tacy wyborcy są obecnie nie tylko w Prawie i Sprawiedliwości, lecz także w Koalicji Obywatelskiej, Polskim Stronnictwie Ludowym, Polsce 2050, Nowej Nadziei, Partii Razem, a nawet w Unii Centrum oraz Konfederacji Korony Polskiej. „Partia Morawieckiego" może nawet przejąć część wyborców utożsamianych z tak symbolicznymi miejscami jak warszawski Wilanów i wrocławskie Jagodno.

Rozłam w partii Jarosława Kaczyńskiego może mieć dla polskiej sceny politycznej skutki, jakich nie było od 2001 r., gdy powstały Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska. Wtedy po raz pierwszy – i na razie ostatni – w III RP polityczny rozwód się opłacił

ZDRADZENI PRZEZ TUSKA

Ewentualna partia Morawieckiego mogłaby pozyskać tych wyborców, którzy zostali „zdradzeni" przez Donalda Tuska. „Zdradzeni" w ten sposób, że zostali wepchnięci w trudne do spłacenia kredyty, a jednocześnie „skazani" na obniżające się dochody i wściekli na nieistnienie normalnej ścieżki awansu (zawodowego, społecznego, w hierarchii prestiżu). „Zdradzeni" także z powodu marazmu rozwojowego i modernizacyjnego pod rządami Tuska, co odbiera im przyszłość. „Zdradzeni" z powodu kolesiostwa i sitwokracji (to wyszło przy okazji afery w Warszawskim Szpitalu Południowym), które uniemożliwiają im rywalizację na konkurencyjnych, uczciwych zasadach. Może być nawet tak, że wyborcy KO będą chcieli „ukarać" Tuska za swoje trudne warunki życia, za to, że w niego zainwestowali i nie mają żadnego zwrotu z tej inwestycji.

Gdy chodzi o pozyskiwanie wyborców innych partii, może zadziałać mechanizm lepszej oferty. I chociaż różne środowiska w ugrupowaniach mogących stanowić łowiska dla Morawieckiego były bardzo krytyczne wobec Polskiego Ładu oraz sposobu zwalczania pandemii, wiele zyskały, przede wszystkim podatkowo. Były premier może się okazać marką silniejszą od Kosiniaka-Kamysza, Hołowni, Pełczyńskiej-Nałęcz, Hennig-Kloski czy

eprasa.pl 88749c7169

Zandberga, a poza tym jest politykiem sprawczym i sprawdzonym w rządzeniu. Dla niektórych środowisk ważne będzie też oderwanie „partii Morawieckiego" od negatywnego wizerunku PiS, przez lata wdrukowywanego opinii publicznej przez polityków i media liberalno-lewicowe, choć całkowicie nieracjonalnego.

Partia Morawieckiego może więc „podbierać" wyborców na szeroką skalę. Choć trzeba zauważyć, że np. Jan Rokita sądzi, iż na rozłamie nie zyska ani partia Morawieckiego, ani PiS. Istnieje jednak duża szansa, że Prawo i Sprawiedliwość straci niewiele, z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, chodzi o powrót grupy tych, którzy opuścili PiS, przerzucając się głównie na Nową Nadzieję Sławomira Mentzena. Ale ten nic dla nich nie zrobił i nie zanosi się, by to się zmieniło. Po drugie, z powodu naturalnej chęci tych, którzy się „obrazili" na PiS, by zrekompensować tej partii i jej liderowi straty wywołane odejściem sporej grupy posłów i działaczy.

Dla KO i Tuska ogromnym problemem będzie to – zakładając widoczne obecnie utrzymanie się spadku poparcia dla PiS wskutek rozłamu – że praktycznie zniknie główna motywacja do działania i podstawowy element programu, czyli anty-PiS. Na podstawie danych, które ujawniły exit polls przy okazji wyborów 15 października 2023 r., odsetek głosujących na KO w związku z tym, że kreowała się ona na anty-PiS, mógł dochodzić nawet do 50 proc. Podobny, a może nawet wyższy odsetek wyborów KO głosował na tę partię, mimo że nie lubią (a często wręcz nienawidzą) Tuska, a to on uosabiał anty-PiS. Teraz ta motywacja może być marginalna. Tym bardziej że sam Tusk bardzo się zużył i kłamiąc w praktycznie każdej sprawie, stracił wiarygodność, więc jego złe oceny jako premiera sięgają już 60 proc.

Na niekorzyść Tuska i obozu władzy działa też rosnąca i dominująca pozycja prezydenta Karola Nawrockiego, namawianego nie tylko do patronowania prawicowemu paktowi senackiemu, lecz także do wsparcia nowoczesnej, modernizacyjnej i umiarkowanej prawicy, jaka ma szansę się wyłonić w związku z utworzeniem partii Morawieckiego.

Wiele wskazuje na to, że „rewolucja" w polskiej polityce po podziale w PiS nie doprowadzi do tego, z czym mamy do czynienia w Czechach i Chorwacji. W Czechach Ruch ANO 2011 obecnego premiera Andreja Babiša ma poparcie powyżej 30 proc. W październiku 2025 r. ruch ANO 2011 zdobył 34,51 proc. głosów. Pozostałe czeskie partie – ODS, STAN, Piraci czy SPD – rzadko przekraczają 20 proc. poparcia i są zmuszone do tworzenia przedwyborczych koalicji blokowych (np. koalicja SPOLU). Proporcjonalny system w Czechach uniemożliwia ANO 2011 zdobycie bezwzględnej większości mandatów (101 w 200-osobowej Izbie Poselskiej), dlatego zawsze musi poszukiwać partnerów koalicyjnych lub mniejszościowego poparcia. Z kolei Chorwacka Wspólnota Demokratyczna (HDZ) zdobywa 30–35 proc. głosów, a pozostałe partie rzadko przekraczają 18 proc.). HDZ nie rządzi jednak samodzielnie i musi dobierać mniejszych koalicjantów. Koalicja Obywatelska Tuska nie będzie miała takiej pozycji jak ANO 2011 w Czechach czy HDZ w Chorwacji, nie będzie więc mogła rozdawać kart. Znajdzie się raczej w sytuacji największych partii w Belgii i Holandii, których poparcie nie przekracza 20 proc. i muszą zawierać trudne, skomplikowane koalicje.

OSKARŻONY MORAWIECKI?

Rozłam w PiS oznacza utworzenie nowego klubu parlamentarnego (stosowny wniosek trafił do marszałka Sejmu 29 lipca), trzeciego co do wielkości. PiS niejako wyprzedziło ten ruch, zgłaszając Marcina Ociepę na stanowisko wicemarszałka Sejmu. Ale decyzja Komitetu Politycznego o postępowaniu dyscyplinarnym nie odwlekła powołania nowego klubu. PiS przestanie dysponować największym klubem w Sejmie, co oznacza też małą rewolucję na zapleczu biurowym, a także zmiany w komisjach sejmowych.

Nie wiadomo natomiast, jaki wpływ na start partii Morawieckiego może mieć to, że były premier usłyszy zarzuty w śledztwie dotyczącym Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. O takiej ewentualności już w kwietniu 2026 r. donosiły prorządowe „Gazeta Wyborcza", „Rzeczpospolita", „DGP", „Fakt" i Onet, WP oraz naTemat, a także państwowa TVP Info. Narracja mediów jest taka, że z RARS, którą „Morawiecki osobiście nadzorował jako premier", wyprowadzono kilkaset milionów złotych. Pieniądze te trafiły ponoć do spółek ludzi z otoczenia ówczesnego szefa rządu. Dostarczane przez te firmy towary i urządzenia często miały być wadliwe, a ceny zawyżane, nawet kilkakrotnie. Śledztwo w sprawie RARS wszczęto 1 grudnia 2023 r., prowadzi je Śląski Wydział Zamiejscowy Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Katowicach.

Sprawa zarzutów dla Morawieckiego jest o tyle ważna, że jego przeciwnicy w PiS opowiadali, iż dogadał się z Tuskiem – jeśli rozbije partię, może uniknąć odpowiedzialności karnej. Od tygodni krążyły informacje, że Tusk postawił swoim mediom zadanie, by skłócić Morawieckiego z własnym ugrupowaniem, aby w ten sposób stał się dla niego ciężarem. Wtedy łatwiej będzie przedstawić mu zarzuty, aresztować i postawić przed sądem, bo PiS nie będzie go broniło.

Wedle tej narracji Tusk pozostaje pod presją najbardziej radykalnego elektoratu oraz Romana Giertycha i musi im rzucić kogoś ważnego z PiS, aby się nie frustrowali i nie zdemobilizowali. A gdyby przed wyborami w 2027 r. udało się oskarżyć i aresztować byłego premiera, byłoby to największe osłabienie PiS i najważniejszy element kampanii wyborczej.

Obecnie do tej narracji dodano opowieści, że to z powodu ewentualnego postępowania karnego Morawiecki stał się problemem w Prawie i Sprawiedliwości. Te plotki chyba nie przekonały Kaczyńskiego, który postrzega kwestie rozłamu na tle walki o przywództwo i zmiany strategicznego usytuowania na scenie politycznej. W PiS najważniejsze jest poszerzenie poparcia w elektoracie prawicowym, w kręgu Morawieckiego – pozyskanie mitycznych wręcz wyborców centrum. Na razie rozłam formalnie został zamrożony, ale faktycznie już się dokonał.

eprasa.pl 88749c7169

To były niemieckie obozy koncentracyjne

Gdy słyszałem od wykształconych ludzi, że to były polskie obozy – bo na polskim terytorium, bo Polacy też byli w ich obsłudze czy administracji – to powiem, że gdybym miał moje Parabellum, to bym strzelał

Ze Stanisławem Zalewskim, wieloletnim przewodniczącym Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, oraz mecenasem Lechem Obarą, przewodniczącym Stowarzyszenia Patria Nostra, rozmawia Jerzy Szmit

Panie Stanisławie, urodził się pan w 1925 r., wkrótce obchodzi pan 101. urodziny. Do Auschwitz trafił pan w wieku 18 lat. Jak do tego doszło?

Stanisław Zalewski: Pochodzę ze wsi, ale od 5. roku życia mieszkałem na Pradze, przy nieistniejącej już ul. Olszowej nad Wisłą. W Warszawie funkcjonowały ferajny (grupy młodych ludzi trzymające się razem). Żeby dostać się do naszej, trzeba było przepłynąć Wisłę na warszawską stronę i wrócić. Było harcerstwo kształtujące charaktery. Naturalnie już w czasie okupacji dotarł do nas ktoś i stworzyliśmy sekcję Związku Walki Zbrojnej oraz grupę małego sabotażu. Byliśmy szkoleni do walki, również w mieście. Pamiętam m.in. naszą akcję wywieszenia polskiej flagi na kominie zbombardowanego budynku dawnej komendy uzupełnień. Była widoczna z warszawskiego brzegu. Wpadliśmy w czasie jednej z akcji malowania na murach hasła „Pawiak pomścimy" i kotwicy Polski Walczącej. Zatrzymał nas niemiecki patrol. Trafiliśmy najpierw do komendy policji na Pradze, dalej do siedziby Gestapo w Alei Szucha, potem na Pawiak. Wszędzie przesłuchania, bicie. A po trzech tygodniach do Auschwitz.

Auschwitz i inne obozy, codzienne ocieranie się o śmierć. Czy zastanawialiście się, jak to możliwe, że Niemcy potrafią bez wyrzutów sumienia tak okrutnie traktować i mordować ludzi?

Czasem tak, ale byliśmy nastawieni na przeżycie. Opowiem, jaka była racja żywnościowa w Auschwitz. Mieliśmy tylko miski. Rano do tej miski dostawaliśmy czarnej kawy – tyle, ile mam tutaj w filiżance i nic więcej. Byłem w kolumnie transportowej i rozładowywaliśmy wagony. Potem przerwa na obiad, czyli miskę zupy. W zależności od tego, jak się trafiło podczas podejścia do kotła, bo na dole kotła zupa jest bardziej gęsta niż na górze. Od funkcyjnego zależało, skąd nabrał zupy. Miało to ogromne znaczenie, aby przeżyć. Trafiłem na okres, gdy rozbudowywano obóz.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88749c7169

Przychodziły towary i materiały, cement pakowany w 50-kilogramowe worki. Każdy z więźniów dostawał taki worek na plecy i musiał z nim przejść z kilkadziesiąt metrów, a może więcej. Po takich kilku rundach, przy takim obciążeniu i wyżywieniu, jedna trzecia ludzi padała. Niemcy się tym nie przejmowali: przyjeżdżali nowi więźniowie z tzw. rolwagą (ciągniętym przez nich wózkiem) i ładowali tych, którzy umarli. Później dym z krematorium informował, co się z nimi stało.

A kolejne obozy?

Po miesiącu w Auschwitz nagle dostałem wezwanie, że mam się stawić na zbiórkę. Wykąpano nas, wydano nowe ubrania i poprowadzono do nowego baraku. Rano zbiórka i załadunek do wagonów towarowych, o dziwo wyścielonych słomą, a miejsca tak dużo, że można było chodzić. Wartę trzymało dwóch młodych Niemców, którzy zajęli się sobą. Dojechaliśmy do Wiednia. Tam zmienili się wartownicy i policzyli nas. Trzech brakowało, więc zaczęło się dochodzenie. Niemcy wszystkich pobili kolbami karabinów, bo nic nie ustalili. Każdy z nas był mocno pokrwawiony. Uciekinierzy wyrwali trzy deski z podłogi i zbiegli. Do tej pory nie wiem, jak to zrobili.

Ciężko pobici trafiliśmy do Mauthausen. Wyselekcjonowano trzech, którzy rzekomo pomagali uciekinierom. Wysiedliśmy na placu apelowym Mauthausen i przesiedzieliśmy tam całą noc. Rano ustawiono nas i pod eskortą rozpoczęliśmy marsz do Gusen, 8–9 km. Po drodze wartownicy za każde uchybienie bili nas kolbami karabinów. Nie było więźnia, który nie został pobity. Byliśmy głodni, osłabieni. Gdy ktoś upadł z wycieńczenia, to zatrzymywali całą kolumnę. Wtedy wartownicy wybierali dwóch więźniów wyglądających na silnych i kazali nieść martwych, trzymając za ręce i nogi. I tak dotarliśmy do Gusen.

Dlaczego trafił pan właśnie tam?

Miałem wpisane w karcie personalnej, że jestem mechanikiem samochodowym, i skierowano mnie do pracy w podziemnej fabryce samolotów odrzutowych. Ponieważ umiałem trochę po niemiecku, zrobiono ze mnie brygadzistę, więc obrywałem za wszystko. Amerykanie wyzwolili nas w maju 1945 r. Wśród nich byli też Polacy. Zabrali nas do Norymbergi, do swojej bazy. Tam dostaliśmy mundury, wyposażenie, ale broni nie, bo jak powiedział dowódca: jak dostaniecie broń, to będziecie chodzić po mieście i do strzelać Niemców. Myślał rozsądnie. Po obozach i niewolniczej pracy to był piękny czas. Ale wkrótce usłyszeliśmy, że Amerykanów zabierają do Stanów, aby dalej walczyli z Japończykami. Mogliśmy jechać z nimi, ale oczywiście wróciliśmy do Polski.

Jak pan zareagował, gdy po raz pierwszy usłyszał pan określenie „polskie obozy koncentracyjne"?

Jestem chłopak z Pragi i to mnie wzięło. Zawsze interweniowałem, gdy to słyszałem. Mówiłem: to były niemieckie obozy, żadne polskie. One tylko znajdowały się na terenie Polski, ale to były obozy niemieckie. Rzeczywiście, byli więźniowie, którzy ratując swoje życie, wysługiwali się Niemcom i wykonywali ich drastyczne polecenia. Po prostu chcieli przeżyć.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że głód i bicie było straszne, ale najstraszniejsza była próba odczłowieczenia was.

Wychowałem się na Pradze i byłem zahartowany w różnych sytuacjach. Ale głód, bicie, cierpienia upokarzały ludzi, zmuszały do wysługiwania się Niemcom. A oni to wykorzystywali i powierzali pewne funkcje więźniom. Mam na myśli np. kapo, którzy pilnowali innych więźniów. To sprawiało, że więzień stawał przeciwko więźniowi bez względu na narodowość czy inne rzeczy. Bo miarą przeżycia było zdobycie kawałka chleba albo buraka. Wtedy odczłowieczenie następowało bardzo szybko. Może uratowały mnie moje chłopskie geny.

Czy to, co się dzieje w sądach – przewlekłe postępowania, manipulowanie – też pan uważa za rodzaj odczłowieczenia?

Nie mogę słuchać tych bzdur na temat polskich obozów koncentracyjnych. Musiałem wyłączyć się z tych dyskusji i w ogóle przestałem chodzić na rozprawy, mimo że jestem biegłym sądowym od spraw wypadków i ocen technicznych. Gdy słyszałem od wykształconych ludzi, że to były polskie obozy, bo na polskim terytorium, bo Polacy też byli w ich obsłudze czy administracji, to powiem, że gdybym miał moje Parabellum, to bym strzelał.

Zwracam się do mecenasa Lecha Obary: stwierdzenie „polskie obozy koncentracyjne" jest tak absurdalne, że nie mogło powstać spontanicznie. Od kiedy funkcjonuje?

Lech Obara: Pierwszy krok uczyniły władze komunistyczne PRL. Z powodów ideologicznych, aby nie zrażać „dobrych Niemców z NRD", wobec niemieckich okupantów i ich zbrodni zaczęto używać słów „hitlerowcy", „faszyści". Takie określenia znajdują się nawet na pomnikach i upamiętnieniach, które wówczas powstały. Oczywiście w Niemczech Zachodnich zaczęto robić dokładnie to samo. Ideologiem był szef wywiadu RFN Reinhard Gehlen, który sformułował teorię, by określenie terytorialne zawładnęło świadomością świata jako fałszywy kod pamięci. Stało się praktyką, że wobec niemieckich zbrodni czy obozów używano wyłącznie słowa „nazistowski". To była i jest żelazna zasada obowiązująca w Niemczech. Potem wykonano następny krok – niemieckie obozy zaczęto nazywać polskimi.

Dlaczego na takie kłamstwo nie reagowali Żydzi?

Niemcom bardzo zależało na ułożeniu stosunków z Żydami i Państwem Izrael. W 1960 r. w Nowym Jorku doszło do spotkania premiera Izraela Dawida Ben Guriona z kanclerzem Niemiec Konradem Adenauerem. Niemcy zobowiązali się m.in. wypłacać odszkodowania ofiarom Holokaustu i wspierać państwo żydowskie, a w zamian Izrael miał nie obciążać Niemców odpowiedzialnością za zbrodnie na swoim narodzie. Ustalono, że winni będą „naziści". Te odszkodowania nadal są wypłacane, a Izrael nadal może liczyć na ogromne wsparcie Niemiec. Ponurą konsekwencją tego porozumienia były i są próby przerzucania odpowiedzialności na

eprasa.pl 88749c7169

Polaków. Niestety określenie „polskie obozy koncentracyjne" stale pada na całym świecie. Nawet prezydent Obama w 2012 r. użył go w oficjalnej wypowiedzi, gdy pośmiertnie dekorował Jana Karskiego Medalem Wolności.

Od wielu lat walczy pan w sądach polskich, niemieckich i europejskich w imieniu pana Stanisława, a przedtem w imieniu nieżyjącego już Karola Tendery i innych z tym kłamstwem. Robi to pan pro bono.

Zaczęło się w 2009 r. od pozwu, który Zbigniew Osewski, potomek więźniów obozów, wniósł przeciwko koncernowi Axel Springer za użycie w gazecie „Die Welt" sformułowania „polski obóz koncentracyjny". Przyłączyliśmy się do sprawy i ostatecznie po długich bojach osiągnęliśmy to, że nakazano przeprosiny, ale bez zadośćuczynienia finansowego. Co ważne, sąd stwierdził, że potomek może dochodzić swoich racji w tych sprawach. Jednak tych stwierdzeń w mediach było bardzo dużo. Następna sprawa to był przypadek Luberdy Zapaśnik, która jako dziecko przebywała w obozie pod Toruniem. Nie był to dosłownie obóz koncentracyjny, ale miał taki charakter. Tutaj pozwaliśmy wielki portal FOCUS-online za nazwanie „polskim obozem" Sobiboru i Treblinki. W sprawie Karola Tendery w 2016 r. uzyskaliśmy wyrok nakazujący wielkiej telewizji ZDF opublikowanie jednoznacznych przeprosin. Egzekwując jego wykonanie przez wszystkie instancje, doszliśmy do niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego. Niestety przed rozprawą pan Karol odszedł od nas w wieku 98 lat.

Potem pojawiło się kwestionowanie właściwości polskich sądów do rozpatrywania tych spraw, m.in. sprawy pana Stanisława, czyli pozwu z 2018 r. przeciw rozgłośni Bayerischer Rundfunk i wydawcy Mittelbayerischer Verlag.

Co ważne, sądy w Niemczech łącznie z Sądem Najwyższym nigdy nie kwestionowały właściwości polskich sądów do rozpatrywania tych pozwów. Zrobił to dopiero polski sąd! 24 października 2019 r. Sąd Apelacyjny w Warszawie w trzyosobowym składzie pod przewodnictwem sędzi Marzeny Konsek-Bitkowskiej zadał pytanie Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej, czy polskie sądy są właściwe do rozpatrywania tych spraw! Odpowiedź była niekorzystna dla nas. TSUE tak stwierdził, ponieważ pan Stanisław nie był wymieniony w kontekście „polskich obozów" z imienia i nazwiska. Ponadto TSUE orzekł, że polskie sady nie są właściwe do rozpatrywania naszych pozwów i powinny to robić sądy w Niemczech. Jednak jak zawsze wspólnie z mecenasem Szymonem Topą dokonaliśmy wnikliwej analizy orzecznictwa TSUE w podobnych sprawach. Wykazaliśmy, że istnieją liczne orzeczenia, gdzie obywatel jednego państwa może pozywać obywatela albo firmę z innego państwa, a do rozpatrywania sprawy jest właściwy sąd, gdzie pozywający ma swoje centrum życiowe.

Fot. Andrzej Wiktor

I podjęliście dalszą walkę.

Złożyliśmy od wyroku odrzucającego pozwy kasacje do Sądu Najwyższego. Pan Stanisław i my czekaliśmy na rozstrzygnięcie cztery lata. W 2025 r. Sąd Najwyższy potwierdził nasze argumenty i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. Sąd Apelacyjny ponownie rozpatrzył sprawę i uznał, że w Polsce możemy dochodzić roszczeń majątkowych, przeprosin – w Niemczech. Natychmiast wnieśliśmy kasację do SN od tej części orzeczenia i jednocześnie zażądaliśmy przyspieszenia rozstrzygnięcia roszczeń majątkowych. Rozdzielenia spraw odmówiono, co oznacza wiele lat procesowania. A pan Stanisław ma 101 lat, trzeba więc uszanować jego zaawansowany wiek i stan zdrowia. Poparł nas również rzecznik praw obywatelskich. Mimo to dostaliśmy odpowiedź odmowną. Napisaliśmy skargę do prezesa Sądu Apelacyjnego i to też nic nie dało. Wobec tego cofniemy kasację w sprawie przeprosin i będziemy dochodzić tylko roszczeń majątkowych. Jednak walkę o przeprosiny przed polskimi sądami będziemy kontynuować na inne sposoby.

Tylko nieliczni prawnicy rozumieją te sądowe procedury.

Będziemy próbować wszystkiego: pisaliśmy do polskiego parlamentu, wielu instytucji unijnych, współpracowaliśmy z rzecznikiem praw obywatelskich, prokuraturą, organizujemy i uczestniczymy w konferencjach tematycznych, występujemy przed sądami niemieckimi. A np. przed niemieckim Trybunałem Konstytucyjnym może występować tylko kancelaria z listy 21 podmiotów. Wynajęliśmy więc taką kancelarię za własne pieniądze. Polska Fundacja Narodowa mogłaby chyba monitorować te sprawy i wynajmować odpowiednich prawników. Nie będziemy rezygnować z walki o dobre imię Polski i Polaków.

Zwracam się na koniec do pana Stanisława. Jak pan teraz na to patrzy?

Stanisław Zalewski: Mój syn dostał propozycję bardzo dobrej pracy w Niemczech. Przyszedł do mnie i zapytał, czy może tam jechać do pracy. Miałem dylemat, jednak mówię: „Słuchaj, jeżeli to ma być dobre dla ciebie i twojej rodziny, to jedź. Pamiętaj tylko, kim jesteś i kim był twój ojciec". Już wrócił i teraz mi pomaga. I stale towarzyszy mi pytanie: czy każdą krzywdę można naprawiać sprawiedliwością?

eprasa.pl 88749c7169

Choć terrorysta Abdul Ballout od dawna był na celowniku niemieckich służb, te nie zapobiegły jego atakowi na uczestników parady równości w Berlinie 25 lipca br.

Kolaboracja z najeźdźcami

Wyzuci ze wszelkiej moralności, skrajnie cyniczni władcy Europy dla zdobycia lub utrzymania władzy zrobią wszystko, zawrą sojusz z każdym szatanem. Jak do cna zepsuty hiszpański rząd Pedro Sáncheza, który właśnie importuje sobie ponad 4 mln świeżutkich wyborców w postaci imigrantów. Władcy Europy mają gdzieś konsekwencje takiej operacji

DARIUSZ MATUSZAK

25 lipca tuż przed 22.00 w parku Tiergarten w centrum Berlina, w bliskim sąsiedztwie kultowych punktów miasta, takich jak Brama Brandenburska oraz Plac Poczdamski, 21-letni Abdul Ballout wjechał samochodem w uczestników parady LGBT+. Pochodzący z rodziny libańskich imigrantów islamski terrorysta zabił na miejscu 65-letnią Polkę z Warszawy, która uczestniczyła w imprezie wraz ze swoją córką, i ranił 29 osób.

RZEWNY BEŁKOT LEWICY

Wszystkie okoliczności przed zamachem i po nim potwierdzają znane schematy oraz to, że zdemenciała do reszty Europa nie potrafi zapobiegać takim aktom terroru, nie ma mentalnej zdolności, a jej władcy i środowiska lewicy są niemal wspólnikami zamachowców. Ot, weźmy minister w KPRM Katarzynę Kotulę, która – zanim znane było polskie pochodzenie zabitej kobiety – uraczyła nas takim komentarzem: „Pride znaczy duma, radość, wspólnota. To święto społeczności LGBT+, w trakcie którego czuje się bezpiecznie na naszych ulicach. Niezależnie od motywu musimy chronić nasze wartości, bo atak na paradę to atak na naszych bliskich. Nie możemy dać się podzielić i nie pozwólmy, by nienawiść i radykalizacja zwyciężyły nad solidarnością. Naszą odpowiedzią musi być jeszcze silniejsze zaangażowanie w politykę przeciwdziałania przemocy motywowanej uprzedzeniami oraz w ochronę wszystkich naszych społeczności. Jesteśmy myślami z Berlińczykami i uczestnikami Christopher Street Day".

To klasyka lewicowego bełkotu. Nic o sprawcy, o motywacjach, o istocie tego, co się stało, tylko jakieś słodkie gadki o wartościach, solidarności, walce

Fot. John Macdougall/AFP/East News

eprasa.pl 88749c7169

z uprzedzeniami i takie tam. Najgłupszy unijny lewak lepiej by tego nie napisał. Kotula nie musiała komentować tragedii, zwłaszcza że nie było wiadomo, iż główną ofiarą była Polka. Co najwyżej złożyć wyrazy współczucia, ale nie – ona musiała pokazać się w awangardzie postępu, unijnej światłości i pławić się w blaskach ideologii LGBT+. Za to są nagrody. Podobnie wypowiadał się burmistrz Berlina: „Po pokojowym i barwnym Christopher Street Day zgromadzenie na rzecz tolerancyjnego i pokojowego Berlina zostało zaatakowane w najbardziej brutalny sposób. Berlin jest miastem wolności, a nasza wolność została dziś zaatakowana w najstraszliwszy sposób [...]. Potrzebujemy więcej współpracy, większej solidarności, mniej nienawiści i mniej wojen na świecie".

Kai Wegner jest z CDU, ale to nie oznacza już jakichkolwiek więzów z chrześcijaństwem, z konserwatyzmem. W większości zachodnie niby prawicowe ugrupowania polityczne jak CDU, brytyjscy Konserwatyści, francuscy Republikanie, hiszpańska Partia Ludowa to byty wykastrowane, a często też po lobotomii. Bezwolne, płynące z prądem śnięte ryby. Z tych rzewnych, pretensjonalnych komentarzy nie wynika nic na przyszłość. Gdyby były obrazkami, widzielibyśmy rysowanie kredkami po chodniku i polityków trzymających się za rączki. Znamy to od dwóch dekad.

I druga część tego schematu. Oto okazuje się, że terrorysta od dawna był na celowniku służb. W 2022 r. został skazany za pobicie i rozbój. W 2025 r. Ballout próbował wziąć udział w Syrii w walkach po stronie Państwa Islamskiego. Przez Turcję przedostał się do Libanu, ale tam został aresztowany i na trzy miesiące wsadzony do więzienia za podżeganie do wojny. Po odsiadce terrorysta zostaje odesłany do Niemiec, gdzie na lotnisku jest zatrzymany i wsadzony do aresztu tymczasowego. Sąd skazuje go na rok i dziewięć miesięcy więzienia za przygotowywanie zamachu „zagrażającego państwu" – jak napisano w uzasadnieniu wyroku. Wykonanie kary zostaje jednak zawieszone, a islamista trafia pod opiekę kuratora i kilku dziuń z pozarządowej organizacji Sieć Zapobiegania Przemocy (Violence Prevention Network), które prowadzą kurs „deradykalizacji". Judy Korn, specjalistka od prawicowego ekstremizmu, Ella Goldschmied od teorii spiskowych w Ameryce i retoryki prawicowych radykałów, Ariane Wolf od gender, inkluzywności i zwalczania mizoginii oraz Cornelia Lotthammer również od gender, spisków i czegoś tam innego, uczą islamistę, jak się uspokoić, zwalczyć w sobie agresję i coś tam jeszcze, np. homofobię albo mizoginię. Gdyby nie chodziło o tragiczne wydarzenia, to powiedzielibyśmy, że to scenariusz godny Barei. Dwa miesiące po wyjściu z aresztu islamista rozjeżdża 30 osób.

GWAŁT NA EUROPIE

Te schematy są stałe – infantylna reakcja na zamach, bezradność państwa ogłupionego przez lewicowe rojenia, niemal przyzwolenie na przemoc i przestępczość wśród imigrantów. Oczywiście w pojedynczych przypadkach to objawia się różnie. W Wielkiej Brytanii po 15 latach tresowana w walce z rasizmem policja skuwa śmiertelnie rannego Henry'ego Nowaka, bo zabójca Sikh oskarżył go o rasizm, a np. sądy w Wiedniu i Hamburgu wypuszczają na wolność zwyrodnialców, którzy wielokrotnie zbiorowo zgwałcili dziewczynki. Niemiecki reżyser Uwe Boll twierdzi, że decyzja sądu w Hamburgu dała mu ostateczny impuls do nakręcenia filmu „Citizen Vigilante" – „Obywatel strażnik". Obraz będący opowieścią o samotnym, psychopatycznym mścicielu wymierzającym sprawiedliwość przestępcom imigrantom, a także funkcjonariuszom systemu, którzy pozwalają na zbrodnie, został zablokowany w Niemczech. Udostępniony w sieci (m.in. przez Elona Muska) stał się prawdziwym hitem.

Kiedy czyta się raport posła do brytyjskiego parlamentu Ruperta Lowe'a (można go znaleźć pod adresem: https://rapeganginquiry.co.uk/report) o wykorzystywaniu seksualnym, zgwałceniu w ciągu trzech dekad przez islamskich imigrantów 250 tys. dziewcząt, to stwierdzenie, iż odbywa się gwałt na Europie, nie jest przenośnią. To, co wydarzyło się w Wielkiej Brytanii, ta zmowa milczenia na temat gwałtów imigranckich gangów pedofilów, obejmująca władze miast, nauczycieli i kuratorów, pracowników społecznych i służby zdrowia, policjantów i prokuratorów, oznacza kolaborację władzy, państwa, jego instytucji z islamskim terrorem, z imigrantami najeźdźcami. Europa doszła do etapu, w którym nie chodzi o głupotę, naiwność czy infantylizm lewaków biegających boso po łąkach za tęczowymi jednorożcami.

Oczywiście nie brakuje również zwykłych idiotów, jak paryska poseł do Zgromadzenia Narodowego Sandrine Rousseau, która chce z powrotem ściągnąć do swego kraju dżihadystów, którzy wyjechali z Francji walczyć po stronie Państwa Islamskiego, by lepiej ich monitorować i posłać na kursy uspokajania się. Teraz mamy do czynienia także z wyrachowaniem, cynizmem i złem. To sprzedawanie własnej wspólnoty za władzę, przywileje i pieniądze. Chodzi nie tylko o granty, unijną i rządową kasę, niekończące się konferencje międzynarodowe, wakacje na jachtach w czasie rejsów z imigrantami, jak choćby w przypadku posła Franciszka Sterczewskiego, który przez miesiąc bujał się z Hiszpanii do Izraela na modrych falach. A potem były wywiady, sława, kolejne pieniądze, wycieczki i stanowiska. Największą z nagród jest elektorat, który da władzę na zawsze. W postaci czystej z takimi operacjami mamy do czynienia we Francji, Wielkiej Brytanii i Hiszpanii.

BYLE MIEĆ WŁADZĘ

Pojęcie islamo-gauchisme, czyli islamo-lewica, zostało ukute we Francji przez filozofa Pierre'a-André Taguieffa i opisuje ono nowy ruch polityczny, a może nawet nową doktrynę – sojusz islamistów ze skrajną lewicą. To nic, że to niby dwa światy całkowicie ze sobą niekompatybilne. Pożyteczni idioci mogą maszerować pod obydwoma sztandarami. Tak było choćby w czasie berlińskiej parady LGBT+, która szła także z hasłami proimigranckimi i propalestyńskimi, zanim rozjechał ją islamski terrorysta.

Wyzuci ze wszelkiej moralności, skrajnie cyniczni władcy Europy dla zdobycia lub utrzymania władzy zrobią wszystko. Lewacy od Jean-Luca Melenchona z partii La France insoumise (Francja Nieujarzmiona) zawrą sojusz z każdym szatanem. Tak jest w podparyskich miastach: Saint-Denis, Sarcelles, Le Blanc-Mesnil, w dzielnicach Paryża, Lyonu, Marsylii,

eprasa.pl 88749c7169

Nicei, Bordeaux, w całych gminach wokół nich czy w departamentach, jak Val-d'Oise. Widząc sukces Melenchona, podobne koalicje zawierają socjaliści, komuniści i zieloni. Mer Lyonu Grégory Doucet z partii Europa Ekologia-Zieloni dla islamistów zrywa nawet z żelazną zasadą Francji – laickością i organizuje muzułmańskie modły. Mer, który wspierałby katolików, np. pozwalałby na symbole chrześcijańskie na budynkach, wylądowałby za to w więzieniu.

Proces zdobywania władzy przez imigrantów, głównie muzułmańskich, a także hinduskich, jest widoczny w Wielkiej Brytanii. Najbardziej znany przypadek to burmistrz Londynu Sadiq Khan, Pakistańczyk. W miastach, hrabstwach, regionach administracyjnych, którymi rządzą imigranci z pierwszego bądź drugiego pokolenia, mieszka blisko 20 mln ludzi. W 2024 r. Wielka Brytania doczekała się nawet takiej układanki, że była niemal całkowicie pod rządami ludzi o afrykańskich czy azjatyckich korzeniach i tożsamości. Premierem Wielkiej Brytanii był Hindus – Rishi Sunak, premierem Szkocji – Humza Yousaf pochodzenia pakistańsko-kenijskiego, a premierem Walii – Zambijczyk Vaughan Gething. Uchowała się jedynie Irlandia Północna pod rządami białej Michelle O'Neill.

By zdobyć i utrzymać władzę, najlepiej importować odpowiedni elektorat na wielką skalę. Taka operacja, na niemal niewyobrażalną skalę, trwa właśnie w Hiszpanii. Do cna zepsuty, do kości skorumpowany rząd socjalistów Pedra Sáncheza, który od czterech lat nawet nie jest w stanie sklecić budżetu, nie ma większości, a władzę sprawuje tylko dzięki skłóceniu prawicy, właśnie funduje sobie ponad 4 mln nowych, świeżutkich wyborców. Do października 2025 r. na podstawie Ley de Nietos – tzw. ustawy o wnukach – miliony potomków Hiszpanów, którzy wyjechali z kraju w czasach Franco, mogły składać papiery o przyznanie im obywatelstwa. Trwa procedowanie wniosków, ale szacuje się, że 3 mln wnuków i prawnuków tych, którzy byli nieraz zwykłymi emigrantami, ludzi, którzy nawet nigdy nie byli w Hiszpanii, będzie teraz głosować i wybierać władzę.

3 mln świeżego elektoratu głównie z Ameryki Łacińskiej, gdzie lewica ma niemal monopol na władzę, to dla hiszpańskich socjalistów za mało, więc w tym roku otworzono jeszcze drzwi przed nielegalnymi imigrantami, głównie z Afryki. Do 30 czerwca mogli składać papiery o legalizację pobytu. Spodziewano się 500 tys. wniosków, a było ich ponad 1,3 mln. Lewicowym kolaborantom nie przeszkadza to, że np. w Katalonii sprawcami 85 proc. kradzieży są cudzoziemcy. Socjaliści szykują im najpierw legalny pobyt, pozwolenia na pracę, ubezpieczenia i przywileje socjalne, a potem szybką ścieżkę do obywatelstwa i prawo ściągania swych rodzin.

> David Betz, profesor studiów wojskowych z londyńskiego King's College, twierdzi, że w Europie została spełniona większość warunków prowadzących do wybuchu wojny domowej

Tak oto w ciągu roku Hiszpania zafundowała Europie więcej imigrantów niż jest mieszkańców Chorwacji, Litwy, Słowenii, Łotwy, Estonii, Cypru, Luksemburga czy Malty. Wy, przedstawiciele małych, niepotrzebnych narodów, zobaczcie, ile będziecie mieli do powiedzenia w Europie. Córka sowieckiego genseka Kaja Kallas jak nic sprzeda swych estońskich rodaków za unijną posadkę.

W Niemczech sformalizowana umowa o kolaboracji z imigrantami i islamistami, układ o sprzedaży własnej wspólnoty, a nawet narodu w zamian za władzę ma np. postać tzw. paktu kolońskiego na rzecz imigracji. Dla niepoznaki nazwano go paktem o uczciwości. Kolonia nadawała się idealnie, bo tam tysiące ściągniętych przez Angelę Merkel imigrantów w jedną sylwestrową noc ubogaciły kulturowo tysiące Niemek, a trzy lata temu islamiści próbowali wysadzić w powietrze słynną katedrę. Pakt podpisały wszystkie partie poza AfD. To umowa o tym, że nie będzie mówić się źle o imigrantach, o masowej imigracji. Nie będzie się łączyć przybyszy z takimi zjawiskami jak wzrost przestępczości, poczucie zagrożenia wśród mieszkańców, wzrost bezrobocia, załamywanie się systemu socjalnego i opieki zdrowotnej, rozpad struktur wspólnotowych. Rozumieją państwo: formalny, wielopartyjny pakt o uczciwości dotyczący tego, jak okłamać, oszukać własnych wyborców.

Aktem o kolaboracji i sprzedawaniu narodów na skalę światową jest np. ONZ-owski Globalny Program Obywatelski, realizowany przez setki instytucji i organizacji w takiej czy innej postaci (uczelnie mają własne warianty). Jego główne założenie stanowi nauczanie, iż tożsamość, naród, przywiązanie do swego miejsca, patriotyzm to przestarzałe koncepty, które są przeszkodą w rozwoju ludzkości. Na amerykańskim Uniwersytecie Webster, który działa także w Holandii, Szwajcarii i Grecji, zajęcia z tego globalnego wynaradawiania są obowiązkowe. Bez ich ukończenia nie otrzyma się dyplomu.

Według najnowszego raportu, opracowanego przez Rockwool Foundation z Berlina, 65 mln mieszkańców Unii Europejskiej urodziło się poza jej granicami. To tyle, ilu jest Francuzów, 7 mln więcej niż Włochów, 20 mln więcej niż Hiszpanów. Powołując się na raport Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV), dziennik „Die Welt" podaje, że w Niemczech żyje blisko 29 tys. islamistów, z czego ponad 9 tys. jest gotowych w każdej chwili wystąpić zbrojnie czy dokonać ataków.

David Betz, profesor studiów wojskowych z londyńskiego King's College, twierdzi, że w Europie została spełniona większość warunków prowadzących do wybuchu wojny domowej. Jego analiza to nie spekulacje, lecz szacunki. Betz opiera je na setkach akademickich badań nad anatomią wojny i wariantach możliwych wydarzeń, ciągów przyczynowo-skutkowych. Według niego prawdopodobieństwo wybuchu wojny z imigrantami w Europie sięga 50 proc. A jeśli stanie się to w jednym kraju, to niemal na pewno powtórzy w kolejnych.

eprasa.pl 88749c7169

Franciszek i Leon XIV: *dwa modele przywództwa*

Na pytanie, czy między pontyfikatami papieży Bergoglia i Prevosta istnieje ciągłość, czy zmiana, najkrótsza odpowiedź brzmi: korekta

GRZEGORZ GÓRNY

Od momentu, gdy kard. Robert Prevost został papieżem, minęło kilkanaście miesięcy. To wystarczająco dużo czasu, by móc wskazać podstawowe różnice w zarządzaniu Kościołem między Leonem XIV a jego poprzednikiem Franciszkiem.

Wiele odmienności wynika z pochodzenia oraz kultury, która ukształtowała obu hierarchów. Obecny biskup Rzymu jest Amerykaninem ze Środkowego Zachodu, gdzie katolicyzm ma silny rys instytucjonalny, panuje przywiązanie do solidnych struktur administracyjnych, a kultura kładzie duży nacisk na pragmatyzm, dyskrecję i sprawność funkcjonowania. To całkowita odwrotność latynoskiej tradycji, która uformowała Franciszka z jego zamiłowaniem do improwizacji, akcyjności oraz zarządzenia przez konflikt i chaos. O ile dla Roberta Prevosta podstawowym społecznym punktem odniesienia była stabilna demokracja z silnym elementem pomocniczości, o tyle dla Jorgego Maria Bergoglia analogiczną rolę odgrywał peronizm, czyli argentyńska odmiana populizmu.

Poza tym Leon XIV jest z wykształcenia kanonistą, a więc jurystą myślącym w kategoriach norm, procedur i przepisów, na dodatek mającym zaufanie do sprawnie funkcjonującego porządku prawnego. To przeciwieństwo woluntaryzmu Franciszka, dla którego bycie „człowiekiem prawa" oznaczało niemal obelgę w zestawieniu z „człowiekiem ducha". Ta niechęć przejawiała się także w stosunku do prawa kościelnego, które traktował z dużą dezynwolturą. Nie czuł się skrępowany obowiązującymi normami, zdarzało się więc, że zmieniał istniejące prawo metodą faktów dokonanych, nie zmieniając zarazem jego przepisów, co powodowało chaos prawny.

Przez dwie kadencje, czyli 12 lat, Robert Prevost sprawował funkcję generała zakonu augustianów. Zarządzał więc rozległą strukturą międzynarodową, będąc zmuszonym godzić różne wrażliwości, wykazując przy tym dużą koncyliacyjność i nie narzucając swojej woli z pozycji siły. W odróżnieniu od niego Jorge Mario Bergoglio tylko przez jedną kadencję kierował argentyńską prowincją jezuitów, doprowadzając do licznych sporów we wspólnocie zakonnej oraz do odsunięcia konfliktowego przełożonego na boczny tor.

Mamy więc do czynienia z dwoma różnymi stylami przywództwa, które siłą rzeczy muszą prowadzić do odmiennego sposobu zarządzania Kościołem. Widać to zwłaszcza tam, gdzie Leon XIV odziedziczył po Franciszku kłopotliwy spadek, który nie jest zgodny ani z jego temperamentem, ani z preferowanymi metodami.

Fot. Giulio napolitano/Shutterstock.com, Fabrizio Maffei/Shutterstock.com

eprasa.pl 88749c7169

Oto 10 punktów, w których obecny papież dokonuje stopniowej korekty linii swojego poprzednika

1. *Kolegium Kardynalskie*

Franciszek wiele mówił o decentralizacji władzy w Kościele, lecz jego pontyfikat był jednym z najbardziej scentralizowanych w dziejach papiestwa. Ograniczył znaczenie zarówno Kurii Rzymskiej, jak i Kolegium Kardynalskiego, opierając się w rządzeniu na nielicznej grupie purpuratów, niemającej umocowania w prawie kanonicznym, zwanej potocznie C9 (choć jej liczebność spadała niekiedy nawet do sześciu osób). W praktyce Franciszek bardzo często podejmował decyzje bez konsultacji z kimkolwiek, zaskakując nawet swoje najbliższe otoczenie.

W odróżnieniu od niego Leon XIV nie kontynuuje eksperymentu z wąską grupą zaufanych hierarchów, lecz postanowił przywrócić rolę doradczą całemu Kolegium Kardynalskiemu. O ile jego poprzednik przez długie lata nie zwoływał zamkniętych konsystorzy (nawet przy okazji kreowania kolejnych purpuratów), o tyle obecny papież stworzył model regularnych konsultacji z Kolegium Kardynalskim podczas okresowych konsystorzy. O stosunku Franciszka do braci w biskupstwie świadczy to, że przez dziewięć lat nie raczył nawet dać odpowiedzi czterem wpływowym kardynałom na zadane przez nich pytania najwyższej wagi. Leon XIV obiecał z kolei członkom Kolegium regularne odpowiadać na ich pytania za pośrednictwem swej prywatnej skrzynki e-mailowej.

2. *Dyplomacja równoległa*

Franciszek nie tylko powołał grupę C9 jako alternatywę dla Kurii Rzymskiej. Stworzył również strukturę równoległą do Sekretariatu Stanu i nuncjatur apostolskich, które w wielu kwestiach przestały być jedynymi lub najważniejszymi kanałami informacji dla papieża. Bergoglio oparł się przy tym na nieformalnej sieci zaufanych osób, wśród których dominowali członkowie jego macierzystego zakonu, czyli jezuitów. To oni dostarczali mu dane, na podstawie których podejmował decyzje, niekiedy wbrew rekomendacjom zawartym w raportach nuncjuszy.

Leon XIV odszedł od tego modelu, wzmacniając pozycję Sekretariatu Stanu, przywracając znaczenie nuncjaturom oraz wracając do bardziej instytucjonalnego systemu komunikacji i zarządzania.

3. *Nominacje*

Wiele nominacji Franciszka nie było poprzedzonych żadnymi konsultacjami, a niekiedy decydowały o nich nie kompetencje kandydata, lecz osobiste sympatie papieża – tak było np. w przypadku bp. Gustava Oscara Zanchetty. Stworzono dla niego nawet specjalne stanowisko asesora w Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej (APSA), czyli instytucji odpowiedzialnej za watykańskie finanse, mimo że wspomniany hierarcha musiał wcześniej ustąpić z urzędu biskupa diecezjalnego Orán po oskarżeniach o oszustwa finansowe i defraudacje. Sam Franciszek przyznał, że Zanchetta był „ekonomicznie bałaganiarski", a jego „sposób zarządzania sprawami ekonomicznymi" „nie do końca jasny", bronił jednak swojej decyzji, mówiąc: „Był bałagan, ale wizja jest dobra".

Inną chybioną decyzją personalną była nominacja kardynalska bp. Lucasa Van Looya z Gandawy. Sam zainteresowany dowiedział się o swym awansie z mediów i natychmiast odmówił przyjęcia czerwonego biretu. Oświadczył, że jest niegodny tego zaszczytu, ponieważ w przeszłości ukrywał nadużycia seksualne popełniane przez kapłanów w jego diecezji. Wiedza o tym była w Belgii powszechna. Gdyby Franciszek zasięgnął opinii nuncjatury w Brukseli na temat owego dostojnika (co jest rutynową procedurą), udałoby się uniknąć kompromitacji. Papież nie raczył jednak nawet poinformować nuncjusza o swych zamiarach.

Za Leona XIV następuje odejście od podejmowania decyzji personalnych na podstawie osobistych sympatii, emocjonalnego impulsu lub kaprysu i powrót do poprzedniego systemu.

4. *Kuria Rzymska*

Od początku pontyfikatu Franciszka mówiono, że jego priorytetem jest głęboka reforma Kurii Rzymskiej. Papież potrzebował aż dziewięciu lat, by ogłosić długo oczekiwaną konstytucję „Praedicate Evangelium", która wprowadzała daleko idące zmiany w funkcjonowaniu watykańskiej instytucji. W rzeczywistości nowa struktura zmniejszyła sprawność działania Stolicy Apostolskiej. Dlatego już pół roku po objęciu rządów Leon XIV dokonał instytucjonalnej korekty aktu swojego poprzednika, publikując nowy regulamin ogólny Kurii wraz z nowym regulaminem personelu. Najprawdopodobniej na tym zmiany się nie skończą, ponieważ już na pierwszym styczniowym konsystorzu papież zaproponował kardynałom poddanie „Praedicate Evangelium" gruntownej rewizji, by Kuria Rzymska mogła pełnić swe obowiązki prawidłowo i być bardziej służebna wobec Kościołów lokalnych.

5. *Wikariat Rzymski*

W 2023 r. Franciszek ogłosił konstytucję apostolską „In Ecclesiarum Communione", która dokonała reformy Wikariatu Rzymu, czyli kurii diecezji rzymskiej, podlegającej papieżowi jako biskupowi miejsca. Istota zmian sprowadzała się głównie do centralizacji, czyli skupienia niemal wszystkich decyzji w jednych rękach: papieża.

Jego następca, widząc niefunkcjonalność tego modelu, powołał grupę roboczą, której zadaniem była ocena reform wprowadzonych przez Franciszka. Recenzja okazała się niezwykle krytyczna, dlatego w czerwcu br. Leon XIV zastąpił konstytucję „In Ecclesiarum Communione" dokumentem „Confirma fratres tuos". Tym aktem na nowo określił sposób funkcjonowania Wikariatu, m.in. upraszczając rozbudowane struktury i doprecyzowując rozmyte kompetencje. Przede wszystkim jednak przywrócił rolę i znaczenie kardynała, który jako wikariusz Rzymu sprawuje w imieniu papieża władzę w diecezji.

eprasa.pl 88749c7169

6. Synodalność

Franciszek z jednej strony powtarzał, że synodalność jest konstytutywną cechą Kościoła, a z drugiej strony tak rozszerzył to pojęcie, że straciło ono ostre kontury i zaczęło sprawiać kłopoty definicyjne nawet osobom zaangażowanym w ów proces.

Leon XIV nie porzucił idei synodalności, lecz poddał ją redefinicji – nie przedstawia jej jako zasady porządkującej i organizującej zarządzanie całym Kościołem, lecz umieszcza ją jako jedną z metod doradczych w ramach wspólnoty hierarchicznej. W tym kontekście szczególnie wymowna była scena podczas czerwcowego konsystorza w Watykanie, gdy papież publicznie skorygował rozumienie synodalności przedstawione przez sekretarza generalnego Synodu Biskupów, kard. Mario Grecha, będącego wiernym kontynuatorem linii Franciszka.

7. Błogosławieństwa par jednopłciowych

Leon XIV nie anulował najbardziej kontrowersyjnego dokumentu ogłoszonego za pontyfikatu Franciszka, czyli deklaracji „Fiducia supplicans", lecz nadał jej inną interpretację niż ta, która widnieje na piśmie. Chociaż wspomniany akt zezwala księżom na błogosławienie par homoseksualnych w kontekście pozaliturgicznym, papież stwierdził, że księża nie mogą błogosławić par jednopłciowych, a jedynie poszczególne osoby. Tym samym Leon XIV potwierdził tradycyjne nauczanie katolickie sprzed opublikowania „Fiducia supplicans" i przekonał Kościół koptyjski do wznowienia dialogu ekumenicznego ze Stolicą Apostolską, zerwanego po ogłoszeniu kontrowersyjnej deklaracji.

8. Gwarancje prawne

We wrześniu 2020 r. papież Franciszek zmusił kard. Angela Becciu do rezygnacji z funkcji prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych oraz zrzeczenia się wszystkich przywilejów wynikających z posiadania godności kardynalskiej, m.in. prawa udziału w konklawe. Stało się to po doniesieniach medialnych, a konkretnie po publikacji tygodnika „L'Espresso", który zarzucił wspomnianemu purpuratowi defraudacje finansowe. Hierarcha został zdymisjonowany w trybie nagłym, bez przedstawienia mu oficjalnych oskarżeń, z zachowaniem domniemania niewinności, udowodnienia winy czy nawet prawa do obrony. Późniejszy przebieg procesu Becciu, a zwłaszcza wyrok sądu apelacyjnego, pokazał, że wina dostojnika wcale nie została udowodniona.

Powyższa sprawa wpisywała się w szerszy model postępowania. Chilijski watykanista Luis Badilla zwracał uwagę, że w trakcie poprzedniego pontyfikatu były „dziesiątki osób, niegdyś bliskich współpracowników Franciszka, których nagle pozbawiono obowiązków, bez wyjaśnień, dowodów czy podziękowań". Hiszpański publicysta Alex Rosal zauważa: „Dla wielu księży i biskupów pontyfikat Franciszka oznaczał życie w niepewności. Nie było jednolitego podejścia do pewnych sytuacji, a ostateczne decyzje były bardzo zróżnicowane i zależały od osobistych preferencji. Niektóre wnioski bywały niespodziewanie odrzucane bez pisemnego wyjaśnienia, jedynie ustnie. Rozpatrywanie innych wniosków zajmowało lata. W przypadku Leona XIV cel wydaje się być dokładnie odwrotny: bardziej przejrzyste kryteria, znane kanały, określeni rozmówcy, przewidywalne procesy".

> O ile dla Roberta Prevosta podstawowym społecznym punktem odniesienia była stabilna demokracja z silnym elementem pomocniczości, o tyle dla Jorgego Maria Bergoglia analogiczną rolę odgrywał peronizm, czyli argentyńska odmiana populizmu

9. Magisterium samolotowe

Do stylu działania Franciszka przylgnęło sformułowanie „magisterium samolotowe". Tym mianem określano jego liczne wypowiedzi, których udzielał korespondentom podczas podróży lotniczych w trakcie swych pielgrzymek zagranicznych. Jego wystąpienia często były niejednoznaczne, wywołując zamieszanie wśród wiernych i zmuszając biuro prasowe Stolicy Apostolskiej do wyjaśnień i sprostowań. Wspomniane wypowiedzi miały ten walor, że były kierowane bezpośrednio do dziennikarzy i nagłaśniane przez media, przez co docierały do szerokiego grona odbiorców. Nie miały one co prawda charakteru oficjalnego nauczania, jednak dzięki swojemu zasięgowi wyznaczały standardy i praktykę postępowania w Kościele.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że był to jeden ze sposobów zarządzania społecznością katolicką. Leon XIV odstępuje od tego modelu.

10. Ekspozycja medialna

„Nie lubię udzielać wywiadów, robię to trochę niechętnie" – powiedział Franciszek argentyńskiej dziennikarce Elisabecie Piqué, gdy rozmawiał z nią z okazji 10-lecia swego pontyfikatu, po czym w ciągu czterech dni poprzedzających wspomnianą rocznicę (między 10 a 13 marca 2023 r.) udzielił aż siedmiu wywiadów. Łącznie podczas całego pontyfikatu ich liczba wyniosła ok. 220. Nie było drugiego przywódcy państwowego ani religijnego na świecie, który w tym czasie udzieliłby tak wielkiej liczby wywiadów, wypowiadając się na wszystkie możliwe tematy i angażując tym samym autorytet papiestwa w kwestie odległe od wiary.

Leon XIV prezentuje inne podejście – nie narzuca się. Jak wybrzmiało to podczas jego mszy inauguracyjnej: nie chce przesłaniać sobą Chrystusa.

eprasa.pl 88749c7169

Gram tylko z kobietami

Amerykańska scena konserwatywna ma nową bohaterkę. To Sophie Cunningham, zawodowa koszykarka, która, jak się okazało, nie boi się mówić głośno o tym, co myśli i czuje

GORAN ANDRIJANIĆ

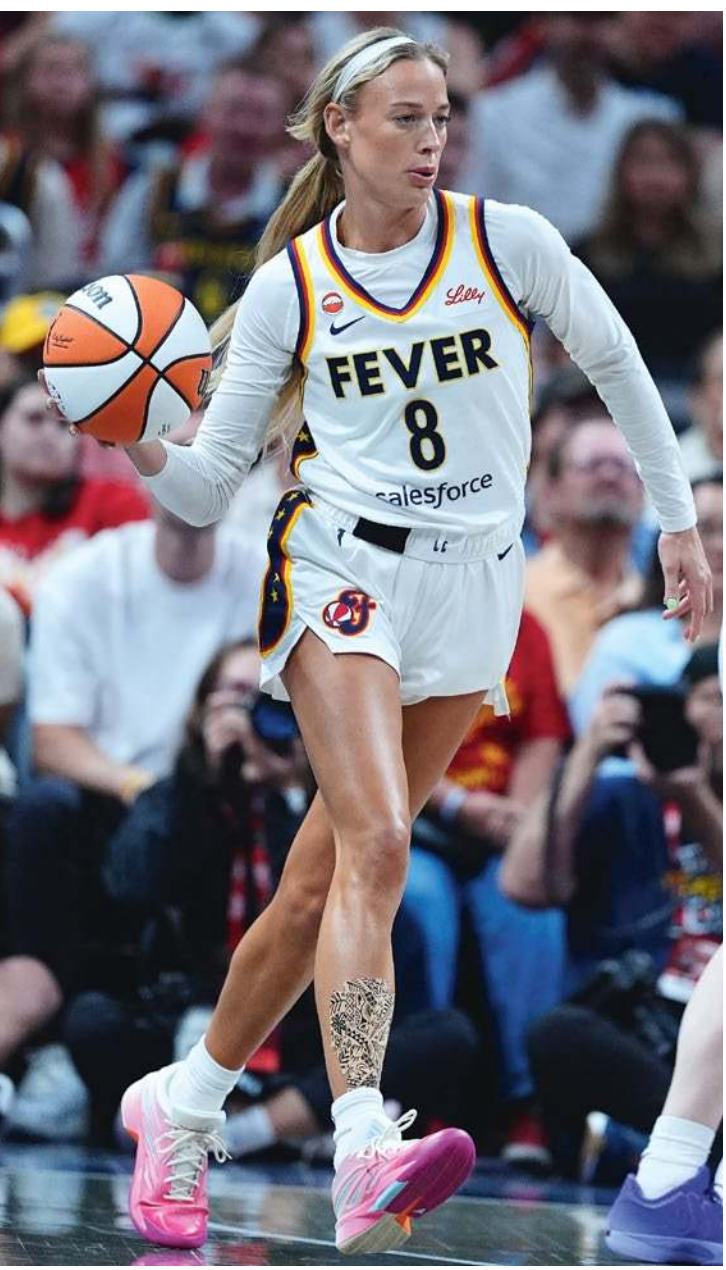

Szczupła, ładna blondynka („konwencjonalnie atrakcyjna", jak opisują ją amerykańskie media) w niedawnym wywiadzie dla ESPN dała jasno do zrozumienia, że biologiczni mężczyźni (transkobiety) nie mają miejsca w kobiecym sporcie. „Słyszałam mnóstwo negatywnych komentarzy na temat mojej rzekomej nienawiści do osób transpłciowych. Nigdy nie mówiłam takich rzeczy" – powiedziała w wywiadzie Cunningham, dodając: „Myślę, że jestem tu po to, by szerzyć miłość. Ale myślę też, że miłość to prawda. Chcę chronić młode dziewczyny w szatni czy młode dziewczyny w sporcie, które nie powinny rywalizować z biologicznymi mężczyznami".

Wypowiadając te słowa w wywiadzie dla prestiżowego sportowego medium, Cunningham stała się jednym z najpopularniejszych i najbardziej aktywnych zawodowych sportowców, którzy przeciwstawili się ideologicznemu szaleństwu współzawodnictwa mężczyzn z kobietami. Ciekawe, że jej narracja o „miłości i prawdzie" przypomina to, co na ten temat mówiła św. Edyta Stein.

„Nie przyjmujcie niczego za prawdę, co byłoby pozbawione miłości, ani nie przyjmujcie niczego za miłość, co byłoby pozbawione prawdy; jedno pozbawione drugiego staje się niszczącym kłamstwem" – mówiła święta karmelitanka, która została zamordowana w Auschwitz.

PRAWDĘ NALEŻY CHRONIĆ

Teraz amerykańska koszykarka powtarza jej myśl dokładnie w takim kontekście, w jakim wypowiadała ją święta. Trzeba mówić prawdę, aby miłość pozostała autentyczna, a nie stała się tylko poprawnością polityczną, która może narobić wiele szkód.

„Powiedziałam, co powiedziałam. Myślę, że to jest zdrowy rozsądek" – powtórzyła Cunningham po tym, jak amerykańska liberalna opinia publiczna zaatakowała ją za jej wypowiedź. Zapytana, co myśli o reakcji na swoje słowa, po prostu dodatkowo wzmocniła swoje przesłanie: „Uważam, że ochrona dzieci jest naprawdę ważna, a to dotyczy małych dziewczynek, które również należą do tej kategorii. Podtrzymuję to, co powiedziałam. Nie żywię niechęci do nikogo. Ale jestem też po to, by kochać biologiczne kobiety i uważam, że istnieją prawa, które należy chronić. Będę temu wierna. Nigdy nie zachwieję się w swoich przekonaniach".

Fot. Brian Spurlock/Icon Sportswire/Icon Sportswire via AP Images/East News

eprasa.pl 88749c7169

MĘŻCZYŹNI, CZYLI KOBIETY

Kwestia biologicznych mężczyzn, którzy wybrali inną płeć, by startować w kobiecym sporcie, istnieje już od dłuższego czasu, ale wśród amerykańskiej opinii publicznej zyskała szczególne znaczenie po tym, jak administracja prezydenta Donalda Trumpa uczyniła walkę z ideologią w sporcie jednym ze swoich zadań. W lutym 2025 r. Trump podpisał ustawę zakazującą mężczyznom identyfikującym się jako kobiety udziału w zawodach kobiecych w szkołach federalnych. Walka trwa, a jak dobrze wiemy, dyskusja o szaleństwie transpłciowości dotarła także na najważniejsze zawody sportowe, nie omijając igrzysk olimpijskich. Dzieje się tak, mimo że cały czas pojawiają się wyraźne głosy sprzeciwu.

„To szaleństwo i oszustwo" – tymi ostrymi słowami Martina Navratilova, słynna amerykańska tenisistka o czeskich korzeniach, opisała kiedyś możliwość rywalizacji transseksualistów w kobiecym sporcie, przypominając, że zwykłe obniżenie poziomu hormonów – recepta przyjęta przez większość sportów – nie rozwiązuje problemu, ponieważ mężczyzna buduje gęstość mięśni i kości, a także większą liczbę przenoszących tlen krwinek czerwonych od dzieciństwa. Navratilova może być autorytetem, ale w porównaniu z Cunningham jej zaangażowanie wydaje się raczej ograniczone, zwłaszcza w kontekście amerykańskiej opinii publicznej.

MEDIALNA GWIAZDA

Koszykarka od dawna cieszy się statusem gwiazdy mediów, jej nazwisko stało się swoistą marką, być może obecnie największą w coraz bardziej dochodowej i zamożnej kobiecej lidze koszykówki. Co ciekawe, status ten zyskała raczej dzięki swojej osobowości niż umiejętnościom sportowym. Mówiąc wprost, jest znakomitą koszykarką, ale nie gra nawet w pierwszym składzie swojego klubu.

Cunningham, urodzona w stanie Missouri w rodzinie sportowców (jej ojciec grał w futbol amerykański, a matka uprawiała lekkoatletykę), zawsze przyciągała uwagę swoim wyglądem i dynamiczną grą, ale moment, który zadecydował o jej popularności, nadszedł w ubiegłym roku podczas meczu jej Indian Fever z drużyną Connecticut Sun.

Po tym, jak jej koleżanka z drużyny, Caitlin Clark, została uderzona w oko przez rywalkę Jacy Sheldon, Cunningham odwdzięczyła się niesportowym faulem – po prostu złapała Sheldon za szyję i powaliła ją na ziemię. Przesłanie było jasne: nikt nie powinien dotykać moich kolegów z drużyny.

Paradoksalnie jej niesportowy faul został uznany za akt heroicznej lojalności. W ciągu kilku dni po meczu Cunningham stała się kimś w rodzaju nowej koszykarskiej bohaterki. Liczba obserwujących jej konto na TikToku wzrosła z 300 tys. do 1,4 mln. Jej nazwisko pojawiło się w wyszukiwarkach, notując 800-procentowy wzrost. Podpisała kontrakty reklamowe i pojawiła się na okładce „Sports Illustrated". Krótko mówiąc, otworzyły się przed nią nieograniczone możliwości. „Powiedziałam córce, żeby wysłała Jacy kwiaty" – powiedziała później mediom Paula Cunningham, matka sportsmenki. „Właściwie powinnaś wysyłać jej kwiaty co miesiąc. To, co się stało, odmieniło twoje życie". A potem pojawił się „palec wskazujący". O co chodzi?

22 Indiana Fever grały mecz z drużyną Phoenix Mercury. W jego trakcie Clark dostała techniczny faul po starciu z DeWanną Bonner. Cunningham była oburzona tym, że sędzia nie ukarał w ten sposób także Bonner. Gdy się z nim o to kłóciła, zaczęła wskazywać na przeciwniczkę wyciągniętym palcem. Następnie chodziła za nią po boisku, wciąż wskazując ją palcem i utrzymując kontakt wzrokowy. Film stał się viralowym hitem i podstawą dla tysięcy memów, które pojawiły się w sieci. Przez kilka dni nie dało się zajrzeć do internetu, aby nie natknąć się na film lub zdjęcie atrakcyjnej sportsmenki, wskazującej palcem z wyrazem buntowniczego uporu na twarzy.

BIAŁY DOM WCHODZI DO GRY

Nawet Biały Dom w sieciach społecznościowych zestawił ten fragment z innym słynnym nagraniem sprzed lat, na którym to Donald Trump wskazuje coś palcem. Ponadto wysłał już kilka wiadomości z wyrazami wsparcia dla Cunningham, co prawdopodobnie tłumaczy jej przydomek „MAGA Barbie". Ale ona się tym nie przejmuje, nigdy otwarcie nie opowiadała się po stronie żadnej siły politycznej. Określa siebie jako wyborczynię „centrową".

SPONSORZY ZA

Chociaż niektórzy spodziewali się, że sprzeciw wobec ideologii transpłciowej może jej zaszkodzić, stało się odwrotnie. Żaden z jej sponsorów nie rozważa zakończenia z nią współpracy, a pierwsza partia butów sportowych Adidas z jej nazwiskiem wyprzedała się w ciągu kilku godzin od pojawienia się w sklepach.

„Nie chodzi tylko o to, że jest fantastyczną sportsmenką. Ona ma po prostu niesamowitą osobowość. Jest zabawna, dowcipna, twarda i mówi, co myśli, a o to właśnie nam chodzi" – powiedziała o niej Jennifer Sey, szefowa marki sportowej dla kobiet XX-XY Athletics.

„Można się nią zachwycać, można ją krytykować; tak czy inaczej, jej zachowanie pociąga. Można ją nazwać wzorem do naśladowania czy wojowniczką kultury, nieustraszoną czy bezwstydną, odważną czy bezczelną – w jakiś sposób musimy się do niej odnieść. Ale dla niej nie będzie ważne, jak ją nazywamy" – napisano na stronie ESPN.

„Wielu ludzi się zmienia albo próbuje wpasować w jakieś ramy" – mówiła Cunningham o sobie. „Nawet nie wiem, co to za ramy. Każdy chce wyglądać tak samo i mówić te same rzeczy. Mam to gdzieś. Ja będę sobą".

Wygląda na to, że czasy, gdy amerykańską opinią publiczną rządził strach i kultura unieważniania, dawno minęły. Ludzie tacy jak Cunningham, którzy nie boją się autentyczności, znów cieszą się w USA popularnością. To dobra wiadomość dla nas wszystkich.

eprasa.pl 88749c7169

Kolekcjonerzy

Para milionerów z Chin zgromadziła dwa tuziny dzieci dzięki matkom zastępczym zatrudnionym w Stanach Zjednoczonych. Inny chiński miliarder ma ich już ponad sto. Wraz z rozwojem technologii reprodukcyjnych mnożą się doniesienia o niezwykle zamożnych rodzicach, którzy doczekali się dziesiątek, a nawet setek dzieci, których nie wychowują

W żargonie używanym w branży walki z niepłodnością o kobiecie, która nosi dziecko dla kogoś innego, mówi się, że „wybiera się w podróż". Kayla Elliott rozpoczęła swoją podróż – jak pisze amerykański magazyn „The New Yorker" – w lutym 2024 r., wkrótce po tym, jak opublikowała ogłoszenie w grupie na Facebooku poświęconej macierzyństwu zastępczemu. Elliott, która miała wówczas 26 lat i mieszkała w Corpus Christi w Teksasie, wychowywała już czworo własnych dzieci, ale była zaintrygowana perspektywą urodzenia kolejnego. Uwielbiała naturalny przypływ energii towarzyszący ciąży. Jako matka zastępcza mogła ponadto zarobić na utrzymanie swojej rodziny, pomagając jednocześnie obcym osobom założyć własną.

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Szybko zgłosiła się do niej agencja z Los Angeles – Mark Surrogacy, która zaproponowała jej umowę z pewną chińską parą. 64-letni Guojun Xuan i jego 36-letnia żona Silvia Zhang rzekomo marzyli o braciszku lub siostrzyczce dla swojej nastoletniej córki. Mieszkali w Arcadii, zamożnym mieście w hrabstwie Los Angeles. „Nasza surogatka będzie jak nasza rozszerzona rodzina" – napisali jej w liście. Elliott zgodziła się urodzić im dziecko. Nie wiedziała, że nie będzie jedyną matką zastępczą dla tej pary.

NICZYM SIEROCINIEC

Pewnego popołudnia w maju 2025 r. czterech detektywów z policji w Los Angeles zapukało do drzwi wartej 3,2 mln dol. rezydencji Guojuna i Silvii. Wcześniej tego dnia odebrali telefon dotyczący jednego z mieszkańców posiadłości: dwumiesięcznego niemowlęcia o imieniu Walter. Chłopczyk został przyjęty z ciężkimi urazami głowy na oddział intensywnej terapii pobliskiego szpitala. Jego matka powiedziała, że spadł z łóżka, ale lekarze podejrzewali, że ktoś znęcał się nad dzieckiem.

Kiedy policja weszła do rezydencji, ze zdumieniem odkryła, że bardziej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88749c7169

dzieci

przypomina ona sierociniec niż dom rodzinny. Wszędzie były kamery monitoringu, w sypialniach stało mnóstwo łóżeczek, a w dużym pomieszczeniu na parterze ponad tuzin identycznie ubranych dzieci siedziało przy biurkach przed tablicami. Nie sposób było odróżnić dziewczynek od chłopców, ponieważ wszystkie miały ogolone głowy.

„Po krótkim przeliczeniu funkcjonariusze ustalili, że Silvia i Guojun mieli w sumie 21 dzieci, prawie wszystkie poniżej trzeciego roku życia. Jak wyjaśnili tego wieczoru, zatrudnili dziesiątki kobiet w całym kraju jako matki zastępcze" – czytamy na łamach „The New Yorker". Wszystkie dzieci miały rany, siniaki, a niektóre nawet powyrywane paznokcie. Na nagraniach z kamer zabezpieczonych przez policję widać, jak zatrudnione przez parę opiekunki biły dzieci oraz zmuszały maluchy do robienia przysiadów. Była to kara za rzekome „niegrzeczne zachowanie".

Rodzice trafili do aresztu pod zarzutem narażenia małego Waltera na niebezpieczeństwo, ale szybko zostali wypuszczeni na wolność. Ich dzieci trafiły do rodzin zastępczych, gdzie pozostają do dziś. Sprawą pary zamożnych handlarzy nieruchomości z Chin zajęło się FBI, które podejrzewa Guojuna o związki z chińską mafią, prowadzenie nielegalnych kasyn w swoich licznych nieruchomościach na terenie USA oraz handel bronią.

WYSOKIEJ JAKOŚCI SYNOWIE

Pozostaje niejasne, po co parze było tyle dzieci. Niektóre amerykańskie media donoszą o „dziwnej obsesji" Sylvii i Guojuna, inne zastanawiają się, czy pod pretekstem stworzenia dużej rodziny nie prowadzono handlu dziećmi. Jaki by nie był motyw pary, dla dzieci oraz kobiet, które je urodziły, to prawdziwa tragedia. Kayla Elliott próbuje – podobnie jak inne matki zastępcze – odzyskać swoje dziecko o imieniu Hays. Tymczasem Sylvia i Guojun doczekali się co najmniej sześciorga kolejnych pociech, również urodzonych przez matki zastępcze – w Georgii, Wirginii i Pensylwanii. Tu także toczą się sprawy sądowe o ustalenie ojcostwa i praw do opieki.

Wraz z rozwojem technologii reprodukcyjnych, które umożliwiły mężczyznom konkurencyjną prokreację na niespotykaną dotąd skalę, mnożą się doniesienia o niezwykle zamożnych rodzicach, którzy doczekali się dziesiątek, a nawet setek dzieci dzięki połączeniu zapłodnienia in vitro, dawstwa nasienia i macierzyństwa zastępczego.

Pewien chiński miliarder ma podobno nadzieję, że jego dzieci pewnego dnia poślubią dzieci miliardera i założyciela SpaceX oraz Tesli Elona Muska i „stworzą rozległą rodzinną dynastię". Xu Bo, 48-letni bogaty samotnik, założyciel firmy gier online Duoyi, nazywa siebie „pierwszym ojcem Chin" i za wszelką cenę pragnie spłodzić co najmniej „50 wysokiej jakości synów" – jak wynika z jego wpisów w mediach społecznościowych. Według „The Wall Street Journal" była dziewczyna Xu twierdzi, że mężczyzna ma już w sumie ponad sto dzieci. Większość została poczęta metodą in vitro i urodzona przez surogatki. „Dla niego dzieci to projekt biznesowy. Inwestycja jak każda inna. A teraz łatwo da się to załatwić, jak się ma pieniądze" – czytamy na łamach gazety. Na nagraniu opublikowanym w 2022 r. na koncie powiązanym z Xu na portalu X widać rząd kilkunastu małych chłopców siedzących na ławkach w luksusowej rezydencji. Gdy kamera się przesuwa, chłopcy zrywają się z krzeseł i pędzą w stronę kamerzysty, krzycząc po chińsku: „Tato! Tato!".

BRAK REGULACJI

Latem 2023 r. sędzia w Kalifornii odrzucił wniosek Xu o przyznanie mu praw rodzicielskich nad czwórką wówczas

eprasa.pl 88749c7169

wciąż nienarodzonych dzieci, a także nad ośmiorgiem innych, urodzonych przez matki zastępcze. Mieszkają one w Irvine w Kalifornii i są wychowywane przez nianie. Według „The New York Post" Xu powiedział sędziemu, że jeszcze się z nimi nie spotkał, ponieważ „jest bardzo zajęty". Ponieważ sędzia odrzucił jego wniosek, dzieci pozostają w zawieszeniu prawnym i ostatecznie są niczyje.

Przypadek ten zwrócił uwagę na kwestię szerszego braku regulacji praktyk macierzyństwa zastępczego. Chociaż w USA komercyjne macierzyństwo zastępcze to wielomiliardowy biznes i wciąż się rozwija, przepisy różnią się w zależności od stanu. Dochody z tej praktyki w Stanach Zjednoczonych wynoszą 32 mld dol. rocznie, a z powodu rosnącej niepłodności i popytu w tzw. rodzinach LGBT+ przewiduje się, że do 2035 r. wartość tego rynku wzrośnie do ponad 65 mld dol. Osoby poszukujące surogatki muszą wydać na dziecko co najmniej 200 tys. dol. w porównaniu z ok. 120 tys. dol. dekadę temu.

Do niedawna drugim co do wielkości rynkiem macierzyństwa zastępczego była Ukraina, ale po inwazji Rosji w 2022 r. spora część biznesu przeniosła się do Gruzji, gdzie podobnie jak na Ukrainie nie ma odpowiednich regulacji. Trzecim co do wielkości rynkiem jest Meksyk, w którym obowiązują podobnie luźne przepisy. Tam płaci się za dziecko o wiele mniej – od 50 do 70 tys. dol. W wielu krajach Zachodu, np. Wielkiej Brytanii czy Kanadzie, dozwolone jest jedynie macierzyństwo zastępcze z przyczyn altruistycznych, bez zapłaty. W Chinach czy Indiach ta praktyka jest całkowicie zakazana. W USA natomiast każdy może otworzyć agencję surogatek. Nie są do tego potrzebne żadne kwalifikacje czy licencja. Przyszły rodzic może także samodzielnie znaleźć matkę zastępczą.

ZIMNA TRANSAKCJA

Według „The New Yorker" w ciągu ostatniej dekady rzesze zamożnych cudzoziemców, zwabionych tą liberalną atmosferą i renomowaną opieką medyczną, zaczęła zatrudniać Amerykanki jako surogatki. Większość korzysta z klinik w Kalifornii, jednego z bastionów globalnego przemysłu leczenia niepłodności. Niedawne badanie Heritage Foundation wykazało, że w latach 2014–2020 prawie jedna trzecia wszystkich rodziców szukających matek zastępczych za oceanem pochodziła z zagranicy. 41 proc. to obywatele Chin, gdzie obowiązująca do 2016 r. polityka jednego dziecka ograniczała możliwość posiadania większej rodziny.

> „Dla niego dzieci to projekt biznesowy. Inwestycja jak każda inna. A teraz łatwo da się to załatwić, jak się ma pieniądze"

„Niezwykle liberalne przepisy ułatwiają tworzenie dzieci poprzez macierzyństwo zastępcze bez względu na ich dobro" – uważa Emma Waters, starsza analityczka ds. polityki w Heritage Foundation. Większość matek zastępczych jest dokładnie sprawdzana przez agencje, z którymi podpisują umowy, podczas gdy większość przyszłych rodziców – czyli klientów płacących za ich usługi – nie. Traktując „dzieci jak towary, a nie jak ukochanych członków rodziny – dodała Waters – sprowadzamy macierzyństwo do jego najmniej pochlebnej karykatury: zimnej transakcji". Według niej macierzyństwo zastępcze wiąże się z wieloma problemami etycznymi i moralnymi. „To proces, który może prowadzić do wykorzystywania bezbronnych, często ubogich kobiet. Wiąże się ze znacznym ryzykiem zdrowotnym i psychologicznym dla kobiet, których macice zostały wynajęte, których komórki jajowe zostały pobrane w celu stworzenia zarodka oraz dzieci urodzonych w wyniku takich zabiegów" – zaznaczyła ekspertka. Zdaniem Waters pragnienia dorosłych zlecających macierzyństwo zbyt często biorą górę nad interesem dzieci, które nierzadko dorastają zagubione, nie wiedząc, kim są.

DYSTOPIJNE SCENARIUSZE

Feministki i inne grupy broniące praw kobiet są podzielone w kwestii macierzyństwa zastępczego (podobnie jak w sprawie prostytucji) – czy jest to przykład autonomii kobiety i jej wyboru, czy też stanowi uprzedmiotowienie zdolności kobiety do reprodukcji i dawania życia.

Przeciwnicy macierzyństwa zastępczego wykorzystali jednak skandal związany z chińską parą z Arcadii, by domagać się całkowitego zakazu tej praktyki. „To nie jest macierzyństwo zastępcze, które poszło nie tak" – powiedziała Katy Faust, założycielka Them Before Us, konserwatywnej organizacji działającej na rzecz dzieci. „Tu chodzi o dostarczenie produktu na zamówienie dla dorosłych. Oczywiście, że pojawią się dystopijne scenariusze".

Próby zainteresowania członków Kongresu tym tematem spełzły jednak na niczym. Przyczyna jest prosta. Według Roberta Walmsleya, prawnika specjalizującego się w prawie rodzinnym, szczególnie politycy Partii Demokratycznej są sceptyczni wobec ściślejszych regulacji dotyczących macierzyństwa zastępczego. Z jednej strony weryfikacja przeszłości i badania psychologiczne przyszłych rodziców mogą pomóc w odrzuceniu osób o wątpliwych motywach, z drugiej – kto decyduje, jak powinna wyglądać rodzina? „To otwiera drogę do wszelkiego rodzaju dyskryminacji. Czy każda para gejów i mężczyzn, która chce zostać rodzicami, powinna przechodzić badania, skoro zdecydowana większość par heteroseksualnych może mieć dzieci, uprawiając seks na tylnym siedzeniu samochodu?" – zauważył.

Aby pary LGBT+ mogły mieć potomstwo urodzone przez surogatki bez żadnych, nawet najmniejszych przeszkód, dzieci dalej będą mogły być produkowane taśmowo, by następnie dorastać w rodzinach zastępczych, w niejasnej sytuacji prawnej i często nie wiedząc, kim są ich biologiczni rodzice.

eprasa.pl 88749c7169

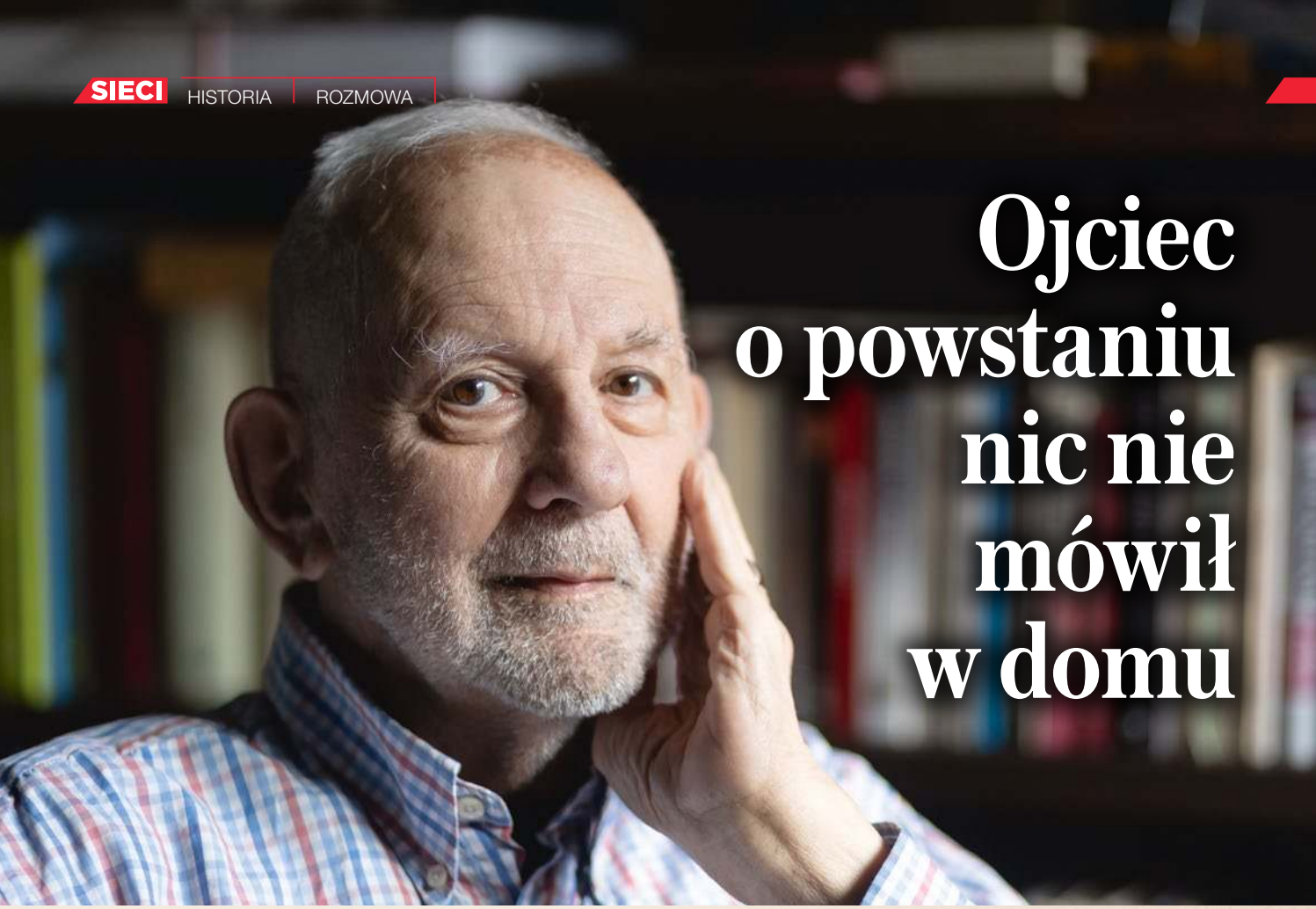

Ojciec o powstaniu nic nie mówił w domu

„Mały kurdupelek – opowiadał ojciec po spotkaniu Adolfa Hitlera w Berlinie. – Ale jak patrzyło się w oczy, to te jego oczy człowieka przebijały”

Z Adamem Komorowskim, synem gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, dowódcy powstania warszawskiego i Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych RP, rozmawia Andrzej Rafał Potocki

Urodził się pan podczas wojny, w 1942 r. W czasie powstania warszawskiego na świat przyszedł pański brat, Jerzy. Wiąże się z tym pewna anegdota. Ktoś zapytał gen. Bora-Komorowskiego, pańskiego ojca, dlaczego nie poinformował żony o przewidywanym terminie wybuchu powstania. W końcu była brzemienna. Ojciec miał odpowiedzieć, że wtedy musiałby zawiadomić wszystkie Warszawianki, które były w ciąży i godzina W przestałaby być tajemnicą.

Adam Komorowski: To prawda. Pytanie zadał Jan Nowak-Jeziorański. W rzeczywistości dzień przed wybuchem powstania poszedł do matki i powiedział: „Zakup trochę prowiantu dla małego, bo zaraz to wszystko się zaczynie. Ja i paru innych oficerów ujawnimy się Sowietom, ale reszta niech pozostanie w podziemiu. Nie mam wcale zaufania do naszych tzw. aliantów i wszystko może się jeszcze źle skończyć. Nie wiem, czy się jeszcze zobaczymy”.

Czy ojciec wspominał, jakie były pierwotne cele powstania warszawskiego?

Do wyzwolonej przez powstańców Warszawy wkraczają Sowieci i wtedy powstańcza armia ujawnia się jako właściwa reprezentacja władzy. Nie tak, że to oni nas oswobodzili. Niestety nic z tego nie wyszło.

Według niemieckich mediów (w 1994 r. pisał o tym „Die Zeit” w artykule „Z ogniem i dymem”) kilka dni przed wybuchem powstania, dokładnie między 20 a 22 lipca 1944 r., w willi w podwarszawskim Józefowie odbyła się rozmowa między gen. Borem-Komorowskim a SS-Hauptsturmführerem Paulem Fuchsem, szefem kontrwywiadu Sicherheitsdienst/Gestapo w dystrykcie radomskim. „Die Zeit” cytował nagranie z tej rozmowy. Ponoć Fuchs namawiał pana ojca do wystąpienia przeciw Sowietom i rezygnacji z wybuchu powstania przeciwko Niemcom. Nie ma jednak pewności, czy owo nagranie rzeczywiście istnieje, a jeśli tak, to czy jest autentyczne.

Ojciec o powstaniu w domu nic nie mówił. Cała moja wiedza bazuje na opowieściach mojej mamy i znajomych.

A czy kiedykolwiek komentował decyzję o wybuchu powstania?

Zawsze brał całą odpowiedzialność na siebie, choć to nie on był wtedy naczelnym

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88749c7169

wodzem, tylko gen. Kazimierz Sosnkowski. Co prawda decyzję o wybuchu zrywu pozostawił dowództwu AK w Warszawie. Jedni byli za, inni byli przeciw. Decyzję o wybuchu powstania wydał bezpośrednio mój ojciec w obecności gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka" oraz płk. Antoniego Chruściela „Montera", najaktywniej dążących do natychmiastowego rozpoczęcia walk w Warszawie, naciskając na szybkie wydanie rozkazu. Ojciec nie był na 100 proc. za rozpoczęciem walk. W końcu go przekonali. Nie miał najnowszych wiadomości z frontu. Ostateczna decyzja w tej sprawie została wydana po jej akceptacji przez Delegata Rządu na Kraj Jana Stanisława Jankowskiego.

31 lipca w Komendzie Głównej AK przy ul. Filtrowej odbyły się dwie narady. Podczas pierwszej, zakończonej ok 13.00, nie podjęto decyzji o rozpoczęciu powstania. Drugą zwołano na 18.00, jednak już ok. 17.00 na miejscu odprawy pojawił się płk. Antoni Chruściel „Monter", który poinformował oczekujących, m.in. Tadeusza Bora-Komorowskiego i Leopolda Okulickiego, że sowieckie czołgi były widziane na Pradze, a Armia Czerwona wyzwoliła już podwarszawskie miejscowości. Nie oznaczało to jednak, że Sowieci następnego dnia zajmą prawobrzeżną część Warszawy. Pod wpływem meldunków płk. „Montera" poproszono o pilne przybycie na odprawę Delegata Rządu na Kraj, który po wysłuchaniu wszystkich argumentów wyraził zgodę na rozpoczęcie zrywu. Następnie gen. Bór-Komorowski wydał płk. Chruścielowi rozkaz rozpoczęcia akcji zbrojnej w Warszawie 1 sierpnia 1944 r. o 17.00. Decyzję o wybuchu powstania podjęło zatem trzech kawalerzystów: „Bór", „Monter" i „Niedźwiadek".

W Warszawie panował taki nastrój, cała ludność była tak napięta, że nawet gdyby nie wydano decyzji o rozpoczęciu walk przeciw Niemcom, to Warszawiacy prawdopodobnie sami ruszyliby do boju, spontanicznie, bez rozkazu. To by było jednak gorsze niż podjęcie walki na rozkaz z góry.

Wracając do kariery hippicznej pana ojca. Wziął udział w dwóch igrzyskach olimpijskich.

W 1924 r. w Paryżu uczestniczył jako reprezentant Polski we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego (WKKW) na koniu Amon. Drużynowo zajęliśmy 7. miejsce, ojciec indywidualnie był 26. Drugi występ to Berlin, gdzie pojechał jako kierownik i szef reprezentacji jeździeckiej Polski w skokach przez przeszkody. Wcześniej wziął zwolnienie z dowództwa 9. Pułku Ułanów, którego był szefem. Niemiecki sędzia próbował zrobić szwindel i pod koniec zawodów zdyskwalifikował polską reprezentację. Ojciec wszczął awanturę i w końcu dostaliśmy srebrny medal. Rok przed wojną został komendantem Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu.

Ma pan zdjęcie ojca, kiedy w Berlinie nasza reprezentacja odbierała srebrny medal z rąk Adolfa Hitlera. Jakie było wrażenie po spotkaniu z kanclerzem?

„Mały kurdupelek – opowiadał ojciec. – Ale jak się patrzył w oczy, to te jego oczy człowieka przebijały".

Czy po wojnie ojciec jeździł konno?

Już nie. W Londynie nie było gdzie. Jego drugą pasją było polowanie. Matka mojego kolegi w latach 60. XX w. mieszkała na farmie w okolicach miejscowości Bletchley w Anglii. Zaprosił on mojego ojca do siebie na polowanie. Wtedy ojciec kupił strzelbę i bardzo często jeździł tam na weekendy. Polowali głównie na zające i króliki. Kolega kosił zboże kombajnem Harvester, a ojciec strzelał do wyskakujących królików. Podczas oddawania kolejnego strzału dostał zawału serca i zmarł. Ze strzelbą w dłoniach.

Gdzie mieszkaliście, gdy wybuchło powstanie?

Przy ul. Marszałka Focha, przy Operze (dziś Teatr Wielki). Dosyć szybko, jeszcze w sierpniu, Niemcy wygonili nas z domu. W pewnym momencie matka, która była w ciąży, zapytała żołnierza z eskorty, czemu nie wpakują nam kulki w głowę, bo i tak to się tak skończy. „W tej chwili brakuje nam amunicji" – odpowiedział Niemiec. W końcu dotarliśmy do punktu zbiorczego w Pruszkowie. Stamtąd trafiliśmy do państwa Marszewskich, znajomych, rodziny Antoniego Marszewskiego, kwatermistrza Zgrupowania AK „Kampinos", którzy mieszkali w Pilaszkowie niedaleko Zaborowa, w dawnym pałacyku myśliwskim króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Zbliżał się poród. Ponieważ w pałacu przebywało ponad 40 cywilnych uciekinierów z powstania, mama nie chciała krępować tym ludzi. Poszła więc z nianią Anielą Santorek do jakiejś pustej chałupy i tam urodziła Jerzego. Bez lekarza.

Jak trafiliście do Anglii?

Jerzy urodził się chory. Mama postanowiła pojechać do Krakowa, ponieważ tam był lepszy dostęp do lekarzy i medykamentów. Trafiliśmy do Anny Komornickiej. Jej mąż, hr. Juliusz Komornicki, pracował wtedy w browarze Okocim.

Tak się składa, że babcia Anny Komornickiej (pańska praprababka), także Anna, z domu Dzieduszycka, to siostra mojego pradziadka Tomasza. Gdy byłem na studiach, Anna Komornicka w stanie wojennym udzielała mi korepetycji z łaciny – w końcu była profesorem filologii klasycznej.

Po wojnie z powodu zainteresowania NKWD moją mamą musieliśmy kilkakrotnie zmieniać miejsce pobytu. NKWD chciał ją dopaść i zamknąć jako żonę ostatniego dowódcy AK. Wtedy, we wrześniu 1945 r., ukrywaliśmy się w miejscowości Świątniki. Tam mama malowała portrety i wymieniała je na żywność dla nas. W końcu jakoś nawiązała kontakt z AK, a oni skomunikowali się z Londynem. Anglicy nie chcieli wysłać samolotu z RAF, żeby Sowieci nie nabrali podejrzeń, że coś się dzieje, i wysłali pilota Johna Jordana, który latał do Czech z lekami dla obozów koncentracyjnych. Miał nas podjąć z lądowiska pod Pilznem. Juliusz Komornicki z racji licznych podróży służbowych orientował się w rozkładach jazdy kolei i opracował dojazd do Pilzna. Ruszyliśmy w drogę. Po dotarciu do celu spotkaliśmy się z brytyjskim attaché militaire, płk. Perkinsem, który zorganizował lot do Brukseli z międzylądowaniem i noclegiem w Niemczech.

A potem do Londynu?

Nie. Pilot zabrał ze sobą fotografa z „Evening Standard". Niebawem w londyńskim wydaniu gazety ukazały się nasze zdjęcia. Sowieci wpadli w szał. Ambasada zareagowała błyskawicznie: „Co wy tu

eprasa.pl 88749c7169

Na zawodach w Berlinie Bór-Komorowski był szefem reprezentacji jeździeckiej Polski w skokach przez przeszkody. Wywaliczyliśmy tam srebry medal, który wreczył Adolf Hitler

Od lewej: Zbigniew Stypułkowski, Zygmunt Zaremba, Tadeusz Bór Komorowski, Jan Nowak-Jeziorański

przyjmujecie bandytów? My sobie tego nie życzymy!". Wtedy w Anglii rządził premier Clement Attlee, socjalista z lewicowej Partii Pracy, który uległ naciskom Sowietów i zakazał nam wjazdu na teren Wielkiej Brytanii. W Brukseli zaopiekowała się nami jakaś rodzina. Po miesiącu o naszym losie dowiedział się rząd Irlandii i oficjalnie zaprosił całą naszą rodzinę na stałe. Jak tylko Irlandczycy to ogłosili, Anglicy nagle zmienili zdanie. Przed Bożym Narodzeniem 1945 r. wreszcie spotkaliśmy się z ojcem.

Który był już wtedy naczelnym wodzem Sił Zbrojnych.

Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego ojciec dostał nominację, jak było już wiadomo, że powstanie jest przegrane.

Może chodziło o symbol?

Chyba chodziło o to, by uchronić ojca przed śmiercią, bo istniało zagrożenie, że Hitler będzie chciał go rozstrzelać.

Przecież rozmowy kapitulacyjne z von dem Bachem-Zelewskim doprowadziły do uznania statusu warszawskiej AK jako części Sił Zbrojnych RP i traktowania jeńców zgodnie z konwencją genewską.

Ich tak, ale nie ojca jako dowódcy. Hermann Fegelein, oficer łącznikowy Himmlera przy kwaterze Führera i mąż siostry Ewy Braun, dzwonił do von dem Bacha z pytaniem: „Kto to jest gen. »Bór«, ten cham, który prowadził bandytów do walki?". Na to von dem Bach: „To pan nie wie?". „No nie". „A to jest ten przedwojenny jeździec Tadeusz Komorowski". Fegeleina zatkało: „Ależ to fantastyczny człowiek i fantastyczny jeździec. Zaraz zadzwonię do Hitlera, żeby odwołał rozkaz egzekucji". I tak się stało.

5 maja 1945 r., po przyjeździe do Londynu, pański ojciec otrzymał oficjalną nominację na naczelnego wodza. W czasie pobytu gen. „Bora" w niewoli to gen. Władysław Anders pełnił funkcje p.o. naczelnego wodza.

W 1946 r. ojciec pojechał z oficjalną wizytą do USA. Po powrocie powiedział matce: „Ja się podam do dymisji, bo Andersowi jest bardzo niewygodnie służyć pod oficerem niższej rangi" [Anders był generałem dywizji, podobnie jak „Bór", ale ze stażem dłuższym o ok. trzy lata – przyp. red.]. Do tego ojciec nie chciał być dowódcą armii, która nie istnieje. Dlatego jako oficjalny powód dymisji napisano: „wobec nieuznawania przez władze brytyjskie stanowiska Naczelnego Wodza". „Bór" przekazał szefowi Sztabu Głównego „ogólne dowodzenie wojskiem oraz koordynację zagadnień wspólnych dla wojska, marynarki wojennej i sił powietrznych". W listopadzie 1946 r. prezydent RP zwolnił go ze stanowiska naczelnego wodza. Matka była zła na Andersa. Mówiła, że wygląda jak choinka – wszędzie mu się świeci. Ale ojciec utrzymywał z nim doskonałe stosunki. Zawsze powtarzał: „Jak mnie zabraknie, to trzymajcie się Tadzia". Dla Andersa było szokiem, gdy dowiedział się, że ojciec odszedł z tego świata przed nim, w 1966 r. Gen. Kopański napisał list do rządu brytyjskiego z pytaniem, czy gen. Bór-Komorowski otrzyma jakieś finansowe wsparcie od Anglików. W odpowiedzi dowiedział się, że ojciec nigdy nie walczył pod komendą brytyjską i nie należy mu się żadna renta. Dopóki był wodzem naczelnym, Anglicy płacili mu gażę, a potem do widzenia.

To z czego żyliście na emigracji?

Ojciec pracował dla pana Konopackiego, którego żona była łączniczką gen. Okulickiego. Konopaccy mieli małą fabrykę produkcji sztucznej biżuterii. Nauczył się składać te precjoza i tak zarabiał. Potem mama założyła firmę tapicerską, szyjącą też firanki. Sypialnię przerobiła na pracownię, zatrudniła dwie, trzy Polki i praca ruszyła. Ojciec jeździł zawieszać te firanki klientom, pomagał, jak mógł, dopóki zdrowie pozwalało mu gramolić się po drabinach. Wtedy zaczął się zajmować buchalterią.

Ponoć zawieszał firanki mamy w pałacu księżnej Małgorzaty, siostry królowej Elżbiety.

Tak. Kilka dni później przyszło oficjalnie zaproszenie dla byłego naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie na kolację do księżnej Małgorzaty. Koledzy „generały" pytali go potem: „Co by się stało, gdyby ona cię poznała, że kilka dni wcześniej zawieszałeś u niej firanki? Nie czułbyś się zażenowany?". Na to ojciec: „I tak by mnie nie poznała, bo byłem w roboczym ubraniu, ale nawet gdyby, to i tak nie czułbym się zażenowany. To ona powinna się wstydzić, nie ja".

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88749c7169

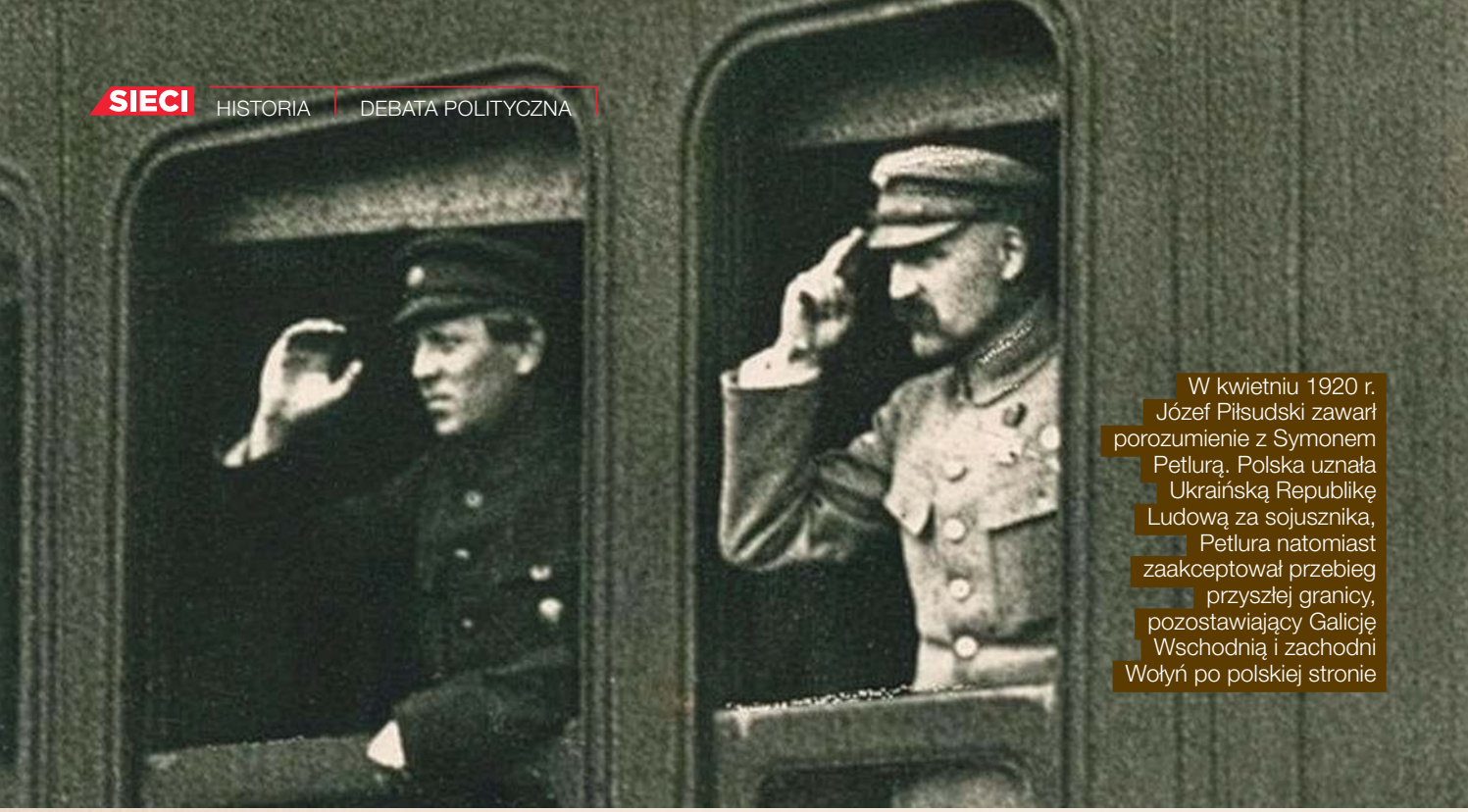

W kwietniu 1920 r. Józef Piłsudski zawarł porozumienie z Symonem Petlurą. Polska uznała Ukraińską Republikę Ludową za sojusznika, Petlura natomiast zaakceptował przebieg przyszłej granicy, pozostawiający Galicję Wschodnią i zachodni Wołyń po polskiej stronie

Czy Polska okupowała Ukrainę?

We współczesnych debatach historycznych i politycznych coraz częściej pojawia się stwierdzenie, że Polska przez wieki „okupowała Ukrainę". Po stronie ukraińskiej teza ta funkcjonuje od wielu lat, jednak w ostatnim czasie bywa coraz chętniej przyjmowana także przez niektórych polskich komentatorów. Jej zgodność z faktami historycznymi budzi jednak poważne wątpliwości

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W 2016 r. Olga Tokarczuk mówiła o konieczności zmierzenia się Polaków „jako kolonizatorów" z historią, odnosząc te słowa m.in. do relacji z narodami zamieszkującymi dawne Kresy. Z kolei psycholog społeczny prof. Michał Bilewicz przekonywał w 2022 r., że Polska ma „długą historię okupowania Ukrainy". Nie dziwi więc, że podobne zarzuty formułują też sami Ukraińcy.

Zgodnie z definicją prawa międzynarodowego okupacja oznacza czasowe zajęcie terytorium obcego państwa przez siły zbrojne oraz sprawowanie nad nim faktycznej władzy poprzez narzucenie swojej administracji i prawa okupacyjnego. Pojęcie to ukształtowało się dopiero w czasach nowożytnych i odnosi się przede wszystkim do konfliktów między istniejącymi państwami. Z tego powodu odnoszenie terminu „okupacja" do wydarzeń ze średniowiecza lub wczesnej nowożytności jest anachronizmem. Nie oznacza to oczywiście, że historia stosunków polsko-ruskich pozostawała wolna od konfliktów, napięć czy nierówności społecznych. Była jednak znacznie bardziej złożona, niż przekonują niektórzy.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 88749c7169

RUSKIE ZIEMIE W KORONIE

Początek polskiego panowania nad częścią ziem ruskich wiąże się z wydarzeniami połowy XIV w. Król Kazimierz III Wielki był sojusznikiem księcia halicko-wołyńskiego Bolesława Jerzego II, potomka zarówno dynastii piastowskiej, jak i ruskich Romanowiczów. Powiązania dynastyczne miały istotne znaczenie dla późniejszych roszczeń do tronu halickiego. Po bezpotomnej śmierci Bolesława Jerzego II w 1340 r. o władzę nad ziemiami Księstwa Halicko-Wołyńskiego rywalizowali królowie Polski i Węgier, książęta litewscy oraz miejscowi bojarzy. Według części źródeł Bolesław Jerzy II jeszcze za życia wskazał Kazimierza Wielkiego jako swojego następcę. Podstawą roszczeń polskiego monarchy były zarówno istniejące więzy dynastyczne, jak i wcześniejsze układy polityczne. Do lat 60. XIV w. stopniowo podporządkował sobie Ruś Czerwoną. W kolejnych dziesięcioleciach utworzono tam województwo ruskie oraz rozwijano administrację bazującą na rozwiązaniach obowiązujących w Koronie, zachowując jednocześnie wiele elementów miejscowego prawa, tradycji i organizacji społecznej. Rywalizacja dynastyczna o spuściznę po rozpadzie ruskiego księstwa była zjawiskiem typowym dla średniowiecznej Europy.

Kolejnym ważnym wydarzeniem był sejm w Lublinie z 1569 r. 1 lipca w wyniku połączenia unią realną Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów. W trakcie obrad król Zygmunt II August podjął decyzję o włączeniu do Korony województw wołyńskiego, kijowskiego i bracławskiego, które dotąd należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Źródła historyczne pokazują, że decyzja monarchy została podjęta przy udziale i aprobacie znacznej części miejscowej szlachty ruskiej. Wynikało to z chęci uzyskania praw politycznych przysługujących szlachcie koronnej, w tym prawa udziału w sejmikach ziemskich, wyboru posłów na Sejm oraz uczestnictwa w wolnej elekcji przyszłych królów. Zygmunt II August potwierdził dotychczasowe przywileje miejscowej szlachty, gwarantując zachowanie jej majątków i praw.

Co równie istotne, inkorporacja nie oznaczała przymusowej polonizacji ani likwidacji miejscowej odrębności. Na ziemiach tych nadal funkcjonował język ruski jako język urzędowy, obowiązywały Statuty litewskie, a szlachta ruska zachowała własną tradycję, wyznanie prawosławne oraz znaczną autonomię w sprawach lokalnych. Rzeczpospolita pozostawała krajem wieloetnicznym i wielowyznaniowym, w którym lojalność wobec państwa nie wykluczała zachowania odrębnej tożsamości kulturowej i religijnej.

UCISK CHŁOPÓW

Choć elity szlacheckie województw ruskich korzystały z pełni praw politycznych Rzeczypospolitej, sytuacja znacznej części pozostałej ludności wyglądała inaczej. W XVI i XVII w. na rozległych ziemiach Ukrainy istniały ogromne majątki magnackie należące do rodów Wiśniowieckich, Zamoyskich, Potockich czy Koniecpolskich. Wraz z rozwojem gospodarki folwarcznej rosły obowiązki pańszczyźniane chłopów. Jednocześnie narastały napięcia religijne. Po zawarciu unii brzeskiej w 1596 r. część hierarchii prawosławnej uznała zwierzchnictwo papieża, tworząc Kościół unicki. Dla wielu wiernych prawosławnych decyzja ta była trudna do zaakceptowania i stała się kolejnym źródłem konfliktów społecznych oraz politycznych, dodatkowo podsycanych przez rywalizację części magnaterii z dworem królewskim. Sytuacja ekonomiczna i społeczna chłopów na tych terenach nie odbiegała jednak zasadniczo od położenia ludności wiejskiej w innych częściach Rzeczypospolitej, gdzie również dominował system folwarczno-pańszczyźniany, a uzależnienie chłopów od właścicieli ziemskich pogłębiało się.

KOZACY

Na pograniczu Rzeczypospolitej wykształciła się również wyjątkowa społeczność Kozaków zaporoskich. Byli oni znakomitymi żołnierzami, lecz jednocześnie trudnymi do opanowania i skłonnymi do buntów. Już pod koniec XVI w. wybuchały pierwsze powstania kozackie, których bezpośrednią przyczyną było ograniczanie liczby Kozaków wpisanych do rejestru, a więc uprawnionych do otrzymywania żołdu i przywilejów.

Największym i najbardziej brzemiennym w skutki okazało się powstanie Bohdana Chmielnickiego, które wybuchło w 1648 r. Do postulatów zwiększenia liczby Kozaków rejestrowych dołączyły żądania obrony prawosławia oraz sprzeciw wobec polityki części magnaterii. Chmielnicki domagał się przede wszystkim rozszerzenia praw Kozaków i uznania ich odrębnej pozycji w Rzeczypospolitej. W miarę rozwoju wydarzeń powstanie przerodziło się w wyniszczającą wojnę domową, która objęła niemal całe południowo-wschodnie ziemie państwa. W wyniku ugody perejasławskiej zawartej w 1654 r. hetman kozacki uznał zwierzchnictwo cara, licząc na uzyskanie militarnego wsparcia przeciwko Rzeczypospolitej. Decyzja ta zapoczątkowała wieloletnią wojnę polsko-rosyjską i otworzyła Moskwie drogę do trwałego zaangażowania się w sprawy Ukrainy.

Wojna zakończyła się rozejmem zawartym w Andruszowie w 1667 r. Rzeczpospolita i Carstwo Rosyjskie podzieliły między siebie ziemie naddnieprzańskie. Ukraina Lewobrzeżna wraz z Kijowem znalazła się pod panowaniem Moskwy, natomiast Ukraina Prawobrzeżna pozostała w granicach Rzeczypospolitej. Zaporoże przez pewien czas pozostawało pod wspólnym zarządem obu państw. W wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej Rosja zajęła Ukrainę Prawobrzeżną, jednocząc pod swoim panowaniem niemal wszystkie ziemie uznawane dzisiaj za ukraińskie. Jedynie Galicja, obejmująca m.in. Lwów, znalazła się pod panowaniem monarchii habsburskiej. Od tego momentu przez ponad 100 lat o losach ziem ukraińskich decydowały dwa wielkie imperia: rosyjskie i austriackie.

WALKI O MAŁOPOLSKĘ WSCHODNIĄ I WOŁYŃ

W okresie zaborów wśród Ukraińców zaczęła się kształtować nowoczesna świadomość narodowa. Po zakończeniu I wojny światowej na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej i imperium rosyjskiego wybuchł konflikt polsko-ukraiński. Obie strony rościły sobie prawa do części tych samych terytoriów, przede wszystkim Galicji Wschodniej i Wołynia. Po rozpadzie Austro-Węgier, na początku listopada 1918 r., ukraińscy

eprasa.pl 88749c7169

politycy proklamowali Zachodnioukraińską Republikę Ludową (ZURL), obejmującą Galicję Wschodnią, z Lwowem jako jednym z jej głównych ośrodków. Polacy, stanowiący większość mieszkańców samego miasta oraz znaczną część ludności wielu ośrodków miejskich regionu, nie uznali nowej władzy. Walki o Lwów, prowadzone m.in. przez młodych ochotników, którzy później przeszli do historii jako Orlęta Lwowskie, zakończyły się utrzymaniem miasta przez stronę polską. W kolejnych miesiącach Wojsko Polskie wyparło siły ZURL z Galicji Wschodniej, a ostatecznie państwa ententy uznały polską administrację nad tym obszarem. Równocześnie na Wołyniu toczyły się walki z wojskami Ukraińskiej Republiki Ludowej, państwa utworzonego na terenach dawnego Imperium Rosyjskiego z atamanem Symonem Petlurą na czele. Także z Wołynia siły ukraińskie zostały wyparte przez Wojsko Polskie.

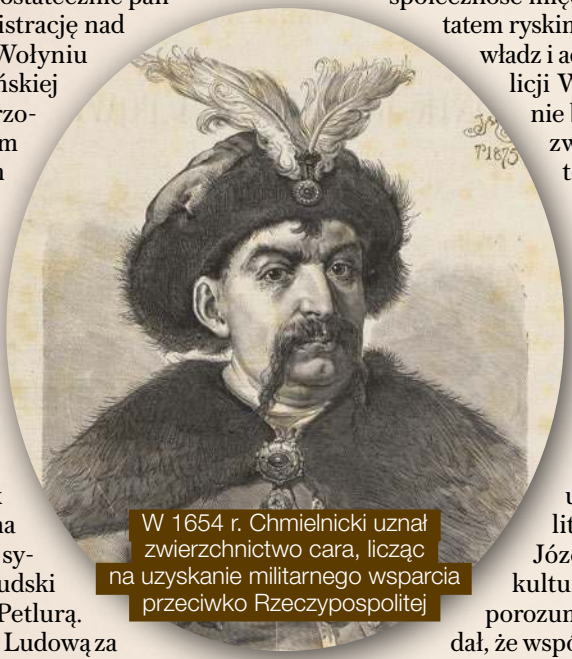

W 1654 r. Chmielnicki uznał zwierzchnictwo cara, licząc na uzyskanie militarnego wsparcia przeciwko Rzeczypospolitej

RAZEM CZY OSOBNO?

Na wschodzie, w byłym Imperium Rosyjskim, trwała wojna domowa. Ukraińska Republika Ludowa znalazła się pod silną presją zarówno bolszewików, jak i wojsk „białej" Rosji, a jej sytuacja militarna stawała się coraz trudniejsza. W tej sytuacji w kwietniu 1920 r. Józef Piłsudski zawarł porozumienie z Symonem Petlurą. Polska uznała Ukraińską Republikę Ludową za sojusznika, Petlura natomiast zaakceptował przebieg przyszłej granicy, pozostawiający Galicję Wschodnią i zachodni Wołyń po stronie polskiej. Celem sojuszu było wspólne pokonanie bolszewików oraz utworzenie niepodległego państwa ukraińskiego, które stanowiłoby bufor między Polską a Rosją. W maju 1920 r. wojska polskie i ukraińskie wkroczyły do Kijowa, odnosząc początkowy sukces. Ofensywa okazała się jednak krótkotrwała. Armia Czerwona przeszła do kontrnatarcia, zmuszając sprzymierzone siły do odwrotu i rozpoczynając marsz na zachód, zatrzymany dopiero zwycięstwem Polski w Bitwie Warszawskiej.

Plan Piłsudskiego nie został zrealizowany. W wyniku dalszych działań wojennych oraz negocjacji pokojowych Polska zawarła pokój z Rosją Sowiecką i sowiecką Ukrainą, przedstawiciele Ukraińskiej Republiki Ludowej nie zostali natomiast dopuszczeni do rokowań. Oznaczało to kres walki URL o niepodległość. Ziemie ukraińskie zostały podzielone między Polskę i Rosję Sowiecką. Granicę między II Rzecząpospolitą a państwem sowieckim ostatecznie ustalił traktat pokojowy podpisany w Rydze 18 marca 1921 r. Był to międzynarodowy układ zawarty przez Polskę, Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republikę Radziecką oraz Ukraińską Socjalistyczną Republikę Radziecką. W świetle ówczesnego prawa międzynarodowego granica II Rzeczypospolitej została uznana przez strony porozumienia. Dla Ukraińców traktat ryski oznaczał jednak przekreślenie nadziei na odbudowę własnego państwa, a część środowisk politycznych oskarżała Polskę o porzucenie sojusznika.

II RP: OKUPANT CZY NIE?

Z perspektywy historycznoprawnej II Rzeczpospolita sprawowała władzę na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej jako suwerenne państwo, którego granice zostały uznane przez społeczność międzynarodową i potwierdzone traktatem ryskim. Oznacza to, że obecność polskich władz i administracji na Wołyniu oraz w Galicji Wschodniej w znaczeniu prawnym nie była okupacją, lecz wykonywaniem zwierzchnictwa państwowego nad terytorium należącym do Polski. W granicach II RP znalazło się kilka milionów Ukraińców, tworzących największą mniejszość narodową w państwie. Posiadali własne organizacje społeczne, spółdzielcze i kulturalne, rozwijali szkolnictwo oraz prasę, a ich przedstawiciele zasiadali w Sejmie i Senacie, uczestnicząc w życiu politycznym państwa.

Polityka władz wobec ludności ukraińskiej nie była jednak jednolita. Na Wołyniu wojewoda Henryk Józewski wspierał ukraińskie życie kulturalne i polityczne oraz poszukiwał porozumienia polsko-ukraińskiego. Zakładał, że współpraca z umiarkowanymi środowiskami ukraińskimi wzmocni lojalność obywateli wobec państwa polskiego. Inaczej wyglądała sytuacja w Galicji Wschodniej, gdzie napięcia narodowościowe były znacznie silniejsze. Część środowisk ukraińskich domagała się autonomii lub niepodległości, a niektóre organizacje nacjonalistyczne sięgały po metody terrorystyczne. W odpowiedzi państwo polskie podejmowało działania represyjne, w tym pacyfikację części ukraińskich wsi w 1930 r. Wzajemna nieufność i narastający konflikt narodowościowy sprawiły, że próby porozumienia nie przyniosły trwałych rezultatów.

POLITYCZNE SLOGANY

Polska obecność na ziemiach ruskich trwała przez stulecia, miała różne podstawy prawne i polityczne oraz zmieniała się wraz z epokami. Bywała źródłem konfliktów, była również okresem rozwoju miast, samorządu szlacheckiego, handlu i współistnienia wielu kultur. Z perspektywy historyczno-prawnej nie ma podstaw, by uznać, że Polacy przed I i II wojną światową byli okupantami na ziemiach dzisiejszej Ukrainy. Polityka II Rzeczypospolitej wobec mniejszości ukraińskiej pozostaje przedmiotem dyskusji historyków. W okresie międzywojennym obszary te stanowiły integralną i prawnie uznaną część II RP, zgodnie z obowiązującym wówczas porządkiem prawa międzynarodowego.

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl 88749c7169

Jeden film, wiele twarzy

Guillermo Francella to w Argentynie aktor niezwykle popularny. W czarnej komedii „Homo sapiens?", która dotarła właśnie do polskich kin, wciela się w 16 bohaterów. Liczba imponująca, ale do pobicia rekordu wielu zabrakło

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 88749c7169

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

16 scenek z życia, 16 komentarzy do współczesnych czasów, ich presji, oczekiwań i pułapek. 16 bohaterów (od parkingowego po celebryckiego reżysera), wykreowanych przez Guillermo Francellę – 71-latka, który z werwą podołał rozbudowanym aktorskim zadaniom i przyciągnął do kin imponująco wielu rodaków.

SPOŁECZNY KAMELEON

Film „Homo sapiens?", z ironią przyglądający się współczesnemu społeczeństwu, obnażający ludzkie ambicje, próżność i mechanizmy władzy, obejrzały w Argentynie ponad 2 mln widzów. Francella nie schodzi w nim z ekranu. Takiego spełnienia pragnąłby zapewne niejeden aktor.

Reżyserzy Gastón Duprat i Mariano Cohn – twórczy duet, który ma na koncie m.in. „Boskich" z Penélope Cruz i Antonio Banderasem czy „Honorowego obywatela" – tak mówią o pracy z aktorem: „Z każdą zmianą »skóry« wyłania się kolejna i nowa postać, którą możemy rozpoznać z naszego codziennego życia lub nawet w nas samych". Według nich Francella przemienia się „niczym argentyński społeczny kameleon", ale w dylematach bohatera swobodnie odnajdą się też polscy widzowie. Bo mimo geograficznej odległości ucieleśnia się w nich również to, co – jak zauważają Duprat–Cohn – także my „widzimy każdego dnia, a na co może wolelibyśmy nie patrzeć dwa razy".

W POGONI ZA REKORDEM

Jeden film, jeden aktor, wiele ról. W przypadku „Homo sapiens?" było ich kilkanaście. Filmowy rekordzista stworzył ich aż 48! Choć akurat ten wyczyn traktować trzeba bardziej w kategorii ciekawostki niż dowodu filmowego kunsztu.

Dwa lata temu Mart Sander, znany w estońskim show-biznesie aktor, muzyk i filmowiec, został wpisany do Księgi Rekordów Guinnessa w kategorii największa liczba ról zagranych przez jednego aktora w filmie. Rekord pobił za sprawą produkcji „Dr. Sander's Sleep Cure", w której bohater cierpiący na bezsenność sięga po taśmy tytułowego doktora, by znaleźć ukojenie. A stając się mimowolną gwiazdą własnych koszmarów, dał sobie możliwość wcielenie się w 48 różnych postaci. Na taką liczbę Sander zdecydował się, gdy odkrył, że poprzedni rekordzista, indyjski aktor Johnson George ma na koncie 45 epizodów w filmie science fiction z 2018 r. „Aranu Njan". Trzeba było go więc przebić.

SZLACHECTWO ZOBOWIĄZUJE

Ambicji uwzględnienia w Księdze Guinnessa (nie tylko dlatego, że powstała ona w 1955 r.) nie mieliby zapewne twórcy produkcji „Szlachectwo zobowiązuje" (1949) z mistrzowską ósemką w wykonaniu Aleca Guinnessa. Wybitny brytyjski aktor wyznaczył tymi kreacjami bardzo wysoki pułap zawodowy. Nagrodzony później Oscarem za rolę w filmie „Most na rzece Kwai", z imponującą liczbą różnorodnych, często historycznych kreacji na koncie (i honorowym Oscarem za postać Obi-Wana Kenobiego w „Gwiezdnych wojnach"), w klasyku brytyjskiej czarnej komedii dał pokaz aktorskiego kunsztu, wcielając się w osiem różnych postaci (w tym damę) – członków arystokratycznej rodziny, których postanawia usunąć jeden z krewnych, by odziedziczyć majątek i tytuł szlachecki.

Jak pisze krytyk: „Gdyby Guinness miał po tym filmie zakończyć karierę aktorską (czego na szczęście nie zrobił), i tak zapisałby się w annałach kina tą jedną kreacją. Wciela się bowiem po kolei we wszystkie ofiary z rodziny D'Ascoyne. Bez efektów specjalnych, bez ciężkiej charakteryzacji, tylko za pośrednictwem głosu, mimiki, sposobu poruszania się zmienia wcielenia, jak rękawiczki".

KONCEPT I WYKONANIE

W zupełnie innym klimacie, ale równie mistrzowskim wykonaniu, o tym, że aktorskie szlachectwo zobowiązuje, blisko siedem dekad później przekonała widzów Cate Blanchett. Australijka, która podbiła nie tylko Hollywood, laureatka dwóch Oscarów, w filmowym eksperymencie „Manifesto" (2015) wcieliła się w 13 różnych postaci – od wokalistki punkowego zespołu, przez nauczycielkę, robotnika, naukowca,

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 88749c7169

wdowę, po bezdomnego. Wszystko po to, by przywołać najbardziej radykalne idee XX w. i zderzyć je z otaczającą nas rzeczywistością.

Z kolei „Atlas chmur" (2012), filmowy megakoncept w reżyserii Toma Tykwera i Lany Wachowski, miał ambicje zdefiniowania mechanizmów, które od wieków rządzą światem. W rozgrywającej się w różnych epokach i zakątkach globu opowieści o losach ludzi, których czyny mają wpływ na przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość, wystąpili m.in. Tom Hanks, Halle Berry, Jim Broadbent, Hugo Weaving, Jim Sturgess i Ben Whishaw. Każdy z aktorów pojawił się w kilku wcieleniach (także zmieniając płeć i kolor skóry), dostając szansę na aktorski popis, a także pokazanie dystansu do swojego wizerunku. Dzięki pracy charakteryzatorów i efektom komputerowym rozpoznanie odtwórców może sprawiać kłopoty.

KOMEDIOWE ROSZADY

Choć dla członków słynnej brytyjskiej grupy Monty Python odgrywanie wielu ról było czymś na porządku dziennym, wrażenie robią bohaterowie Johna Cleese'a z filmu „Monty Python i Święty Graal" (1975). W tej komediowej, alternatywnej wersji historii króla Artura i jego rycerzy, komik wystąpił jako: Dzielny Sir Lancelot, Czarny Rycerz, Czarodziej Tim, Trzeci Wieśniak, Drwiący francuski rycerz oraz Drugi rycerz gadający o jaskółkach.

Na aktorskie wyżyny wspiął się Peter Sellers w filmie „Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę" (1964) w reżyserii Stanleya Kubricka. W trzy postaci: kapitana Lionela Mandrake'a, prezydenta Merkina Muffleya oraz doktora Strangelove'a wcielił się tak, że otrzymał nominację do Oscara.

Mike Myers, aktor komediowy, showman i filmowiec, od dzieciństwa zafascynowany programami Monty Pythona i filmami z Peterem Sellersem, też postanowił stać się kameleonem na ekranie. W filmie „Austin Powers i Złoty Członek" (2002) – trzeciej w serii amerykańskich satyr szpiegowskich – zagrał poczwórnie: głównego bohatera Austina Powersa, jego antagonistę Dr. Zło, Fat Bastarda (złoczyńcę o groteskowej otyłości) oraz ekscentryka Goldmembera.

JAK TO W RODZINIE

Rekordzistką w liczbie ról rodzeństwa stała się Noomi Rapace. W filmie „Siedem sióstr" (2017) zagrała wszystkie, oczywiście bardzo różnie stylizowane, tytułowe postaci.

Siedmioro bohaterów stworzył też – w rodzinnej komedii „Gruby i chudszy" (1996) – Eddie Murphy. Kilka lat wcześniej, w „Księciu w Nowym Jorku" (1988), zagrał rolę poczwórną – księcia Akeema, Clarence'a, Randy'ego Watsona oraz Saula.

„Tylko" trzy wcielenia w jednym filmie zapisać może sobie na koncie Michael J. Fox. W „Podróży do przyszłości II" (1989), oprócz głównej postaci – Marty'ego McFly'a – stworzył także Marty'ego McFly'a Juniora oraz Marlene McFly, czyli swoje dzieci z przyszłości. W innej części wcielił się również w postać prapradziadka Seamusa McFly'a.

WESPÓŁ W ZESPÓŁ

Poza efektownymi multiplikowanymi kreacjami w pamięci widzów pozostają też spektakularne role podwójne. Tu na pierwsze miejsce wybija się Tom Hardy. W filmie „Legend" (2015), opartej na faktach opowieści o narodzinach i upadku gangsterskiego londyńskiego imperium stworzonego przez bliźniaków, Rona i Reggiego, stworzył diametralnie różnych od siebie braci.

Na polskim podwórku niezastąpiony w takiej roszadzie pozostaje Cezary Żak jako wójt (później senator) oraz proboszcz (z czasem biskup) w serialu „Ranczo".

A wracając do najnowszej kinowej premiery, czyli filmu „Homo sapiens?". Można się zastanowić, który z polskich aktorów mógłby sprostać podobnemu zadaniu jak Guillermo Francella. Może byłby to Cezary Pazura, a może Artur Barciś, który – jak Cezary Żak – po latach wrócił na plan „Rancza".

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 88749c7169

Złota era westernu – filmy, które stworzyły mit Ameryki

MACIEJ WALASZCZYK

Western to epoka homerycka młodej amerykańskiej kultury. Rozrywka trafiająca wprost do naszych serc. To polityczny mit Ameryki o zwycięstwie dobra nad złem, często radykalnym, do którego się strzela

Czym dla Europejczyków jest Morze Śródziemne, dzięki któremu Homer ukazał heroiczne opowieści o bitwach, wyprawach, przygodach i podbojach, tym dla Ameryki jest zdobywanie Dzikiego Zachodu. Przynajmniej było tak przez wiele lat. Westerny, docierając z powrotem do Europy – szczególnie w czasach komunistycznych – pobudzały tęsknotę za wolnością. Preria i góry, spektakularne piękno i surowa siła natury, a do tego ścieżki dźwiękowe przenoszące nas do innego czasu i miejsca pomagały obrazowi filmowemu opowiedzieć historie o tym, co dobre i złe. Choć granica między nimi jest cienka, to wśród „samotnych jeźdźców", kowbojów i Indian, szeryfów i rewolwerowców, a nawet szulerów i dziwek dostrzegamy ludzi czyniących dobro i przywracających ład zaburzony przez zło.

Oto wakacyjny przegląd klasycznych westernów – w kolejności chronologicznej, bo wszystkie to filmowe pomniki.

1. „Dyliżans" (1939)

Arcydzieło Johna Forda, ojca westernu, pioniera zdjęć plenerowych, dzięki którym rozpowszechnił się na całym świecie krajobraz Monument Valley na wyżynie Kolorado. Umieszczając tam akcję swych westernów, uczynił ów pejzaż jednym z najbardziej rozpoznawalnych widoków z USA. Pomysł był genialny i polegał na odbyciu w jednym dyliżansie, w którym

Fot. United Artists

umieszczono grupę ludzi stanowiących mozaikę klasycznych typów Dzikiego Zachodu, dramatycznej podróży przez bezdroża Arizony.

Jest niepozorny handlarz whisky, dobroduszna prostytutka Dallas, lekarz alkoholik, uciekający z gotówką bankier, szeryf, hazardzista i ciężarna żona rannego oficera kawalerii, walczącego z dzikimi Apaczami pod wodzą Geronimo. Ale przede wszystkim banita Ringo Kid, w którego wcielił się John Wayne, otwierając sobie drogę na szczyty popularności.

eprasa.pl 88749c7169

Grany przez niego bohater właśnie uciekł z więzienia, by udać się w osobistą misję i pomścić śmierć ojca oraz brata. Szalona ucieczka sześciokonnego zaprzęgu i strzelanina podczas ataku Indian to widowisko wzorcowo wręcz kinowe. Również podział ról jest czarno-biały: biali są dobrzy, a Apacze źli, bohaterowie zaś pełnokrwiści, bo podróż, którą właśnie odbywają, zdaje się najważniejszą w ich życiu. Jesteśmy także świadkami narodzin czystej miłości grzesznych ludzi. Gdy oszołomiona oświadczynami prostytutka pyta z rezygnacją Kida: „Co ty o mnie wiesz?", ten nonszalancko odpowiada: „Wiem wszystko, co chcę wiedzieć".

2. „W samo południe" (1952)

Kolejny westernowy klasyk, tym razem urodzonego w Rzeszowie Freda Zinnemanna. Historia trwa półtorej godziny i rzeczywiście zaczyna się o 10.30, rozwija się powoli, co wzmaga powracająca w tle upiorna melodia ballady Texa Rittera. Ten film również kandyduje do roli najlepszego, ukazując dramatycznie westernowy mit szlachetnego obrońcy prawa, gdzie odgrywany przez Gary'ego Coopera emerytowany szeryf Will Kane samotnie przeciwstawia się grupie rewolwerowców.

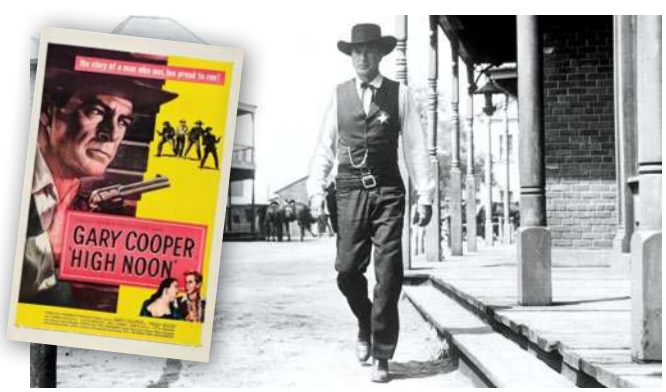

Fot. Materiały prasowe

Historię starą jak świat znakomicie streszcza opuszczający miasteczko sędzia Percy Mettrick, który przypomina, że niegdyś również obywatele Aten potrafili obalić i wygnać dręczącego ich tyrana. „Ale gdy kilka lat potem powrócił z armią najemników, ci sami obywatele nie tylko otworzyli mu bramy, lecz także stali z boku, gdy wykonywał egzekucje członków legalnego rządu". Rozchodzi się bowiem wieść, że trzech popleczników skazanego mordercy Franka Millera (Ian MacDonald) czeka na stacji kolejowej, na której ten, niedawno uwolniony z więzienia, ma wysiąść z pociągu, który przybędzie do miasteczka w samo południe. Pięć lat wcześniej bandyta trafił za kratki właśnie za sprawą szeryfa, który akurat tego dnia bierze ślub, zdaje odznakę i ma zacząć nowe życie. Kane nie ucieka jednak, lecz podejmuje walkę – wbrew żonie (Grace Kelly), wbrew zawdzięczającym mu spokój mieszkańcom, których pokonuje tchórzostwo i kunktatorstwo. A którym z tych westernowo-antycznych bohaterów jesteśmy my?

3. „Poszukiwacze" (1956)

Po premierze temu filmowi Forda zarzucano „irracjonalną nienawiść do Indian", a do tego nadmiar brutalności. To kolejny western wszech czasów z klasyczną homerycką konstrukcją, przedstawiającą odyseję konfederackiego żołnierza Ethana Edwardsa, który po wojnie secesyjnej udaje się na trwające pięć lat poszukiwania bratanic porwanych przez Komanczów. Prowadzona przez niego walka białych osadników z Indianami czyni go jedną z najbardziej jednoznacznych postaci w amerykańskim kinie. Tym bardziej że ową postać ożywia na ekranie John Wayne, będący już wówczas uosobieniem hollywoodzkiego konserwatyzmu, antykomunizmu i kultury amerykańskiego Zachodu.

Fot. Materiały prasowe

Po tym, jak Komancze brutalnie mordują jego brata, bratową i ich syna oraz porywają młode dziewczyny, Lucy i Debbie, grany przez Wayne'a Edwards rozpoczyna poszukiwania Indian, którzy popełnili tę zbrodnię. Ford ukazał dramat ludzi takich jak on, czujących się powiernikami cywilizacji, ale jednocześnie zawieszonych między wolnością i liryczną dzikością świata podbijanego przez białych a porządkiem. Do samego końca pozostaje upartym, małomównym i niepoddającym się żołnierzem Skonfederowanych Stanów Ameryki. Stojąc w osamotnieniu na tle rancza, stoi też na progu cywilizacji, wiedząc, że nigdy nie będzie potrafił się do niej dopasować.

4. „15:10 do Yumy" (1957)

Kolejny z czarno-białych klejnotów klasycznego westernu w reżyserii Delmera Davesa. Susza niszczy plony w Arizonie, dlatego nieudolny farmer Dan Evans (Van Heflin) za 200 dol., których potrzebuje na wybudowanie studni, decyduje się eskortować pojmanego Bena Wade'a (Glenn Ford) do Contention City. Stamtąd o godz. 15.10 wyrusza pociąg do Yumy, gdzie bandyta, oskarżony o napad na dyliżans i morderstwo woźnicy, stanie przed sądem. Zanim gang upomni się o aresztanta.

Czas oczekiwania w jednym z hotelowych pokojów – z nostalgiczną balladą w tle, śpiewaną przez Frankiego

eprasa.pl 88749c7169

Fot. Materiały prasowe

Laine'a – przemienia fabułę tego filmu w starcie dwóch osobowości i pełną emocji próbę charakterów. Nie ma tu absolutnie dobrego „białego kapelusza" stojącego w kontrze do złego „czarnego kapelusza". Potrzebujący forsy upokorzony ranczer zmaga się bowiem z kolejnymi pokusami skorumpowania go. Co więcej, zły bandzior nie wydaje się aż taki zły – błyszczy inteligencją i jest sympatyczny. Ben Wade może i wyrządza zło, ale już jako postać wrażliwa i rozdarta. „Ściskając zegarek, nie zatrzymasz czasu" – rzuca inteligentnie do Evansa. Czas biegnie, zegary i zegarki odmierzają biegnący nieodwołanie czas, przybliżający nas do śmiertelnej strzelaniny.

5. „Rio Bravo" (1959)

Zdaje się, że jest to najlepszy western, jaki kiedykolwiek powstał, dodatkowo będący dziełem jednego z mistrzów gatunku – Howarda Hawksa. I chyba najlepsza z ról Johna Wayne'a, w której jako szeryf z pomocą rewolwerowca, a zarazem zmagającego się z nałogiem alkoholika Dude'a (Dean Martin), zwariowanego staruszka Stumpy'ego (Walter Brennan) oraz młodego kowboja Colorado Ryana (Ricky Nelson) musi przeciwstawić się bandzie lokalnego ranczera Burdette'a. Decydując się aresztować jego brata za zabójstwo w miejscowym saloonie, muszą przetrzymać aresztanta aż do przybycia przedstawicieli federalnego wymiaru sprawiedliwości.

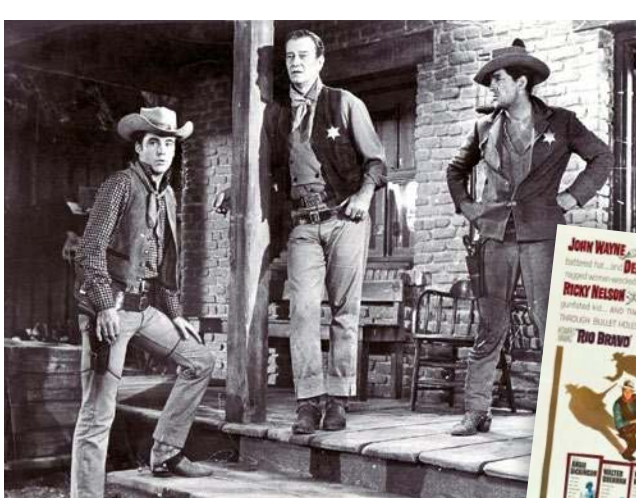

Fot. Materiały prasowe

Na ekranie króluje minimalizm i powściągliwość, miasteczko z meksykańskiego pogranicza wręcz bucha gorącem, akcja ściśnięta w kameralnych planach toczy się niespiesznie. Choć sam Wayne porozumiewa się z widzem bardziej za pomocą mowy ciała, dominują długie dialogi, przerywane jedynie krótkimi strzelaninami. Nieustannie, niczym krążące wokół widmo śmierci, towarzyszy bohaterom melodia „Deguello" – „Pieśni o podrzynaniu gardeł". Nastrój grozy aż na sześć minut przerywa m.in. znana z „Rzeki Czerwonej" liryczna melodia „My Rifle, My Pony and Me", śpiewana w duecie przez Martina i Nelsona. Jest również piękna pokerzystka Feathers (Angie Dickinson), ale osią tej opowieści pozostaje filozofia prawdziwie męskiej przyjaźni.

6. „Siedmiu wspaniałych" (1960)

„Siedmiu samurajów" Akiry Kurosawy jest filmem niemal idealnym. Ale przeniesiona przez Johna Sturgesa historia z feudalnej Japonii do nieokreślonego w czasie Dzikiego Zachodu, a do tego znacznie skrócona, stała się jednym z kolejnych znaków rozpoznawczych westernu. Film jest pełną

Fot. Materiały prasowe

romantyzmu historią opowiadającą o bezrobotnym rewolwerowcu, którego biedni wieśniacy z jednej z meksykańskich wiosek wynajmują do obrony przed bandytami. Namówiony znajduje do pomocy sześciu innych, którzy za wdowi grosz – 20 dol. – zaciągają się na sześciotygodniową, niebezpieczną służbę.

Przypowieść opowiedziana za pomocą gwiazdorskiej obsady na tle muzyki Elmera Bernsteina trzyma w napięciu, rozśmiesza i wzrusza. Każdą z malowniczych postaci definiuje jej zachowanie i styl. Eli Wallach wciela

eprasa.pl 88749c7169

się w rolę Calvery, który dowodzi grupą bandytów regularnie nękających chłopów. Bernardo O'Reilly (Charles Bronson) jest tyleż zdesperowany, co spłukany, pełen elegancji kowboj Lee (Robert Vaughn) utracił pewność siebie i odwagę, a udział w nietypowym zleceniu ma pomóc mu ją odnaleźć, Harry Luck (Brad Dexter) wierzy, że za bezsensowną obroną biednej wioski tak naprawdę kryje się kopalnia złota i łupy do podziału, Britt (James Coburn), wysoki i lakoniczny zawadiaka, szuka po prostu okazji do kolejnej awantury, a narwany rewolwerowiec żółtodziób Chico (Horst Buchholz) szuka sławy. A co z Chrisem (Yul Brynner) i Vinem (Steve McQueen)? Ich motywacje nie są jasne. Przygoda, awantura, sława, a może rycerski obowiązek obrony słabszych, by utrzeć nosa bandytom? Tak czy inaczej walka o wolność od zła ma swoją cenę.

7. „Człowiek, który zabił Liberty Valance'a?" (1962)

Prawnik Ransom Stoddard (James Stewart) i rewolwerowiec Tom Doniphon (John Wayne) kontra bandzior Liberty Valance (Lee Marvin). I znów świetna robota mistrza gatunku Johna Forda, stawiającego pytanie, kim są prawdziwi bohaterowie. Ta historia jest opowiedziana w następujących po sobie retrospekcjach, a dowiadujemy się o niej dzięki dziennikarzowi lokalnej gazety, który nakłania Stoddarda

Fot. Materiały prasowe

do udzielenia wywiadu, gdy mężczyzna po latach, już jako senator, przybywa wraz z żoną Hailey (Vera Miles) do miasteczka, by uczestniczyć w pogrzebie Toma. Opowiada więc historię, która zakończyła się śmiercią terroryzującego niegdyś okolicę Valance'a, jemu otwierając drogę politycznej kariery w Waszyngtonie.

Film przy okazji opiewa też kolejne etapy narodzin amerykańskiej demokracji, a dokładnie moment, gdy rządy siły i rewolweru ustępują miejsca rządom prawa oraz sekundującym im mediom. Ich misję świetnie streszcza założyciel gazety Dutton Peabody (Edmond O'Brien), wygłaszając – choć w stanie nietrzeźwym – świetną mowę: „Jestem dziennikarzem, nie politykiem! [...] Jestem twoim sumieniem, cichym głosem, psem stróżującym, który w nocy wyje na widok wilków! Jestem twoim ojcem spowiednikiem!". Kto więc zastrzelił Valance'a? Okazuje się, że w masowej demokracji prawda ma sens tylko wtedy, gdy zgadza się z tym, co chce usłyszeć społeczeństwo. Gdy bohaterowie nie istnieją, trzeba ich wymyślić, a fakty nie mogą przeszkodzić legendzie. „Tylko legenda staje się historią".

8. „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie" (1968)

To nie jest klasyk, ale mroczny i melancholijny spaghetti western, mający jednak w sobie wiele z opisanych powyżej filmów. Ukazuje moment, gdy Dziki Zachód ulega już ostatecznemu podbojowi – triumfują budowa kolei i kapitalizm, porządek i cywilizacja. Dzieło hipnotyzuje genialną dramaturgią, obsadą

Fot. Materiały prasowe

aktorską, takimiż ujęciami i muzyką Ennia Morriconego. Mamy więc piękną Claudię Cardinale, wschodzącą gwiazdę Charlesa Bronsona, Henry'ego Fondę, który wyjątkowo gra „tego złego", czy Jasona Robardsa.

Reżyser Sergio Leone przykuwa naszą uwagę każdym chyba detalem, poczynając od pierwszej wielominutowej sceny ciszy, ukazującej trzech facetów oczekujących na przyjazd pociągu. Ta jedna z najlepszych scen w historii kina rozpoczyna wielowarstwową historię, w której mężczyzna o przezwisku „Harmonijka" przybywa do miasteczka w poszukiwaniu innego mężczyzny o imieniu Frank. Jego intencje nie są jasne. Jill to była prostytutka z Nowego Orleanu, która zjawia się, by wyjść za mąż, nie wiedząc jeszcze, że wybranek został zamordowany przez Franka wraz z resztą jego rodziny. Cheyenne to znów bandyta, który został wrobiony w morderstwo i wraz z „Harmonijką" pomaga kobiecie w uratowaniu należnej jej ziemi oraz w zemście na Franku i jego zleceniodawcy.

„Rewizjonistyczny" obraz powstał w dużej mierze po to, by obalić kanon Forda – człowieka, który wraz z Waynem zdefiniowali western. Film tchnął jednak nowe życie w umierający już wtedy gatunek, opatrując go na koniec sakramentami.

eprasa.pl 88749c7169

HITY i KITY ZAREMBY

Spotkanie z ludzkim Odyseuszem

„Odyseja" Christophera Nolana, kolejna adaptacja poematu Homera, wywołuje największe kontrowersje od lat. Mamy do czynienia z filmem efektownym, choć w niektórych miejscach budzącym mój opór

Zacznę od oporu. „Jesteśmy Grekami z Itaki" – oznajmiają wojownicy Odyseusza, wracający do ojczyzny po 10-letniej wojnie trojańskiej. Obaj są kolorowi. Widzimy Murzynów i wśród załogi z Itaki, i wśród zalotników, którzy pod nieobecność króla obsiedli jego dwór i ubiegają się o rękę żony Odysa, Penelopy. Ateną jest czekoladowa piosenkarka Zendaya. No i mamy ciemnoskórą Lupitę Nyong'o jako piękną Helenę.

Ona sama opowiada, że nie jest to utwór historyczny, lecz mitologia. A liczni recenzenci zaczęli na wyścigi oznajmiać, że im to nie przeszkadza. Ktoś zauważył, że Helena była córką boga Zeusa, która wykluła się z jaja. Ale tę mitologię stworzyli Grecy. Grekami byli ich bogowie. Zresztą czy to tylko mit? Przecież Troja istniała i została zniszczona w XIII lub XII w. p.n.e. To była grecka historia. Wierzycie w murzyńską królową Sparty?

Ale przy powszechnej ignorancji widzowie są gotowi uwierzyć w wielorasowość tamtych społeczeństw. Nolana atakowano kiedyś za to, że nie było kolorowych w jego wojennej „Dunkierce". Więc tu poddał się politycznej poprawności. Reżyser uważa, że na poły mityczne opowieści są własnością całego świata. Ale to fałsz.

Nolan wplótł w akcję rozmaite poprawne przesłania. Starcie z cyklopem Polifemem, zakończone jego oślepieniem, jest nieideologiczne. Ale kiedy wróżka Kirke zmienia towarzyszy Odyseusza w świnie, okrasza to niemal feministycznym atakiem na zachłannych, brutalnych mężczyzn, którzy mają przypominać te stworzenia.

Apogeum tych scenariuszowych zabiegów stanowią wyznania głównego bohatera, skierowane do Penelopy, kiedy dociera wreszcie do Itaki. To Odys wymyślił drewnianego konia, w którym Achajowie dostali się za mury Troi, by wyrżnąć jej mieszkańców. Po latach nie tylko jest tym wstrząśnięty, lecz także łączy to z pesymistyczną wizją upadku cywilizacji.

Homer, który stworzył „Iliadę" i „Odyseję" w VIII w. p.n.e., uważał upadek Troi za tragedię. Nie na tyle jednak, aby przypisywać Odysowi takie duchowe rozterki. Mamy tu do czynienia z doklejeniem do klasycznej historii nowych znaczeń. Rozumiem wątpliwości wobec takich korekt, ale czy bez owej refleksji cała opowieść nie jawiłaby się, także i mnie, jako zbyt okrutna?

Przerażenie kataklizmem, jakim było zniszczenie Troi, nie jest wynalazkiem Nolana. Skądinąd odkrycie, że to greckie armie są mitycznymi Ludami Morza siejącymi śmierć i zniszczenie, niektórzy konserwatyści uznali za metaforę wymierzoną w „imperialistę Trumpa" i w tradycyjny Zachód. W moim odczuciu to naciągana interpretacja, choć Nolan istotnie uderza w wojenny „maczyzm".

Nie zgadzam się z wieloma zastrzeżeniami wobec tego filmu. Choć fabuła jest pełna dygresji i chronologicznych przeskoków, odbierałem ją jako spójną. Możliwe, że hełmy były nie takie, ale sceny starć zbrojnych są rozegrane bezbłędnie. Mamy momenty naprawdę wstrząsające – dla mnie najbardziej dramatyczne było spotkanie Odyseusza z ofiarami wojny wypełzającymi z Hadesu.

Nie mam nic do aktorów, choć każe im się mówić zbyt współczesnym językiem. Prawda, Matt Damon gra postać bardziej rozchwianą i niepewną niż Odys z poematu, ale przez to jest nam bliższy. Sprawdza się Anne Hathaway jako Penelopa, Tom Holland jako Telemach, syn Odysa, czy Robert Pattinson jako zalotnik Antinoos. Recenzent „Do Rzeczy" twierdził, że widział w nich aktorów, a nie postaci. Mnie najwyraźniej tym razem olśniło większą wyobraźnią.

Piotr Zaremba

Fot. Materiały prasowe

Dziwność i okrucieństwo

„Lisa Frankenstein" to film sprzed dwóch lat, dostępny teraz w HBO. Można go nazwać horrorem, jest nawet oznaczany jako horror komediowy. Takie produkcje, adresowane do młodych widzów, budzą we mnie niepokój

Film wyreżyserowała aktorka Zelda Williams, scenariusz napisała Diablo Cody. Jego bohaterka Lisa to ekscentryczna, kiepsko adaptująca się licealistka, obciążona traumą – w jej obecności zamordowano kiedyś jej matkę. Po przyjściu do nowej szkoły dużo czasu spędza na starym cmentarzu. W czasie pewnej imprezy odurzona narkotykiem wywołuje tam zmarłego przed laty młodego człowieka. Nawet nie ducha – on wychodzi z grobu jako fizyczna postać.

Pomysł jak pomysł, film zaczyna się jako tradycyjnie pokazywany obraz rodziny i szkoły (teen movie). Symbioza Lisy z ożywionym truposzem prowadzi do tego, że zabija on jej macochę, niejako w obronie dziewczyny. Potem następuje coś bardziej makabrycznego. Martwy osobnik nie ma dłoni. Aby mu ją przywrócić, Lisa sprowadza na cmentarz zainteresowanego nią kolegę. Razem odrąbują mu rękę, a potem zabijają, co jest pokazane w tonie niemal krotochwili.

Z wiekiem coraz bardziej nie lubię zabaw cudzą śmiercią czy cierpieniem. Zwłaszcza takich, gdzie dobro jest kompletnie pomieszane ze złem. Skądinąd głodne tematów kino coraz częściej funduje nam apoteozę dziwności. W serialu „Wednesday" Tima Burtona pozytywne są wilkołaki i wampiry, a także tytułowa dziewczynka, lubiąca przeprowadzać sekcje wiewiórek. Nie tylko dziwadła mają być ciekawsze od normalsów, ale dostają jakby prawo do robienia rzeczy strasznych. Tu trup dokonuje później jeszcze kilku mordów, ingerując w życie Lisy. Mamy się tym bawić, a na pewno nie przejmować.

W 2009 r. Diablo Cody napisała scenariusz innego horroru „Zabójcze ciało". Tam licealistka opętana przez demona morduje kolegów (wymarzonymi ofiarami są faceci). To jednak pokazywano jeszcze jako coś złego. Tu dobro i zło są zastąpione zabawą w okrucieństwo. Brzydka to zabawa.

HENRYK V JAKO FILMOWY NAIWNIAK

Brytyjski „Król" Davida Michôda to film z 2019 r. Trafiłem na niego w zasobach Netfliksa. Był wychwalany jako zręczne połączenie eposu rycerskiego i traktatu o władzy. Dla mnie jest pełen kuriozalnych przeinaczeń

Timothée Chalamet, który gra w co drugim filmie, tu wystąpił jako król Anglii Henryk V, pogromca Francuzów w drugiej fazie wojny stuletniej. Hulaszczy książę Hal, później władca uważany za sprawiedliwego, był bohaterem kilku sztuk Williama Szekspira. Film reklamowano jako złożony z motywów szekspirowskich.

Zasadniczo pozostaje on wierny materialnym realiom epoki późnego średniowiecza, choć bohaterowie mówią współczesnym językiem. Nikomu nie przyszło do głowy obsadzać tu Murzynów w jakiejkolwiek roli. Wiernie została oddana kluczowa bitwa pod Azincourt z 1415 r.

Za to cała reszta... Ledwie zaznaczony wątek hulanek u boku Johna Falstaffa pozbawiony jest obecnego u Szekspira humoru. Dramatopisarz pokazał, jak Hal, zostając królem, bezwzględnie odprawia opoja. Tu przygarnia go ponownie, czyni doradcą. Jest to sprzeczne tylko z dramatami, bo Falstaff, grany sugestywnie przez Joela Edgertona, to postać fikcyjna.

Mamy za to całkowite odejście od realnych zdarzeń. Podczas wojny domowej z Henrym Percym Hal pogodził się z ojcem, Henrykiem IV. Los starcia rozstrzygnęła bitwa. Jest to malowniczo pokazane w sztuce Szekspira „Henryk IV", zapraszam do warszawskiego Teatru Polskiego. Tu do bitwy nie dochodzi, Hal zabija Percy'ego w pojedynku. Nie godzi się z ojcem, który umiera.

Czy powinno się tak masakrować historię, skoro mamy do czynienia z autentycznymi postaciami? Wiem, wciąż powtarza się retoryczne „who cares?" amerykańskiego producenta, kiedy spytano go o poprawianie historii w filmach. Brytyjczycy mieli do tego jednak inne podejście. Za sprawą Netfliksa już nie mają? Czy nie można pogodzić atrakcyjności z historyczną wiernością?

Jeszcze bardziej kuriozalne są nagięcia, kiedy Henryk rusza na Francję. Walczy z nim delfin Karol, zagrany jako antypatyczna postać przez Roberta Pattinsona. W filmie delfin ginie w bitwie pod Azincourt. Prawdziwy Karol został potem królem, jego władzę przywróciła Joanna d'Arc. Tak scenarzyści unieważnili kawał historii.

Starcie z Francją jest opowiedziane skrajnie naiwnie. Henryk chce pokoju, ale przekonują go, że Francja nasłała na niego zabójcę, rusza więc na wojnę. W rzeczywistości to wojowanie miało naturę dynastyczną. Angielscy Plantagenetowie, z pochodzenia Francuzi, rościli sobie prawa do francuskiej korony, mieli tam rozliczne posiadłości. Tu wydaje się zrazu, że Michôd powtarza koncept Szekspira, który przedstawił najazd jako akt angielskiego patriotyzmu. Ale filmowy Henryk orientuje się, że został zwiedziony. Przeżywa to. Ludzie XV w. uważali wojnę za podstawową metodę polityki. Ten finał jest zgodny ze współczesną pedagogiką, ale nie z duchem epoki.

ADAM CHOWAŃSKI*

Polski Paryż bez gonitwy zwiedzania

Śladem salonów, w których grywał Chopin, pracowni Boznańskiej, Muter, Bilińskiej, a także miejsc odkryć Skłodowskiej-Curie. Tropem polskich artefaktów w Luwrze. Przez aule Sorbony i Plac Warszawy – ten, na którym kładzie się najdłuższy cień wieży Eiffla. Szlakami Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida prowadzi czytelnika Adam Chowański. Jak mówi o sobie: „Paryżanin z wyboru i miłości".

We wstępie do wydanego niedawno przez Znak przewodnika „Polski Paryż. Śladem malarek, pisarzy, kreatorów stylu" wspomina: „Przez lata traktowałem stolicę Francji jak obowiązkowy punkt na mapie. Przyjeżdżałem tu jako turysta i przemierzałem ulice z tą samą gorączkową skrupulatnością, co tysiące innych odwiedzających. [...] Pamiętam ten chaos. Przesuwałem się w gęstym morzu ludzi, z których każdy miał ten sam desperacki plan: zobaczyć wszystko w 48 godzin. Frustracja i znużenie narastały [...]. W tamte dni Paryż wydawał mi się głośny, przeładowany bodźcami i brutalnie obojętny".

Po jakimś czasie przyszła refleksja, a wraz z nią decyzja: przyjechać tu poza sezonem, w środku tygodnia. Bez presji zobaczenia najważniejszych zabytków. I wtedy, jak pisze Chowański, „zadziałała magia: czas przestał gonić i zaczął się sączyć. [...] Dokładnie pamiętam ten moment. Zupełnie przypadkiem trafiłem na Wyspę św. Ludwika (Île Saint-Louis), kilka kroków od najbardziej zatłoczonej części miasta, a jednak odciętą od jej zgiełku. Uderzył mnie jej spokój [...]. Usiadłem w ogródku – a mówiąc po parysku: na tarasie – restauracji Le Flore en l'Île, tuż przy moście. Zamówiłem café gourmand, tę genialną w swojej prostocie »kawę łasucha«: espresso, któremu towarzyszą trzy bądź cztery miniaturowe desery, za każdym razem inne, będące popisem cukierniczej inwencji. W oddali majaczył monumentalny zarys Panteonu, z sąsiedniej wyspy Cité wychylały się fragmenty Katedry Notre-Dame, a na pobliskim moście saksofonista snuł melodię, która zdawała się unosić nad nurtem Sekwany. To była uczta dla wszystkich zmysłów! Kwintesencja paryskości: nieuchwytna mieszanka melancholii i absolutnego zachwytu nad chwilą. Wówczas też po raz pierwszy w życiu przez głowę przemknęła mi nieśmiała myśl: a gdyby tak stać się częścią tego miejsca? Nigdy wcześniej nie planowałem życia za granicą, ale tam, na Île Saint-Louis, przestałem czuć się gościem – i nie potrafiłem tego wtedy wyjaśnić.

Niedługo potem zacząłem zgłębiać historię okolicznych kamienic i odkryłem, że spokój, który mnie otoczył, utkany jest z losów moich rodaczek i rodaków. To właśnie tutaj przez wieki splatały się losy Paryża i Polski. W murach Biblioteki Polskiej biło serce polskiej myśli i kultury, a w pobliskiej rezydencji Wielka Emigracja próbowała poskładać swoje życie na nowo. Tędy spacerowała Maria Skłodowska-Curie. Tu swoje imperium budowała niezwykła Helena Rubinstein. Może to ta niewidzialna energia dawnych dziejów sprawiła, że poczułem się tu jak w domu [...].

Moja miłość, która zaczęła się na tym skrawku lądu, wkrótce rozlała się na całe miasto, odkrywając przede mną kolejne warstwy polskiego Paryża. Miasto przestało być dla mnie jedynie tłem, a stało się żywą, szeptaną do ucha opowieścią, którą postanowiłem się podzielić".

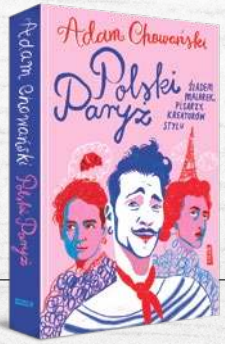

Jolanta Gajda-Zadworna

** Stylista, twórca cyfrowy, autor przewodnika „Polski Paryż. Śladem malarek, pisarzy, kreatorów stylu"*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 88749c7169

SŁODKO-SŁONY

Stara kura

ANNA MONICKA

Kiedy wreszcie dotarłyśmy na wymarzone wakacje, towarzyszący nam w podróży piekielny upał nagle zelżał, a pogoda zrobiła się na tyle dynamiczna, że wbiłyśmy się z córką w dresy i ortaliony, a herbatkę zaczęłyśmy popijać z kubków termicznych, bo w ceramicznych za szybko stygła. W kąt poszły chłodniki i sałatki, zaczęłyśmy za to łakomie łypać na kury, ganiające po podwórku u zaprzyjaźnionego sołtysa. Bierzemy od niego zawsze przepyszne jajka, czasem trafia się też mięso na rosół. „Bo taka kura, jak ma ze dwa, góra trzy lata, przestaje się dobrze nieść" – mawia moja ciotka. „Robi się za żylasta, żeby ją upiec, ale na zupę jest dobra. Popyrka sobie w garnku kilka godzin, rosół dobrze naciągnie.

Kupiłyśmy więc taką wysłużoną kurę, która zniosła pewnie w swoim życiu z 500 albo 600 jaj, zanim zasłużyła na garnek. I postanowiłyśmy, że najpierw zrobimy na niej nasz tradycyjny rosół, z prawdziwym, wiejskim, ręcznie robionym makaronem, a potem nie pomidorową, jak każe tradycja, lecz orzeźwiającą zupę cytrynową z kurzą wkładką i mnóstwem kolorowych warzyw. Pomysł zaczerpnięty z tradycji tureckiej, chociaż przez nas odwzorowany niekoniecznie jeden do jednego, bo moja córka nie może jeść glutenu, a tamtejsza zupa nie dość, że jest zagęszczana mąką pszenną, to jeszcze trzeba wsypać do niej sporą garść krótkiego makaronu vermicelli.

Obieramy więc mięso z ugotowanej kury i szarpiemy widelcem na bardzo drobne cząstki. W garnku na oliwie podsmażamy posiekaną cebulkę i czosnek, startą na grubej jarzynowej tarce marchewkę, posiekaną laskę selera naciowego i dwie pokrojone w paseczki papryki: zieloną i czerwoną. Gdy wszystko się podsmaży, wsypujemy mięso i szklaneczkę wypłukanego i wysuszonego ryżu, dobrze mieszamy i chwilę podsmażamy, aby ziarenka były pokryte sosem, a potem zalewamy gorącym bulionem. Bierzemy mniej więcej 1,5 l, bo zupa powinna być gęsta. Gotujemy na małym ogniu, co jakiś czas mieszając, doprawiamy solą, pieprzem, mnóstwem posiekanej natki pietruszki, a na koniec wlewamy sok z cytryny. Lubię oprószyć to danie również skórką cytrynową. Zadziwiająco dobrze smakuje nawet w upalne dni i jest tak sycące, że wystarczy za cały obiad.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Plantacja czy las?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Załóżmy, że mamy do zagospodarowania duży teren i chcemy, by dawał pożytki w postaci drewna.

W Niemczech takie powierzchnie często obsadza się monokulturą świerkową. Ponieważ z powodu upałów i susz latem oraz niedoborów śniegu i mrozu zimą świerki zaczęły schnąć i padać pod żuwaczkami korników, w niemieckich lasach postawiono – zresztą już lata temu – na daglezję. Również w formie monokultury. Daglezja, dodajmy, to drzewo północnoamerykańskie.

We Francji realizuje się kierunek, który w Polsce po krótkich próbach w XX w. został zarzucony jako chybiony: plantacje topolowe, często gatunków obcych, albo ich sztucznie otrzymanych mieszańców.

Oczywiście zarówno Niemcy, jak i Francja mają też lasy piękne, dostosowane do siedliska, zbliżone do naturalnych, ale duże powierzchnie urządzone w wyżej opisany sposób istnieją.

Dlaczego monokultury świerka, daglezji lub plantacje topolowe to zły pomysł? Różnorodność owadów, ptaków, roślin runa, słowem – całe wielkie bogactwo gatunków jest w takich tworach kilkudziesięciokrotnie mniejsze niż w lasach. Nie mówiąc o grzybach i sieci grzybni, niezbędnej dla funkcjonowania drzew. Jednym z przykładów tego, że sztuczne monokultury i plantacje się nie sprawdzają, jest obserwowane obecnie masowe zamieranie świerków czy pożary – okazuje się, że drzewa te są bardzo niestabilne, nieodporne i podatne na ryzyka.

Wielokrotnie pisałem, że bioróżnorodność nie jest fanaberią przyrodniczą i sztuką dla sztuki. Jest niezbędna dla gospodarki czy rolnictwa, a nawet szerzej – dla przetrwania cywilizacji w formie, jaką znamy i jaką chcielibyśmy utrzymać.

Wracając do myśli z pierwszego zdania, taką powierzchnię można również obsadzić lasem (lub stworzyć warunki do obsiewu – nie wnikam w kwestie techniczne). I taką drogę wybiera się w Polsce.

Zamiast tworów sztucznych, generujących problemy, mamy więc lasy, piękne i bogate przyrodniczo. I to w nich – nie bójmy się tego powiedzieć – wycinamy drzewa, bo jest to dla nas niezbędne. Po to je posadziliśmy. A tnąc, nie niszczymy lasu, bo w polskim modelu leśnictwa nauczyliśmy się gospodarować lasem tak, że czerpiąc z niego pożytki, jednocześnie tworzymy z nim symbiozę – układ, w którym obie strony czerpią korzyści i obie są sobie niezbędne.

eprasa.pl 88749c7169

3 MIŁOŚCI

Dysydentów nie będzie

ROBERT TEKIELI

Sam Hawgood, kanclerz University of California w San Francisco i dziekan jednego z najbardziej renomowanych wydziałów medycznych w USA, zeznał pod przysięgą, że zdecydowana większość ciąż występuje u kobiet, co sugeruje, że zdarzają się one również u mężczyzn. Na bezpośrednie pytanie, czy niebiologiczna kobieta kiedykolwiek urodziła dziecko, odmówił odpowiedzi.

Kandydatem demokratów do Senatu USA ze stanu Maine jest „Ashley" J. Webb, trans, biologiczny mężczyzna. Twierdzi, że owuluje i miesiączkuje przez jelito grube, a krew wychodzi przez okrężnicę, bo nie ma pochwy. Zapytany o kompetencje powiedział, że pisze piosenki i napisał autobiografię. Absurdalne ideologie wdarły się do uniwersytetów i polityki, irracjonalizm do psychologii i medycyny. Techniki dehumanizacyjne zastępują wartości wywiedzione z objawienia.

W Holandii lekarze zajmują się zabijaniem ludzi. Ginie tam ponad 10 tys. osób rocznie. Większość to ludzie starzy i niedołężni, wcale nie terminalnie chorzy. Pod koniec 2025 r. uśmiercono pierwsze dziecko w wieku 1–12 lat. Zgodę na ten przerażający mord wyrazili rodzice. Eutanazja stała się narzędziem inżynierii społecznej.

Człowiek Zachodu jest pozbawiony Boga. Cywilizacja i kultura przestały być sferą bezpieczną, co zawsze było ich istotą.

Oprócz rewolucyjnych ideologii duszę Zachodu zatruwają praktyki neopogańskie, okultystyczne, spirytystyczne, neognostyckie, niby hinduistyczne, mieniące się wiedzą tajemną czy też udające naukowe. Inicjacyjne rytuały stają się treścią terapii, rozwojowych treningów i warsztatów, obok patocoachingu pleni się ezocoaching. Toksyczne duchowości są sprzedawane pod każdą postacią.

Zachodnią cywilizację budowali ludzie ducha: apostołowie, chrześcijańscy cesarze, ojcowie i doktorzy Kościoła, święci założyciele wielkich zakonów. Brała za swoje wszystko, co z piękna i prawdy klasycznej Grecji: poszukiwanie uniwersalnych praw rządzących światem oraz moc katartycznego oczyszczania hierarchii wartości. Czerpała z rzymskiego przekonania o wielkiej wartości dyscypliny i naturalnych cnót. Tworzyli ją ludzie obdarzeni łaską wzrastania w wierze, nadziei i miłości. Dziś w Polsce za postawę wyrażoną słowami „Nie interesuje mnie, kiedy zaczyna się ludzkie życie", aborterka Gizela Jagielska dostała nagrodę „Gazety Wyborczej".

Dziś rządzą wartości materialne. Zaprzeczono wszystkiemu, co wysokie. Zaprzeczono obiektywnej prawdzie, istnieniu piękna. Z wyobraźni człowieka Zachodu wyeksmitowano Boga. Ośmiesza się i niszczy naukę. Wartość prawdomówności w kulturze jest już niczym. Króluje duchowy materializm i trwa duchowa wojna

Kościół niańczył Europę. Aż po ideę uniwersytetu i absolutnie wyjątkowe katolickie przekonanie o wyższości wartości duchowych nad nagą siłą oraz o prawie do sprzeciwu sumienia i o wartości ofiary. Czasem trzeba złożyć życie, by dochować wierności Bogu, czasem trzeba było oddać je za przyjaciół, czasem również za nieprzyjaciół.

Chrzest Polski nie był tylko wydarzeniem religijnym. Z pierwszymi misjonarzami przyjmowaliśmy obyczaje, pismo i łacinę jako język urzędowy, wzorce w rzemiośle, architekturze i przemyśle. Cystersi budowali huty, uczyli nowoczesnego rolnictwa i hodowli. Ojcem polskiej kultury, twórcą pojęcia Rzeczypospolitej, jest biskup krakowski Wincenty Kadłubek. Polskie elity stać było duchowo na jeden z najstarszych uniwersytetów na świecie.

Polacy zawdzięczają chrześcijaństwu nie tylko religijność i katolicką duchowość, lecz także rozwinięty system opieki społecznej i zdrowotnej oraz system edukacyjny, szpitale, szkoły i hospicja.

W środowisku chrześcijańskiej cywilizacji – nigdzie indziej – powstała też nowożytna nauka. Bezinteresowne szukanie prawdy na drodze empirii. Powtarzalnego dowodu.

Wszystkie istniejące cywilizacje – chińska, hinduska, islamska, japońska oraz wszystkie cywilizacje wymarłe: Sumeru, Egiptu, Kaananu i Mohendżo Daro, Cuzco, bliższych nam Aten i starożytnego Rzymu, również nowożytnego Zachodu w części opierającej się na protestantyzmie, a także cywilizacja chrześcijańskiego Wschodu oraz cywilizacja azjatyckiego stepu, zbierająca dziś krwawe żniwo na Ukrainie – stawiały i stawiają w centrum swej istoty kult siły. Kult władcy, kult państwa, jego dominacji nad re-

eprasa.pl 88749c7169

ligią, materii nad duchem. Z tego porządku świata wyłamuje się jedynie *christianitas* – cywilizacja chrześcijańska, obejmująca całe społeczeństwo, od elit po masy ludowe, dążąca do chrześcijańskich ideałów: służby, ofiary, poświęcenia się. Całkowitym zaprzeczeniem idei wyższości ducha nad materią jest dzisiejsza zachodnia cywilizacja śmierci, wyrosła na gruzach chrześcijańskiej Europy.

W Kanadzie 79-letni katolicki ksiądz, o. Larry Holland, który dochodzi do siebie po złamaniu biodra w Szpitalu Ogólnym w Vancouver, oświadczył, że personel szpitala dwukrotnie zaproponował mu medyczną pomoc w umieraniu, mimo że jasno wskazał, iż jest katolickim księdzem i moralnie sprzeciwia się eutanazji. Teraz co jakiś czas publikuje swoje zdjęcia w mediach społecznościowych, by pokazać, że ma dobry nastrój. Depresja jest bowiem wskazaniem do eutanazji. Industrializacja śmierci, potworność sama w sobie.

Pięć wieków temu organiczny proces wzrastania ku prawdzie, dobru i pięknu został skutecznie zaburzony. Człowiek renesansu, potem człowiek oświecenia, zaczął przestawiać kolejne wektory, wzdłuż których podążał chrześcijański Zachód. Od dążenia w kierunku absolutnej miłości po kręcenie się wokół pępka człowieka, który sam uczynił się miarą rzeczy. Zatem – skromną miarą.

W efekcie świat wartości został wywrócony na nice. Dziś rządzą wartości materialne. Zaprzeczono wszystkiemu, co wysokie. Zaprzeczono obiektywnej prawdzie, istnieniu piękna. Z wyobraźni człowieka Zachodu wyeksmitowano Boga. Ośmiesza się i niszczy naukę. Wartość prawdomówności w kulturze jest już niczym. Króluje duchowy materializm i trwa duchowa wojna.

Zło zrzuca maskę na naszych oczach. Satanizm zdobył status oficjalnej religii w Stanach Zjednoczonych. Dziś wsadza się do więzień ludzi za myślną modlitwę. Wyrzuca się z pracy czy szkoły za głoszenie prawdy. Niedługo za samo nazwanie się katolikami będziemy zamykani w szpitalach psychiatrycznych.

Wojna duchowa ma dla narodów poważniejsze konsekwencje niż wojna kulturowa. Wojna kulturowa jest tylko echem zmagań duchowych.

Ateistyczne wierzenia w nieistnienie Boga, marksistowski i neomarksistowski religijny prometeizm, ekstatyczny awataryzm, religia Jedi, selfizm czakralny, czyli herezja energetyczna, i w ogóle cały ten synkretyczny duchowy materializm ze swym twierdzeniem o nieosobowej naturze świata duchowego, antropoklimatyzm z krwawymi ofiarami z genitaliów dzieci. Wazektomia i sterylizacja w imię klimatu i ludzkości. Jedzenie robaków i wymuszanie regresu gospodarczego w imię ideologicznych bałwanów. Człowiek mniej ważny od zwierzęcia i drzewa. Piramida wartości do góry nogami.

„Każda filiżanka kawy, którą pijesz, szkodzi planecie". „Białko, które będziesz niedługo jeść, nie będzie pochodzić z mięsa". „Producentów mięsa i produktów mlecznych należy obciążyć kosztami szkód, które powodują". „Opracowujemy zdolność do śledzenia śladu węglowego konsumentów. Co jedzą? Jak podróżują?" „Gdyby miliard ludzi przestał jeść mięso...". Światowe Forum Ekonomiczne. Ekologia walcząca.

W Niemczech reklamy wyświetlane na stacjach metra pokazują matkę z dwójką małych dzieci. Przesłanie reklamy: „Przyszłość czy zabójca klimatu?". Autorzy akcji reklamowej sugerują, że nasze dzieci niszczą planetę.

Ci wszyscy ludzie chcą świata, w którym twój styl życia jest regulowany, a za nieprawomyślność zablokują twoje konto bankowe. Dysydentów nie będzie, wszyscy staną się totalnie inwigilowani, oceniani i kontrolowani.

Współcześni misjonarze duchowej Nowej Ery i ideologicznej Nowej Lewicy swoimi naukami sieją zamęt w duszach. Trwa wojna o intelekt.

Apostołowie mierzyli się ze światem pogańskim, pełnym przesądów i zabobonów. Dziś mamy identyczną sytuację. Kultura i popkultura głoszą wprost pogańskie wierzenia. Chrześcijaństwo zostało wyparte z mainstreamu. A to powietrzem popkultury oddychają nasze dzieci.

Okultyzm, będący kiedyś na kulturowym marginesie, nauczany jest w szkołach. Wierzenia zastąpiły wiarę. Współczesny człowiek Zachodu, pozbawiony ochrony sakramentów, stoi dziś bezbronny wobec demonów.

Oświeceniowa ciemnota wierzeń w nieistnienie grzechu, czyli herezja oświeceniowa. Do tego herezja marksistowska i współczesny synkretyczny duchowy materializm – z tym się dziś mierzymy.

Były agent KGB Jurij Biezmienow ostrzegał, że kraju nie niszczy się bombami. Demoralizuje się go. Przepisuje się jego historię, niszczy uniwersytety i uczy się jego lud, by wstydził się własnego państwa. Kiedy to się dzieje, ludzie przestają go bronić. Tak samo jest z cywilizacją. Dziś Zohran Mamdani realizuje ten plan.

Trwa wojna kulturowa. Jej celem jest zniszczenie cywilizacji opartej na fundamencie objawienia.

Trwa wojna duchowa. Jej celem jest wyparcie wiary przez wierzenia. Joanna Racewicz wzięła ślub samą ze sobą. Trwa ostateczna dechrystianizacja Polski.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 88749c7169

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Szansa dla prawicy

Dla konserwatysty i prawicowca podział PiS jest dużym szokiem i trudno o tym nie pisać. Od lat byliśmy przekonani, że tylko silna licznym poparciem wyborców prawica ma szansę zmieniać kraj i udowodniła to w 2015 i 2019 r. To były ośmioletnie rządy, najlepsze dla Polaków od II wojny światowej, mimo wielu zastrzeżeń, gdyż pojawiły się wtedy zupełnie nowe dla władzy sytuacje kryzysowe, które należało rozwiązać. Reformowano kraj i naprawiano zaniedbane sprawy, odstępując od rozliczenia afer poprzednich rządów Donalda Tuska. Tego błędu nie popełniła koalicja 13 grudnia. Wciąż szuka złodziei w PiS, ale w sądach jakoś nie udaje się udowodnić łamania prawa. Wtedy zwyciężała Polska solidarna, a nie liberalna.

Obecny kryzys w PiS oczywiście ucieszył rządzących. Tusk zyskał nieco oddechu i sporo satysfakcji, wszak głównym celem jego rządów od 13 grudnia 2023 r. było rozwalenie pisowskiej opozycji i pozamykanie liderów tej partii w więzieniu. Dlatego dokonał zamachu stanu na media publiczne, prokuraturę i sądy, łamiąc polską konstytucję. Satysfakcji nie kryje też stary komunista, dziś marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, gotowy szybko zarejestrować nowy klub parlamentarny Mateusza Morawieckiego.

Choć celem stowarzyszeń nie jest walka o władzę, bo to cecha partii politycznych, to z chwilą utworzenia stowarzyszenia Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego można się było spodziewać dalszych konsekwencji, już politycznej natury. Wielki zarząd kolei pod nazwą Prawo i Sprawiedliwość z prezesem Jarosławem Kaczyńskim, z kierownikiem pociągu prof. Przemysławem Czarnkiem i wieloletnim byłym premierem Mateuszem Morawieckim, odstawionym na boczny tor, nie rokował dobrze. Morawieckiego dwukrotnie pominięto przy podejmowaniu ważnych decyzji: raz przy nominacji na kandydata na urząd prezydenta, a potem przy nominacji na kandydata na przyszłego premiera. I to był powód jego frustracji, choć jego lokomotywa od dawna szykowała się do samodzielnej jazdy. Dlatego podział PiS będzie wspominany jako walka o władzę wewnątrz partii, motywowana osobistymi ambicjami polityków.

Z chwilą podziału PiS kończy się marzenie o premii, jaką daje silnej partii system naliczania mandatów według metody D'Hondta. W 2015 i 2019 r. m.in. dzięki tej metodzie Prawo i Sprawiedliwość posiadało większość, choć już wtedy wisiała ona na włosku. W 2023 r. wybory parlamentarne wygrało PiS, uzyskując 35,38 proc. głosów, o ponad 5 proc. więcej od Koalicji Obywatelskiej, ale nie potrafiło zdobyć większości parlamentarnej. Do klęski wyborczej przyczyniła się nowa prawicowa partia Polska Jest Jedna, założona przez Rafała Piecha, prezydenta Siemianowic Śląskich. Zdobyła 351 tys. głosów, nie uzyskując żadnego mandatu. Dziś ugrupowanie Piecha działa jako stowarzyszenie o nazwie Panem Jest Jezus.

Dlaczego przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy nie udało się znowelizować ordynacji wyborczej, tak aby D'Hondta zastąpić inną metodą, choćby matematycznej proporcji? Inżynier Marcin Bogdan, równocześnie publicysta portalu Solidarni 2010, wybrałby metodę Hare'a–Niemeyera, nazywaną też metodą największych reszt lub matematycznej proporcji. Przy liczeniu głosów każde ugrupowanie polityczne miałoby prawo otrzymać adekwatną liczbę mandatów, proporcjonalną do udzielonego im poparcia. Mimo że w 2023 r. wybory wygrało PiS, to KO potrafiła sformować większość parlamentarną i utworzyć rząd Donalda Tuska. Koalicja Obywatelska wykazała się sprytem, tworząc nową partyjną wydmuszkę o nazwie Polska 2050 (wzorem dawnego Ruchu Palikota czy Nowoczesnej), a zapraszając do władzy tzw. ludowców oraz starą i nową lewicę, zyskała większość i rządy, które demolują dziś Polskę. Już wcześniej było zatem wiadomo – obserwując też rządy innych krajów europejskich – że osiągnięcie dominującej większości parlamentarnej jest dziś niezwykle trudne. Choć przykład Węgier dowodzi, że metoda D'Hondta działa. Znużenie wieloletnimi rządami Victora Orbána oraz zmasowana antyorbanowska propaganda UE zmieniły preferencje wyborcze Węgrów.

Zostawmy jednak te kwestie, koncentrując się na szansach dla polskiej, rozdrobnionej dziś prawicy. Każda z partii prawicowych musi tak pracować nad powiększeniem swojego elektoratu, aby w wyborach przeważyła suma ich głosów. Ponadto istnieje dziś pilna potrzeba zagospodarowania mieszkańców wsi. Prawie 1 mln rolników prowadzących swoje gospodarstwa rolne jest zagrożonych polityką Tuska, posłusznego dyktatowi Unii. Liczne stowarzyszenia i związki zawodowe rolników powinny się zjednoczyć w celu stworzenia wspólnej partii politycznej i pokonać w terenie działaczy PSL, którzy od dawna nie reprezentują interesów wsi. To zadanie dla posła Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Jeżeli jeszcze przyjmiemy za obowiązujące hasło „nie ma wroga na prawicy", za rok możliwe jest zwycięstwo, nawet tak podzielonej prawicy. Mają wygrać polscy patrioci, także ci od Mateusza Morawieckiego.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Czołg i konserwy

Andrzej Rafał Potocki

Ruski postanowił ruszyć głową (co mu się raczej rzadko zdarza) i ulepszył czołg T-72 tak, żeby drony się go nie imały. Pojazd z nowej serii produkcyjnej oznaczono jako T-72B3A. Został wyposażony w elementy systemu obrony aktywnej Arena-M, ponieważ dziś warunki na froncie są kompletnie inne niż na początku pełnoskalowej inwazji i strach wyjeżdżać na pole bitwy nieprzystosowanym czołgiem. Strefa walk rozpościera się nawet na 20 km i jest nadzorowana przez drony 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. To sprawia, że pojazdy są wykrywane na długo, zanim dojadą do rejonu walk. Czołg T-72B3A trzeba było sprawdzić w praktyce. Jako miejsce wybrano obwód doniecki, okolice miejscowości Majaky. Kacapy postanowiły przeprowadzić dawno niewidziany zmasowany szturm pancerno-zmechanizowany, rzucając do boju m.in. aż 10 czołgów. Ponieważ drony latają w powietrzu niczym stada much, pojazd bez skutecznej ochrony nie ma szans na przetrwanie. Ale od czego są uczeni z Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie. Ich antydronowy czołg prowadził atak. Jak tylko ukraińscy droniarze z Sił Systemów Bezzałogowych zobaczyli T-72B3A, natychmiast rzucili na niego kilka bezzałogowych FPV. Cały system Arena-M zadziałał tak, że czołg praktycznie od razu trafił szlag. Z resztą poszło już łatwo. Zanim „szturm" pancerny osiągnął cel, na polu bitwy zalegało już 10 wraków. Pytanie do naukowców z Uniwersytetu im. Łomonosowa: kto wynalazł konserwy? Rosyjski uczony Puszkin!

Nie jest wesoło z uzupełnieniami w SZU. Żołnierze z 1. batalionu 108. Brygady Obrony Terytorialnej Ukrainy opublikowali apel wideo z pozycji w obwodzie zaporoskim, w którym poinformowali, że spędzili ponad sześć miesięcy na linii frontu bez rotacji. „Jesteśmy na pozycjach bez rotacji od trzech, sześciu, siedmiu, a nawet ośmiu miesięcy" – mówi jeden z żołnierzy na nagraniu. „W ostatnich miesiącach nie mieliśmy żadnego niezawodnego wsparcia ani możliwości przetrwania. Nie ma wody ani żywności. Logistyka została odcięta, co niezwykle utrudnia dostawy. Biorąc pod uwagę nasz stan fizyczny i moralny, trudno nam kontynuować misje bojowe. Apelujemy do społeczeństwa ukraińskiego o zwrócenie uwagi na naszą sytuację i wezwanie dowództwa do zorganizowania rotacji lub jak najszybszego wycofania nas z działań". Krewny jednego z żołnierzy powiedział, że warunki stały się fatalne. „Żołnierze mówią, że zjedli już wszystkie myszy" – powiedział syn bojownika. „Wielu straciło około połowy swojej masy ciała. Wyglądają tak samo jak podczas wielkiego głodu". Żołnierze twierdzą, że mimo to nadal wykonują misje bojowe i zabiegają o to, aby opinia publiczna dowiedziała się o ich sytuacji. Już nawet nie ma się z czego śmiać.

Problemy kadrowe armii ukraińskiej w dużym stopniu wpływają na postawę Kremla. Wszyscy, którzy łudzą się jeszcze, że Władimir Putin ma pokojowe intencje, powinni zapoznać się ze stenogramem spotkania kierownika Federacji z przedstawicielami kacapskiej marynarki wojennej, które odbyło się 26 lipca z okazji święta Wojennomorskowa Flota. Putin zgodził się wówczas odpowiedzieć na „spontaniczne" pytania marynarzy, z którymi się spotkał. Jak pisze portal Defence24, rozwodził się nad koniecznością kontynuowania „operacji specjalnej", atakował Kijów za nazizm i zbrodnie wojenne. Na końcu głos zabrał sierż. Małafiejew z Floty Północnej, który w patriotycznej ekstazie zadeklarował: „Zrobimy wszystko, aby wróg został pokonany, a zwycięstwo było nasze". Putin podziękował i stwierdził: „Tak będzie, nie ma co do tego wątpliwości. Nie wątpię w to ani przez chwilę". Jesteśmy innego zdania.

Na spotkaniu w Petersburgu Putin wrócił do starej śpiewki. Jak przekazała rosyjska agencja Interfax, stwierdził, że Ukraina „prędzej czy później utraci ziemie zachodnie". Według moskiewskiego zbrodniarza wojennego, którego nazywają prezydentem, miałyby one przypaść państwom, do których – według jego interpretacji historii – wcześniej należały. „To, co należało do Polski, co należało do Węgier, co należało do Rumunii – prędzej czy później, nie jutro, może pojutrze, za rok, dwa, 10, 15, ale wszystko historycznie się ułoży". Nasze MSZ stanowczo odrzuciło futurystyczne koncepcje Kremla. Polska dyplomacja zaznaczyła, że Warszawa „nie wysuwała, nie wysuwa i nie zamierza w przyszłości wysuwać roszczeń terytorialnych wobec Ukrainy". Takie są skutki lansowania zbrodniarzy z UPA przez obecne władze Ukrainy. Krawaciarze w Kijowie sami się proszą o takie wypowiedzi Moskwy, zapominając, że na Kremlu siedzi kilku cwaniaków, którzy wiedzą, jak ich rozgrywać.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 88749c7169

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Niebawem pierwszy dzwonek

Aleksander Nalaskowski

Już po półmetku wakacji. Sierpień przeleci jak z bicza trzasnął. Nadejdzie wrzesień, który od lat kojarzy się z nowymi zeszytami, zapachem świeżo wydrukowanych podręczników i nieco nerwową atmosferą pierwszych dni szkoły. Dla uczniów to początek kolejnej przygody, dla rodziców – logistyczne wyzwanie, a dla nauczycieli – czas planowania i organizacji pracy. Jednak w ostatnich latach nad inauguracją roku szkolnego unosi się jeszcze jedno pytanie: kto właściwie stanie przed klasą?

Jeszcze kilka dekad temu zawód nauczyciela dawał poczucie stabilności i społecznego szacunku. Dziś coraz częściej dyrektorzy szkół, zamiast planować rozwój placówki, gorączkowo przeglądają ogłoszenia i wykonują dziesiątki telefonów w poszukiwaniu chętnych do pracy. Matematyka, fizyka, chemia, języki obce, informatyka, a coraz częściej również edukacja wczesnoszkolna czy przedszkolna – lista brakujących specjalistów wydłuża się z roku na rok.

Paradoks polega na tym, że wszyscy zgodnie powtarzają, iż edukacja jest fundamentem przyszłości państwa. Lubimy mówić o inwestowaniu w młode pokolenie, o innowacyjności i nowoczesnej gospodarce. Trudno jednak budować przyszłość, jeśli już na starcie brakuje ludzi, którzy mają tę przyszłość kształtować. Szkoła nie działa przecież dzięki nowym tablicom multimedialnym czy wyremontowanym salom. Najważniejszy pozostaje nauczyciel – człowiek, który potrafi zainteresować, wyjaśnić, zmotywować i wesprzeć ucznia.

Przygotowania do nowego roku szkolnego coraz bardziej przypominają akcję ratunkową niż spokojne planowanie. Dyrektorzy przesuwają godziny zajęć, łączą klasy, zwiększają pensum obecnym nauczycielom, proszą emerytów o powrót do pracy, a nawet zatrudniają osoby bez pełnych kwalifikacji, licząc na to, że w trakcie pracy uzupełnią wykształcenie. Nie dlatego, że chcą obniżać standardy, ale dlatego, że często nie mają innego wyjścia. Trudno przecież zostawić uczniów bez lekcji. A jak szacują niektórzy, w Polsce brakuje ok. 20 tys. nauczycieli.

Najbardziej niepokojące jest jednak to, że problem przestał być chwilowym kryzysem. Stał się codziennością. Wielu młodych absolwentów kierunków pedagogicznych już na początku kariery wybiera inne ścieżki zawodowe. Kuszą ich wyższe zarobki, większe możliwości rozwoju i mniejsza odpowiedzialność. Trudno się dziwić, skoro nauczyciel odpowiada nie tylko za przekazywanie wiedzy, lecz także za bezpieczeństwo uczniów, współpracę z rodzicami, idiotycznie rozbudowaną dokumentację, liczne szkolenia oraz coraz ciaśniejsze obowiązki administracyjne.

Społeczeństwo również nie pomaga. Z jednej strony oczekujemy od nauczycieli, że będą wychowawcami, psychologami, mediatorami, ekspertami od nowych technologii i organizatorami szkolnych wydarzeń. Z drugiej – coraz częściej podważamy ich autorytet. Łatwo krytykować szkołę przy rodzinnym stole lub w mediach społecznościowych, znacznie trudniej zastanowić się, dlaczego coraz mniej osób chce wykonywać ten odpowiedzialny zawód.

Oczywiście całego problemu nie można sprowadzać wyłącznie do wynagrodzeń, choć są one istotnym elementem. Liczy się także prestiż zawodu, stabilność prawa oświatowego, możliwość spokojnej pracy oraz poczucie, że nauczyciel jest partnerem, a nie jedynie wykonawcą kolejnych odgórnych decyzji. Bez odbudowy zaufania i szacunku trudno będzie zachęcić młodych ludzi do wyboru tej ścieżki zawodowej.

W całym tym zamieszaniu najbardziej cierpią uczniowie. To oni odczuwają skutki braków kadrowych z powodu odwołanych lekcji, zastępstw czy zmieniających się nauczycieli. Trudno budować poczucie bezpieczeństwa i ciągłości nauki, gdy kolejne osoby pojawiają się tylko na chwilę. Edukacja potrzebuje stabilności, a tej coraz częściej brakuje.

Nie można również zapominać o nauczycielach, którzy pozostają w szkołach. Wielu z nich pracuje ponad siły, biorąc dodatkowe godziny, zastępstwa i przyjmując na siebie nowe obowiązki. Robią to z poczucia odpowiedzialności za swoich uczniów, choć nierzadko odbywa się to kosztem ich czasu wolnego, zdrowia i życia rodzinnego. Ich zaangażowanie trzeba docenić, ale nie powinno być ono sposobem na łatanie systemowych problemów.

Każdy kolejny sierpień pokazuje, że przygotowanie do nowego roku szkolnego wymaga dziś znacznie więcej niż zamówienie podręczników czy odświeżenie klas. Największym wyzwaniem staje się znalezienie ludzi, którzy zechcą uczyć. A przecież żadna reforma, nawet najlepiej przygotowana, nie zadziała bez nauczyciela stojącego przy tablicy.

Być może nadszedł moment, aby przestać traktować brak nauczycieli jako sezonowy temat powracający pod koniec wakacji. To problem dotyczący całego społeczeństwa. Od jakości edukacji zależy przecież jakość przyszłych lekarzy, inżynierów, przedsiębiorców czy urzędników. Jeśli dziś nie zadbamy o tych, którzy uczą kolejne pokolenia, jutro wszyscy zapłacimy za to wysoką cenę.

Gdy więc we wrześniu usłyszymy pierwszy szkolny dzwonek, warto pomyśleć nie tylko o nowych wyprawkach. Warto zadać sobie pytanie, czy zrobiliśmy wszystko, aby po drugiej stronie biurka siedział dobrze przygotowany, umotywowany i doceniany nauczyciel. Bo szkołę tworzą przede wszystkim ludzie. A jeśli zabraknie tych, którzy uczą, nawet najpiękniejszy budynek pozostanie tylko pustym gmachem.

eprasa.pl 88749c7169

Michał Korsun prezentuje:
Karta do lekarskiego pokera: 2 dyżury i wychodzę

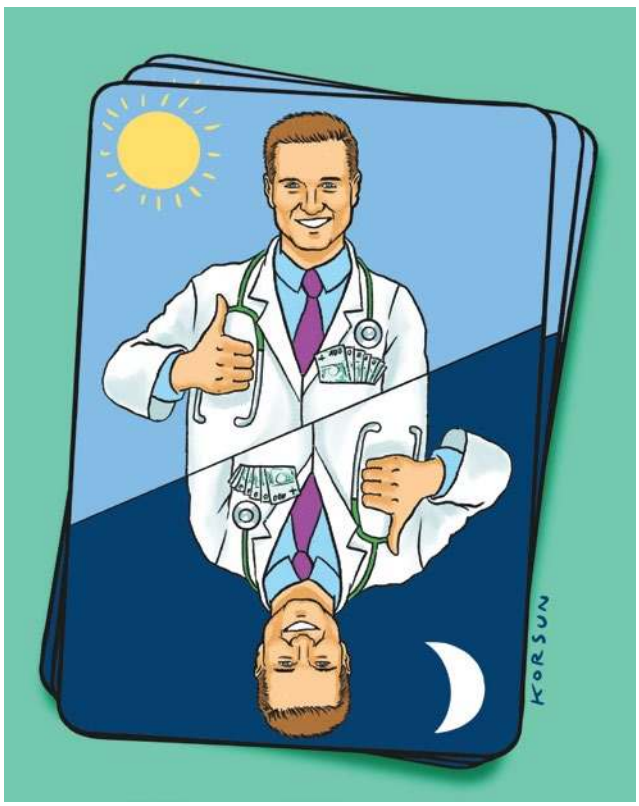

Wycinki z przeszłości

Do księdza czasem lepiej nie iść zbyt odważnym krokiem! W 1927 r. „Ziemia Włodawska" donosiła o „niegrzecznych pieskach na plebanji", które „już na schodach witają gości i interesantów gwałtownym ujadaniem", a nawet „zbyt natarczywie próbują twardości łydek". Gazeta dodawała: „Znane nam są wypadki dotkliwych ukąszeń. Z tego powodu parafjanie o słabszej odwadze omijają progi plebanji".

(sp)

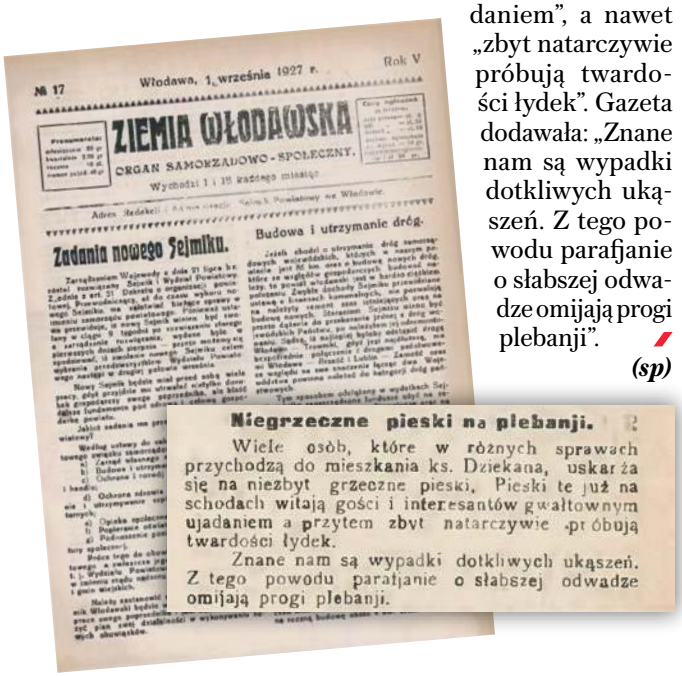
№ 17 Włodawa, 1 września 1927 r. Rok V

ZIEMIA WŁODAWSKA

ORGAN SAMORZĄDOWO-SPOŁECZNY.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

Zadania nowego Sejmiku.

Budowa i utrzymanie dróg.

Niegrzeczne pieski na plebanji.

Wiele osób, które w różnych sprawach przychodzą do mieszkania ks. Dziekana, uskarża się na niezbyt grzeczne pieski. Pieski te już na schodach witają gości i interesantów gwałtownym ujadaniem a przytem zbyt natarczywie próbują twardości łydek.

Znane nam są wypadki dotkliwych ukąszeń. Z tego powodu parafjanie o słabszej odwadze omijają progi plebanji.

Z WOLEJA

Kłótnie na szczycie (piłkarskim)

Ryszard Czarnecki

Portugalski piłkarz Rafael Leão, napastnik AC Milan (prawie 50 meczów w reprezentacji kraju i 6 goli), stał się nagle jednym z najbardziej znanych futbolistów świata. Nie dlatego, że strzelił pięć bramek w jednym meczu, ale dzięki wpisowi na Instagramie. Oto on: „Dziewczyny! Mistrzostwa świata zakończone. Przestańcie już udawać, że rozumiecie, na czym polega piłka nożna". Awantura po tej publikacji była większa niż po finale mundialu, po którym przegrani Argentyńczycy zaczęli bić zwycięskich Hiszpanów. Wychowanek Sportingu Lizbona pod olbrzymią presją skasował wpis, ale wielu facetów po cichu się z nim zgadza. Ja nie: przecież skoro kobiety znają się najlepiej na wszystkim, to również na futbolu.

Jeszcze w jednym Portugalczyk nie ma racji: mundial wcale się nie skończył. Przynajmniej nie dla FIFA i IFAB (Międzynarodowa Rada Piłkarska). Oba podmioty dalej kłócą się o czerwoną kartkę w jednym z ćwierćfinałów. W meczu Argentyny ze Szwajcarią przy remisie 1:1 z boiska wyleciał piłkarz z Europy, a raczej z Afryki, bo wywodzący się z Kamerunu Breel Embolo. Dzięki tej kontrowersyjnej decyzji Latynosi wymęczyli wygraną w dogrywce. FIFA broni decyzji, IFAB ją krytykuje, twierdząc, że VAR w ogóle nie powinien tego weryfikować. Ot, taka schizofrenia na futbolowych szczytach. Reputacji działaczy od piłki kopanej to nie poprawi, choć i tak jest ona na poziomie naszych Żuław Wiślanych. Gwoździem do trumny wizerunku FIFA stał się pomysł prezesa tejże, pana Infantino. Chce on... sprywatyzować mundial! Prawa do organizacji futbolowych mistrzostw świata ma dostać spółka, która następnie ma sprzedać część swoich udziałów. Romantycznej legendy futbolu można w tej sytuacji użyć do wytarcia butów. Nawet nie piłkarskich korków, tylko działaczowskich trzewików.

Wracając do wykartkowanego Embolo. To właśnie jego nazwisko równo dekadę temu podczas Euro 2016 niemiłosiernie przekręcał trener Jacek Gmoch w telewizyjnym studiu, bez przerwy nazywając Afroszwajcara „Ebola".

Nie ma co się śmiać: prawdziwa ebola wróciła i zbiera krwawe żniwo w Demokratycznej Republice Konga (dawny Zair). W jej zwalczanie zaangażował się mój znajomy, ekspreziydent Liberii George Weah. To jedyny afrykański piłkarz, który dostał Złotą Piłkę. Pamiętam nasze spotkania i rozmowy podczas jego drugiej kampanii prezydenckiej. Przegrał ją m.in. dlatego, że rodacy nie mogli mu wybaczyć faktu, iż jego syn, też piłkarz, gra dla reprezentacji USA. Co za dużo, to nawet cierpliwa afrykańska krowa nie zje.

eprasa.pl 88749c7169

OD A DO ZYBERTOWICZ

Lato poza zasięgiem

Kiedyś wakacje były nieustannym pasmem drobnych przygód, które rodziły się same, bez planowania, bez „atrakcji dla dzieci", bez konieczności dokumentowania każdego kroku

Kiedyś to były wakacje! Do takiego mało oryginalnego wniosku doszłyśmy z przyjaciółką na spacerze. Nasze dzieciństwo to siermiężny komunizm przełomu lat 70. i 80. ub.w. Za żadne skarby nie chciałybyśmy wracać do tamtych czasów. W sklepach było niewiele, słodycze na kartki. Tylko dwa programy w telewizji. Muzyki (tej zachodniej) słuchało się najczęściej na magnetofonie kasetowym.

Za to wakacje – to było coś. Nawet te przeplatane okresami nudy.

WSI SPOKOJNA, WSI WESOŁA

Najczęściej cała rodzina jechała do babci na wieś. W czasie żniw potrzebna była pomoc rodziców. To ludzie wykonywali większość prac polowych, maszyn było niewiele.

Dla dzieciaków to był raj. Musieliśmy sami zająć się sobą, więc godzinami włóczyliśmy się bandą po wsi i okolicach. Potłuczone kolana, stopy poranione na rżysku do krwi – to norma.

Babcia gotowała w tzw. letniej kuchni. Robiła najlepszą na świecie kawę zbożową – twierdzili żniwiarze.

GDAŃSK

Jak nad morze, to tylko do cioci Misi. Tu dorośli też dawali nam spokój. Biegaliśmy po plaży bez celu. Nie wiadomo, po co codziennie znosiliśmy do domu ogromne ilości muszelek i kamieni. Już nie wiem, czy zabawy na plaży były fajniejsze niż rejs wodolotem, do którego wsiadało się nad Motławą.

W ciocinym, nie tak dużym, mieszkaniu na gdańskiej Zaspie czasem spały trzy rodziny. Dziś to nie do pomyślenia. Liczy się wygoda, kiedyś wystarczała rodzinna serdeczność.

NAD JEZIOREM

Pływanie po jeziorze łódką w niepogodę (mówiąc delikatnie) było tylko jedną z atrakcji wczasów nad Partęczynami z niezłomną ciocią Agatą, która co roku zabierała dzieciaki od rodziny. Było super, ale o niektórych z przygód na wszelki wypadek nie opowiadaliśmy rodzicom i tu również o nich nie napiszę.

Mieszkało się w domku, w którym nie było żadnych wygód. Zamiast toalety – sławojka. Wodę przynosiło się w wiadrze. Wcześniej trzeba było ją napompować. Poziomek, malin, jagód i grzybów już nigdy w życiu nie jadłam w takich ilościach jak wtedy. I nigdy już nie grałam tak dużo w chińczyka w deszczowe chwile.

GÓRY

Wyprawa w Beskidy była jednocześnie odwiedzinami wujka Jurka. Z Brodnicy jechaliśmy na południe maluchem (Fiatem 126p) – wyładowanym po brzegi, z prowizorycznym bagażnikiem na dachu. Strasznie dłużyła się droga przez Łódź – zawsze myślałam, że to najdłuższe miasto w Polsce.

Pamiętam duże dziecięce rozczarowanie. Dojeżdżamy już do Bielska-Białej, a gór jak nie widać, tak nie widać. Ale w końcu były. Także wycieczki, kołysanie kolejką na Szyndzielnię i cudowne widoki. W czasie tego pobytu siostra dostała ksywkę „Góralka".

„WSIĄŚĆ DO POCIĄGU BYLE JAKIEGO…"

No nie całkiem byle jakiego. Raczej konkretnego. Gdy byłam już trochę starsza, zaczęłam jeździć na obozy wędrowne, organizowane przez dwie charyzmatyczne nauczycielki: panią Jagodę i panią Grażynę. Dzięki nim poznałam kawał Polski. To były czas już nieco innych przygód, jak wsiadanie do pociągu przez okno. Za komuny PKP były tak przeciążone w czasie wakacji, że znalezienie miejsca siedzącego było jak los na loterii. By pomóc szczęściu (dziś decyduje nie los, lecz miejscówka), wsadzało się do przedziału przez okno najdrobniejszą osobę. Potem nie chciałam ponownie przeżywać ówczesnego dreszczu przygody.

BEZ POWIADOMIEŃ

Choć dziś mamy nieporównywalnie więcej wygód, a świat stoi otworem na jedno kliknięcie, tamte wakacje miały coś, czego nie da się odtworzyć za pomocą żadnej aplikacji. Tak – wtedy nie było smartfonów. Wakacje były nieustannym pasmem drobnych przygód, które rodziły się same, bez planowania, bez „atrakcji dla dzieci", bez konieczności dokumentowania każdego kroku. Człowiek żył chwilą, nie było ekranów, które odciągały uwagę, ani algorytmów, które podpowiadały, co robić dalej. Wszystko działo się tu i teraz: rozmowy przy stole, nocne wyprawy do lasu, śmiech na plaży, długie pogaduchy w przepełnionym mieszkaniu cioci.

Wakacje były prawdziwe, nieprzefiltrowane przez Instagram. Nieporównywane z niczym, co oglądamy w internecie. I choć nie wróciłabym do tamtych czasów, to czuję, że tamtą bezpośredniość doznań warto ocalić.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 88749c7169

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

„Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze

Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 88749c7169

SUBSKRYPCJA SIECI + wPolityce.pl Premium+

MOCNA PUBLICYSTYKA

1 zł ZA PIERWSZY MIESIĄC

TWOJA SUBSKRYPCJA TO:

Najświeższe e-wydanie „Sieci” już w niedzielę o 18:00

Wszystkie teksty wPolityce.pl Premium+ zawsze pod ręką

Dostęp do archiwum tygodnika i biblioteki e-booków „Sieci Extra”

Cegiełka do budowy niezależnych, patriotycznych mediów

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

epraasa.pl 88749C7169